

ARCHITEKCI PODCZAS OKUPACJI • POWSTAŃCY PO WOJNIE • MIASTO W EKSTAZIE
ZAMKI MAZOWSZA • NAJSTARSZE FORTEPIANY • SKOK DO WODY DLA OCHŁODY

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

NR 7-8 (2398-2399) LIPIEC-SIERPIEŃ 2025 • 19,98 zł w tym 8% VAT

Przetrwała okupację
i Powstanie Warszawskie –
tajemnice
wieży
kościoła
św. Augustyna



ISSN 0039-1689



0.8 >



W NUMERZE:

- 4 Kronika
- 6 Święto Ogrodu Saskiego – Aleksandra Pieterwas

OBLICZA WOJNY

- 8 Najważniejsze sprawy. Architektki podczas okupacji – Tadeusz Michalski
- 14 Hotel Polonia Palace podczas okupacji i Powstania Warszawskiego – Paweł Brudek
- 22 Tajemnice wieży kościoła św. Augustyna – Marcin Królikowski
- 29 Powstańcze rozdroża – Sebastian Pawlina

ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU

- 34 Zamki książęcego Mazowsza – Piotr Lasek

HISTORIA

- 44 Rynek Nowego Miasta – od świetności do upadku – Adrian Sobieszczański
- 52 Fortepian jaki jest, każdy widzi – Michał Bruliński
- 59 Przełomowy rok 1915 – Jerzy S. Majewski
- 68 Prawdziwe oblicze literackiego międzywojnia – Piotr Łopuszański

KULTURA

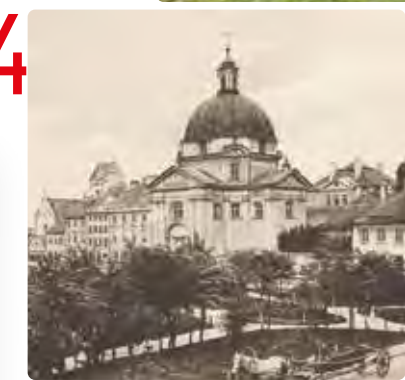
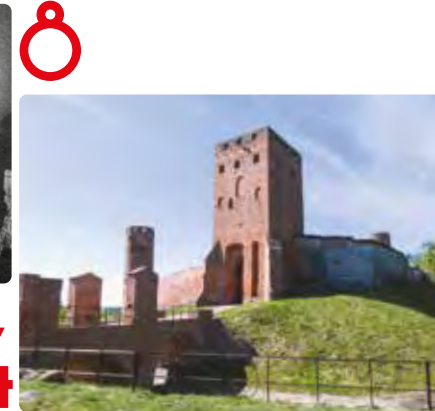
- 74 Miasto w ekstazie. Warszawa podczas Festiwalu Młodzieży 1955 r. – Julia Majewska
- 80 Do wody! – Tatiana Hardej
- 86 U Marszałka w Sulejówku – z Krzysztofem Jaraczewskim, wnukiem Józefa Piłsudskiego, rozmawia Mateusz Kaczyński
- 91 Notatnik warszawski
- 93 Marek Bieńczyk – Warszawski Twórca AD 2025
- 94 Warszawski poeta z Lublina – Rafał Skąpski
- 96 Depresje na Pięknym Brzegu – Paweł Dunin-Wąsowicz
- 97 Cała naprzód – Przemysław Śmiech
- 98 Trąbka 1955 – Jacek Fedorowicz



STOLICA
nr 7-8 (2398-2399)
lipiec-sierpień 2025

Nasza okładka:

Kościół św. Augustyna
od strony ulicy Smoczej,
1946 r., fot. Henry Cobb /
Dom Spotkań z Historią



Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, numery z poprzednich lat – w księgarni w Muzeum Niepodległości w pałacu Przebendowskich / Radziwiłłów przy al. „Solidarności” 62

Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
tel. 22 741 01 30
Zespół:
Ewa Kielak Ciemnińska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com
Jerzy S. Majewski
Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)
info@warszawa-stolica.pl
Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, Tatiana Hardej, Mateusz Kaczyński, Michał Krasucki, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tadeusz Michalski,

Tomasz Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Rafał Skąpski, Adrian Sobieszczański, Przemysław Śmiech, dr hab. Michał Wardzyński, prof. UW
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Paweł Ciemniński, Norbert Piwowarczyk, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY
Opracowanie graficzne: Anna Skowrońska, Ideapress sp. z o.o.
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.
© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania srodtitulów i zmian tytułów.
Redakcja nie odpowiada za treść i formę reklam.
Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej można składać bezpośrednio w Redakcji pod adresem: redakcja@warszawa-stolica.pl, a w wersji elektronicznej na egazety i e-kiosk

 **Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

♦ Plac Centralny – nowa, zielona przestrzeń w środku miasta – już otwarty! Zamiast betonowej pustyni i parkingów są drzewa, trawniki, ławki i krzesała. Ciekawostką jest odtworzony w nawierzchni układ przedwojennych kamienic i zarysy ulic Wielkiej, Zielnej i Złotej. Przestrzeń stanowi kolejną inwestycję w ramach Nowego Centrum Warszawy, obok „zielonych” Chmielnej i Brackiej czy tzw. placu Pięciu Rogów. Następnymi realizacjami w ramach NCW będą nowe oblicza ulic Złotej, Zgoda i Marszałkowskiej.

♦ Jeszcze mniej betonu i asfaltu także na placu Trzech Krzyży. Kolejne prace – po przeprowadzonych dwa lata temu – obejmą parking po zachodniej stronie przestrzeni, między Hożą i Żurawia. Na połowie parkingu przed gmachem Ministerstwa Rozwoju i Technologii posadzone zostaną drzewa, krzewy i kwiaty.

♦ Na placu Bankowym rozpoczęło się sadzenie kolejnych drzew wzdłuż zachodniej pierzei, m.in. wiśni i klonów, przybędą też ozdobne rabaty z tzw. warszawiankami, ustawione zostaną ławki. Nowy chodnik z wysokiej jakości płyt granitowych jest już dostępny, remontowana jest ścieżka rowerowa. Po zakończeniu tych robót prace będą kontynuowane po wschodniej stronie placu – w rejonie Błękitnego Wieżowca ze skwerem i pomnikiem Stefana Starzyńskiego.

♦ Pierwsze testowe przejazdy tramwaju na Stegny za nami. Węzeł rozjazdowy znajduje się na skrzyżowaniu ulic Sobieskiego i św. Bonifacego, dalej torowisko poprowadzono w pasie między jezdniami. Na końcu trasy – przy kościele NMP Matki Miłosierdzia – utworzono pętlę tramwajowo-autobusową. Odnoga wilanowskiej trasy na Stegny to ok. 800 m długości. Dla pasażerów będzie udostępniona latem.



Nagroda Architektoniczna AD 2025

Na tegoroczną odsłonę Nagrody Architektonicznej Prezydenta Warszawy wpłynęło aż 150 zgłoszeń! Na wstępie 10-osobowe konkursowe jury przeprowadziło wizje lokalne w zgłoszonych obiektach i przyznało 17 nominacji w sześciu kategoriach. Dodatkowo eksperci przeprowadzili w ocenianych budynkach audyty ekologiczne i dostępnościowe. Po wielogodzinnych wizytach w terenie i dyskusjach studyjnych wyłoniono laureatów: w kategorii *Architektura użyteczności publicznej* zwycięzcą i zdobywcą Grand Prix został budynek Muzeum Sztuki Nowoczesnej, ul. Marszałkowska 103 (autorzy: Thomas Phifer and Partners we współpracy z APA Wojciechowski Architekci, inwestor: MSN). Wyróżnione zostały również SP nr 406 na Białolece, ul. Świderska 93 (autorzy: Bujnowski Architekci we współpracy z topoScape, inwestor: m.st. Warszawa Dzielnica Białoleka) – za rozwiązania proekologiczne – oraz Centrum Aktywności Międzypokoleniowej, ul. Korotyńskiego 13 (autorzy: xystudio, inwestor: Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta) – za rozwiązania zapewniające dostępność. W kategorii *Architektura mieszkaniowa* zwyciężył Dom Studenta nr 7 Uniwersytetu Warszawskiego, ul. Sulimy 4 (autor: Projekt Praga, inwestor: Uniwersytet Warszawski). Pawilon Cepelia, ul. Marszałkowska 99/101 (autorzy: AMC – Andrzej M. Chołdziński, Bernatek Architekci i Partnerzy, inwestor: Sienna 111) – zwyciężył w kategorii *Nowe życie budynków*, a w kategorii *Projektowanie przestrzeni publicznej* – most pieszo-rowerowy nad Wisłą (autorzy: Schuessler-Plan Inżynierzy we współpracy z DKFS Architects, inwestor: ZDM). Wśród projektów komercyjnych najlepsze okazały się nagrodzone *ex aequo* Muzeum Fabryka Czekolady E. Wedel, al. Wedla 5 (autorzy: BIM Architekci, architektura wystawy: WWAA, inwestor: Lotte Wedel), również laureat nagrody mieszkańców, oraz zajezdnia tramwajowa Annapol, ul. Warszawskich Tramwajarzy 1 (autorzy: Pas Projekt, Czyż Mariusz Siblej, Pig Architekci, Prota Polska, Systra, inwestor: Tramwaje Warszawskie). Najlepszym wydarzeniem architektonicznym okazała się *Warszawa dla początkujących. Wykłady z historii architektury* (zespół kuratorski: Agnieszka Rasmus, Filip Dańda, Anna Wrońska, organizatorzy: m.st. Warszawa, Fundacja Centrum Architektury). Organizatorem konkursu i fundatorem Nagrody jest prezydent Warszawy. ●

Czas na Łazienki

Myślicie, że wszystkie meandry historii Łazienek Królewskich już dawno odkryte? Najnowsza łazienkowska wystawa pt. *Życie królewskiego ogrodu* udowadnia, że absolutnie tak nie jest! Podczas zwiedzania zagłębiamy się w mało znane wątki społecznej i kulturowej historii Łazienek, poznajemy nieopowiedzianą dotychczas historię obiektu, od jego utworzenia w XVII w. po dzień dzisiejszy. Przenosimy się w czasie dzięki archiwalnym zdjęciom, dziełom sztuki, przedmiotom codziennego użytku i rzemiosła artystycznego, poznajemy, jak zmieniały się kompozycja przestrzenna i architektura przestrzeni założenia. Na wystawie znajdują się m.in. archiwalne projekty klasycystycznych obiektów, autorstwa pierwszego architekta Łazienek Królewskich – Tylmana van Gameren (ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie). To tak ważne dla mieszkańców miejsce Warszawy wpływało też na wyobraźnię Polaków. Łazienkowskie ogrody pojawiały się w literaturze, sztukach teatralnych i dziełach plastycznych, były tłem ważnych spotkań i wydarzeń, także o charakterze państwowym. Łazienki Królewskie to również ludzie i ich wielki wkład w rozwój i przemiany tego miejsca. Wystawa przybliży twórców i zarządców ogrodów, jak też nieznane dotąd szerszej biografie dawnych łazienkowskich ogrodników i ogrodniczek. Część z nich zasmakowała nawet życia w królewskiej rezydencji, a my mamy okazję podejrzeć, jak wyglądała niegdyś łazienkowska codzienność. Dzięki m.in. ilustracjom z zabytkowego *Herbarium* oraz z ksiąg wydatkowania i utrzymania łazienkowskich ogrodów z czasów carskich dowiadujemy się, jakie rośliny hodowlane cieszyły się tu niegdyś uznaniem i jak pielęgnowano ogrody. Na podstawie obrazów i archiwalnych zdjęć specjaliści z Działu Ogrodu Muzeum Łazienki Królewskie odtworzyli cztery historyczne rabaty, które możemy podziwiać – jako część wystawy – m.in. w okolicy Pałacu na Wyspie oraz Oberży. Wśród eksponatów przybliżających dawną codzienność łazienkowskich ogrodów są m.in. zabytkowe sprzęty ogrodnicze, w tym angielska kosiarka mechaniczna z l. poł. XX w, a także ciekawostka: gnomonograf, czyli urządzenie do rysowania zegarów słonecznych. W filmie prezentowanym na wystawie o swoich doświadczeniach w pracy opowiadają dzisiejsi ogrodnicy MŁK. Szeroki program wydarzeń wokół wystawy *Życie królewskiego ogrodu* obejmuje m.in. oprowadzania po ekspozycji, wykłady, warsztaty i spacer, poświęcone m.in. łazienkowskiej faunie i florze, architekturze krajobrazu oraz roli ogrodów i terenów zielonych we współczesnym mieście. Kuratorkami wystawy są: dr Małgorzata Grąbczewska, dr Izabela Kopania, Magdalena Lewna, Jolanta Żubrowska. Do 14 września. ●



K. Komar-Michalczyk; Wikipedia

♦ Warszawa dwukrotnie wyróżniona w konkursie Serwisu Samorządowego Polskiej Agencji Prasowej za Warszawski Standard Zielonego Budynku, który jest pierwszym w naszym kraju dokumentem określającym zasady projektowania i realizacji miejskich inwestycji. Ten zbiór wytycznych ma na celu poprawę efektywności energetycznej i ekologicznej inwestycji. Dotychczas świadectwo zgodności z WSZB otrzymały: biblioteka publiczna w Choszczówce na Białolece; jeden z odbudowanych domków na Jazdowie; budynek Centrum Edukacji Ekologicznej Lasów Miejskich na terenie Lasu Młocińskiego oraz budynek edukacyjny na modernizowanym EKO P+R Połczyńska.

♦ Trwa 42. edycja konkursu *Warszawa w kwiatach*, bardzo lubianej przez warszawiaków akcji kontynuującej przedwojenną tradycję zazieleniania i ukwiecania stolicy. Pomysłodawcą był prezydent Warszawy Stefan Starzyński, a dzisiaj konkurs jest prowadzony przez Zarząd Zieleni m.st. Warszawy i Towarzystwo Przyjaciół Warszawy. Informacje na stronie zww.waw.pl lub w siedzibach ZZW i TPW.

♦ Letnie pływalnie czekają. Ruszyły już otwarte baseny w dwóch ośrodkach SCS Aktywna Warszawa: Inflancka i Moczydło, nowa pływalnia na Ochocie przy ulicy Usypiskowej oraz pływalnia w Parku Kultury w Powsinie. Rozpoczął się też sezon kąpielowy na Jeziorku Czerniakowskim (o warszawskich pływalniach piszemy szerzej w dalszej części numeru).

♦ Od 15 czerwca więcej połączeń kolejowych, którymi dojedziemy nad Zalew Zegrzyński. Zawiozą nas tam pociągi S4 i S40, do których można wsiąść z autobusów, tramwajów czy metra. ●

Maj i czerwiec to tradycyjnie czas, kiedy warszawiacy masowo uczestniczą w imprezach na świeżym powietrzu, organizowanych na ulicach i w parkach. Swoją dzień świąteczny od lat mają nie tylko Saska Kępa czy Stare Bielany, lecz także Ursynów, Wilanów, Ochota i inne dzielnice, a nawet osiedla mieszkaniowe. Niedawno, bo przed trzema laty, do kalendarza imprez na świeżym powietrzu dołączył Ogród Saski.

Święto Ogrodu Saskiego

Aleksandra Pieterwas

Dla publiczności wszelkiej, przybywającej tak z bliska, „jak i z daleka” – Ogród Saski został otwarty równo 298 lat temu przez króla Augusta II Mocnego. Założony z iście królewskim rozmachem, w stylu francuskim, był pierwszym publicznym parkiem miejskim w Warszawie i w Polsce. Nazywano go zielonym salonem Warszawy, przez długi czas bowiem prawo wstępu do niego rezerwowano wyłącznie dla lepiej sytuowanych mieszkańców stolicy. „Mógł korzystać z niego każdy, kto był porządnie ubrany” – pisały Anna Berdecka i Irena Turnau w książce *Życie codzienne w Warszawie okresu Oświecenia* (Warszawa 1969). Dziś jest to ulubione przez warszawiaków miejsce spacerów i wypoczynku w samym sercu miasta, wejść może tu każdy.

Święto Ogrodu Saskiego w ostatnią sobotę maja fetowano z wielką pompą i w przedwojennym klimacie, pośród dorożek, welocypedów, dam i dżentelmenów w strojach „z epoki” i międzywojnia, przy dźwiękach orkiestr dętych, klaksonów starych samochodów... Czego tam nie było! Na scenie letniej święto otwierały kabaretowe szlagiery Teatru Żydowskiego; można było porozmawiać z jego wieloletnią dyrektorką Gołą Tencer i dostać jej autograf. W namiotach rozstawionych wzdłuż głównej alei ochotnicy zdobywali pieczątki, które na specjalnie wydanych z tej okazji pocztówkach musiały się ułożyć w napis: *Saski* – nagrodą była sadzonka róży! Aby uzyskać pieczątki, należało odwiedzić

kolejno: salon gier i prasowy, sklep podróżnika, dawną Poczta Polską, posterunek Policji Państwowej oraz punkt Przysposobienia Wojskowego dla Kobiet i szpital polowy. W „starym kinie” wśród rozstawionych patefonów widzowie, po założeniu specjalnych okularów, mogli obejrzeć filmy w technice 3D o starej Warszawie. Obok przyjmował Szewc Dratewka, krawcowe, modystki... Do wyboru, do koloru! Tłum spacerowiczów podziwiał starocie zwiezione przez kolekcjonerów z całej Polski – większość eksponatów miała charakter historyczny i unikatowy. Do tego jeszcze – cieszące się ogromnym wzięciem i dzieci, i dorosłych – arcykreatywne warsztaty muzyczne i kaligraficzne, zorganizowane przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. A wieczorem, przy wciąż pięknej pogodzie, odbyła się potańcówka obok sadzawki – przygrywała Warszawska Orkiestra Sentymentalna oraz CzessBand w towarzystwie zespołu Cała Praga Śpiewa.

Żal, że święto trwało tylko jeden dzień. Odbęto się dopiero i już po raz czwarty, jest nadzieja, że stanie się tradycją, a spacer i rozrywka w „pięknych okolicznościach przyrody” będą pretekstem do poznania historii związanej nie tylko z tym miejscem. A który król zwyciężył w głosowaniu na najlepszego władcę Polski zorganizowanym przez Muzeum Historii Polski? Czy największe szanse miał August II Mocny, fundator najstarszego polskiego parku miejskiego? Nie – okazało się, że w Ogrodzie Saskim wygrał Kazimierz Wielki. 🇵🇱



Najważniejsze sprawy

Architekci podczas okupacji

Tadeusz Michalski

„Ważne jest żeglowanie, ważniejsze niż samo życie” – powiedział wódz rzymski Pompeusz do marynarzy, kiedy ci obawiali się wyjść z afrykańskiego portu podczas sztormu. Rzym czekał na zboże, musieli wypłynąć

Helena Syrkus z Sigfriedem Giedionem i Le Corbusierem, l. 30. XX w.



Warszawa czekała na przebudowę. Teodor Toeplitz, przedwojenny działacz Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, często przytaczał motto Pompeusza. Podczas niemieckiej okupacji dodawało ono otuchy warszawskim architektom. Prowadzili dalej ideową pracę pomimo zagrożeń.

Pod osłoną magistratu

Polska upadła w 1939 r., ale Wydział Planowania Miasta nie przerwał pracy. Urbanisci pracowali nad planami Warszawy na niepewną przyszłość. Na czele Wydziału od 1934 r. do wybuchu Powstania Warszawskiego stał arch. Stanisław Różański. Oficjalnie Niemcy zakazali mu prowadzenia prac projektowych i zatrudniania nowych ludzi, w rzeczywistości wszystkie wydziały pracowały. Łącznie miasto zatrudniało ponad stu inżynierów, w tym 30 urbanistów – najlepszych specjalistów. Prowadzili prace koncepcyjne m.in. nad Trasą N-S, aleją Na Skarpie, przebiegiem Marszałkowskiej przez Ogród Saski czy terenami



Stanisław Lorentz i Jan Zachwatowicz podczas okupacji

Maria i Kazimierz Piechotkowie oraz Hanna Adamczewska w okresie tajnych studiów na Wydziale Architektury PW

wystawowymi na Saskiej Kępie. Różański i Stanisław Rychłowski opracowali projekt dzielnicy ministerstw na terenie po zburzonym przez Niemców getcie. Przy Zarządzie Miasta działała Komisja Rzeczników Urbanistycznych. Według Heleny Syrkus komisja ta – która zbierała się w pałacu Jabłonowskich – była jednym z najaktywniejszych w okresie okupacji „ośrodków dyskusji na temat kształtu przestrzennego przyszłej Warszawy”. Nie było tu mowy o kolaboracji, architekci na oficjalnych stanowiskach prowadzili autonomiczną pracę na rzecz Warszawy w porozumieniu z Polskim Państwem Podziemnym, wielu równolegle było czynnie zaangażowanych w konspirację. Praca dla magistratu dawała bezpieczeństwo, wtedy dobre papiery były na wagę złota.

Tajny wydział

Już w październiku 1939 r. Rada Wydziału Architektury PW, pod kierownictwem dziekana Stefana Bryły, zdecydowała o niestosowaniu się do niemieckich zakazów i o dalszym prowadzeniu pracy dydaktycznej i naukowej. Niemcy utworzyli w gmachu Architektury Szkołę Budowlaną o randze technikum, tymczasem zatrudnieni w niej profesorowie WAPW prowadzili zajęcia na poziomie studiów politechnicznych. Powstała także Szkoła Architektury Wnętrz, która miała kształcić techników projektantów; w rzeczywistości tu również przedmioty odpowiadały programowi studiów na przedwojennym Wydziale Architektury. Kazimierz Piechotka, student tej szkoły, wspominał zaawansowane zajęcia z budownictwa, które prowadził prof. Zdzisław Mąceński, oraz z projektowania wnętrz, prowadzone przez urbanistę Tadeusza Tołwińskiego, który zajęcia wykorzystał, by mówić o „wnętrzach urbanistycznych”. Zajęcia z projektowania architektonicznego prowadził prof. Rudolf

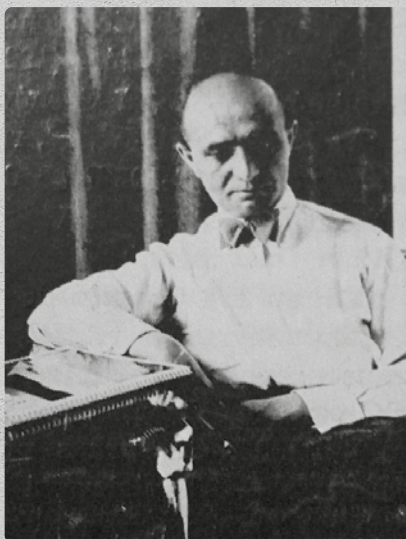


Świerczyński. Pod przykrywką oficjalnych szkół niższego szczebla wykładowcy prowadzili tajny Wydział Architektury. W konspiracji obronionych zostało ok. 20 dyplomów magisterskich, 9 prac doktorskich i 9 habilitacji – m.in. Jana Zachwatowicza. Zajęcia prowadziło 11 profesorów i 5 asystentów, odbywały się głównie w prywatnych mieszkaniach nauczycieli. Pomimo działalności pod własnymi nazwiskami i pracy wśród wielu studentów – nigdy nie doszło do dekonspiracji.

Podczas Powstania Warszawskiego w gmachu WAPW działał powstańczy szpital, wielu poległych powstańców i cywilów pochowano na dziedzińcu. Obecny na wydziale prof. Zachwatowicz przeniósł zbiory Zakładu Architektury Polskiej i biblioteki wydziałowej do piwnic, tę pracę wykonał z pomocą dawnych pracowników i studentów. Z powodu funkcji szpitalnej piwnic nie wszystkie zbiory udało się tam umieścić. Co pozostało na górze, spłonęło, ale dokumenty uratowane w piwnicach okazały się



Helena Syrkus



Szymon Syrkus



Obok i poniżej:
Kazimierz Piechotka
w czasie okupacji



później bezcennym wsparciem przy odbudowie warszawskich zabytków.

Pomieszczenia Zakładu Architektury Polskiej, z wyjściami na Koszykową i Lwowską, doskonale nadawały się do pracy konspiracyjnej. Działała tam komórka fałszerzy dokumentów wywiadu AK, dowodzona przez absolwenta WAPW cichociemnego Stanisława Jankowskiego „Agatona”, po wojnie współautora Trasy W-Z i MDM. Fałszerzami byli: Piotr Biegański, Kazimierz Piechotka i Zofia Chojnacka. Jankowski wspominał, że tajne dokumenty chowali wewnątrz makiety huculskiej zagrody. Dziekan Stefan Bryła pełnił ważną funkcję w Delegaturze Rządu na Kraj. Na potrzeby Kierownictwa Dywersji AK sporządził podręcznik tłumaczący, jak najłatwiej zniszczyć stalowe mosty. Wiedział to doskonale, w czasach pokoju był specjalistą od ich budowy.

Pracownia na Żoliborzu

Pracownia Architektoniczno-Urbanistyczna powstała w bloku IV Kolonii WSM przy ul. Krasińskiego 18. Spółdzielnia działała jawnie, ale pracownia projektowa zaczynała działanie w konspiracji. PAU powstała, aby kontynuować pracę nad urbanistyką osiedli uspołecznionych oraz przebudowę Warszawy i regionu zgodnie z założeniami tzw. Warszawy Funkcjonalnej. Stała się aktywnym i istotnym ośrodkiem prowadzenia prac koncepcyjnych, dyskusji i kształcenia. Pracowali w niej architekci związani przed wojną z grupą Praesens, Polskim Towarzystwem Reformy Mieszkaniowej, TOR i WSM. To tu, wedle wspomnień Heleny Syrkus, unosiła się w powietrzu łacińska dewiza Pompejusza.

Pierwszymi okupacyjnymi zadaniami Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego była odbudowa zbombardowanych we wrześniu 1939 r. osiedli WSM Rakowiec i TOR na Kole. Przy tej okazji udało się zalegalizować PAU, oficjalnie miała się zajmować nadzorem odbudowy. W 1942 r. na liście płac pracowni figurowało 80 osób, w tym 20 architektów i urbanistów, 10 konstruktorów, 6 socjologów. W pracy PAU brali udział studenci, zdobywali bezcenne doświadczenie i znajomości, byli wśród nich Jacek Nowicki i Halina Skibniewska (wtedy Erentz).

Architekci PAU w warunkach okupacyjnych mieli wiele czasu na pracę analityczną nad planowaniem osiedli mieszkaniowych.

M. i K. Piechotkowie, Wspomnienia architektów, Warszawa 2021; NAC



Ryszard Białous „Jerzy”, ok. 1945 r.



Kazimierz Piechotka



Prof. Stefan Bryła

Ewolucja ich poglądów na przestrzeń osiedla wyprzedziła zmiany, które zaszły w światowym ruchu nowoczesnym w latach 50. Przedwojenne projekty Syrkusów odzwierciedlały poglądy Bauhausu, np. na obowiązkowe i nadrzędne dopasowanie zabudowy mieszkalnej do kierunków świata. W „okupacyjnym” projekcie rozbudowy Rakowca architekci wprowadzili kompozycję wnętrza urbanistycznych. Według Jacka Nowickiego projekt Syrkusów był pionierski – jako „przedstawiający pełne rozwiązanie projektowe, dla ujętych całościowo problemów społecznych, programowych, przestrzennych, urbanistycznych”. Opracowane wtedy zasady realizowano w osiedlach budowanych po wojnie.

Ludzie związani z PAU podjęli się pracy w imię idei, mimo zagrożeń i beznadziejnej sytuacji. Nie chcieli siedzieć bezczynnie, dbać tylko o swoje bezpieczeństwo. Zrobili wiele, a ich praca nie poszła na marne. Studia PAU na temat przyszłości dzielnic centralnych Warszawy stały się fundamentem myśli projektowej powojennego Biura Odbudowy Stolicy.

Willa na skarpie

Nie tylko sami architekci musieli stawić czoła wojennej rzeczywistości. Ich architektura – scenografia życia człowieka – także przeżyła wojnę. Dom prof. Pniewskiego w alei Na Skarpie, chyba mój ulubiony warszawski budynek, był areną walki podczas Powstania Warszawskiego. Niemcy chcieli odciąć Powiśle Czerniakowskie od Śródmieścia, droga wiodła przez skarpę. Na marmurowej posadzce klatki schodowej zachowała się połączona z kamieniem plama krwi, na ścianach wewnętrznych i zewnętrznych przetrwały ślady po kulach i odłamkach.

22 września 1944 r. był ostatnim dniem walki powstańców na Powiślu Czerniakowskim i ostatnim dniem istnienia harcerskiego batalionu „Zośka”. Wieczorem niedobitki powstańców i żołnierzy 1 Armii LWP pod

dowództwem kapitana „Jerzego” (Ryszarda Białousa – przed wojną studenta Wydziału Architektury PW) zajmowały dom przy ul. Wilanowskiej 1. Około północy, kiedy ostatnia próba ewakuacji przez Wisłę się nie powiodła, kpt. „Jerzy” podjął decyzję o przebiciu pozostałych żołnierzy w kierunku Śródmieścia. Po natknięciu się na Niemców i gwałtownej strzelaninie grupa uległa rozproszeniu. Ubrani w niemieckie mundury zośkowcy „Halicz” i „Blond”, łączniczka „Wika” oraz sierżant LWP zdołali pod dowództwem „Jerzego” dotrzeć przez Książęcą i zajęty przez Niemców dom Pniewskiego do gmachu YMCA przy ulicy Konopnickiej, gdzie stacjonowali Polacy:

„Biegniemy do domu prof. Pniewskiego – wspominał Ryszard Białous. – Wchodzę wolno po schodach, za mną koledzy. Jest zupełnie ciemno. Mam w prawym ręku «Stena», w lewym latarkę, dwa ostatnie granaty tkwią za pasem [...] Na schodach wartownik. Polak czy Niemiec? Błysk latarki. Odpowiedź: Niemiec. Odsuwam go zdecydowanym ruchem ręki, mijam go, jęcząc

Podpalenie zabudowy Warszawy po upadku
Powstania Warszawskiego





▲ Willa prof. Bohdana Pniewskiego w alei Na Skarpie, fot. z 2019 r.

Ślady krwi na posadzce w willi prof. Bohdana Pniewskiego w alei Na Skarpie, fot. z 2019 r. ▶



głośno i trzymając się za zakrwawioną twarz. Za mną towarzysze. Schodzimy do piwnicy, odprowadzani przez zaskoczonych i zdziwionego wartownika. Jesteśmy w pracowni profesora – nie spodziewałem się, że będę odwiedzał pracownię mego profesora w takich okolicznościach. Z pracowni idziemy na taras, chcemy zeskoczyć do parowu, który biegnie do gmachu YMCA. Ale wysokość jest zbyt wielka, musimy wracać na górę. Jest już dwóch wartowników. Przyglądają się podejrzliwie, zadają jakieś pytania, na które odpowiadam jękami, trzymając się ręką za twarz. Odsuwamy barykadę z drzwi i wychodzimy na taras na parterze. I tu to samo: za duża wysokość. Jeszcze raz wracamy do domu, w którym roi się od Niemców. Nie ma na co czekać: pierwszym oknem, bez namysłu, skaczą z pierwszego piętra [...] skaczą za mną koledzy, potem biegiem po skarpie do parowu i pod górę do budynku YMCA [...] Polacy czy Niemcy? [...] Soczyste przekleństwo i pytanie: – Stój, kto idzie? – napełniają mi duszę muzyką. A więc swoi...”

do ewakuacji zbiorów: Muzeum Narodowego, Biblioteki Narodowej, Biblioteki Uniwersyteckiej, Archiwum Głównego, Muzeum Zoologicznego, a także m.in. Hipoteki i Seminarium Duchownego. Pieniądze na wynajem ciężarówky i łapówki dla Niemców Zachwatowicz osobiście odbierał od przedstawicieli państwa podziemnego. Od początku listopada do połowy stycznia 1945 r. wyjeżdżały z Pruszkowa do Warszawy samochody, do każdego transportu dołączani byli niemieccy nadzorcy, na szczęście podatni na korupcję, dzięki czemu udało się wywieźć przedmioty z wielu miejsc nieobjętych umową, np. zbiory ZAP z Koszykowej. Uczestnicy akcji pruszkowskiej uratowali ok. 300 tys. książek, bezcenne dokumenty i zbiory Muzeum Narodowego. Jan Zachwatowicz, Piotr Biegański i inni architekci w dzień jeździli do niszczonej Warszawy, wieczorami pracowali nad projektami jej odbudowy.

Akcja

Dziewięć dni po kapitulacji Powstania Warszawskiego Hitler wydał rozkaz całkowitego zniszczenia miasta, wcześniej miały zostać wywiezione wszelkie dobra przydatne Niemcom. Zadanie zniszczenia Warszawy Himmler powierzył dowódcy SS i policji dystryktu Paulowi Ottonowi Geiblowi. Rozkaz był wykonywany. Najpierw plądrowano wybrany kwartał zabudowy, później w dwóch falach przychodzili saperzy, którzy podpalali i wysadzali domy. Hitlerowcy wydali wyrok na miasto, cała Warszawa miała podzielić los getta – zniknąć.

Jan Zachwatowicz odnalazł w Podkowie Leśnej prof. Stanisława Lorentza, który organizował już akcję wywozu archiwów i zabytków z palonej Warszawy. W tzw. akcji pruszkowskiej wzięło udział sto kilkadziesiąt osób. Lorentz osobiście spotkał się z Geiblem i gubernatorem Fischerem, a powołując się na punkt dziesiąty kapitulacji, uzyskał zgodę na „ewakuację zbiorów na teren Rzeszy” pod warunkiem wykonania akcji pod nadzorem niemieckim i w terminie dwóch tygodni.

Utworzono pięć zespołów do ewakuacji zbiorów: Muzeum Narodowego, Biblioteki Narodowej, Biblioteki Uniwersyteckiej, Archiwum Głównego, Muzeum Zoologicznego, a także m.in. Hipoteki i Seminarium Duchownego. Pieniądze na wynajem ciężarówky i łapówki dla Niemców Zachwatowicz osobiście odbierał od przedstawicieli państwa podziemnego. Od początku listopada do połowy stycznia 1945 r. wyjeżdżały z Pruszkowa do Warszawy samochody, do każdego transportu dołączani byli niemieccy nadzorcy, na szczęście podatni na korupcję, dzięki czemu udało się wywieźć przedmioty z wielu miejsc nieobjętych umową, np. zbiory ZAP z Koszykowej. Uczestnicy akcji pruszkowskiej uratowali ok. 300 tys. książek, bezcenne dokumenty i zbiory Muzeum Narodowego. Jan Zachwatowicz, Piotr Biegański i inni architekci w dzień jeździli do niszczonej Warszawy, wieczorami pracowali nad projektami jej odbudowy.



▲ Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej

Odsłonięcie tablicy ku pamięci architektów i studentów poległych w Powstaniu Warszawskim, Wydział Architektury PW, 2024 r. ▶

Epilog

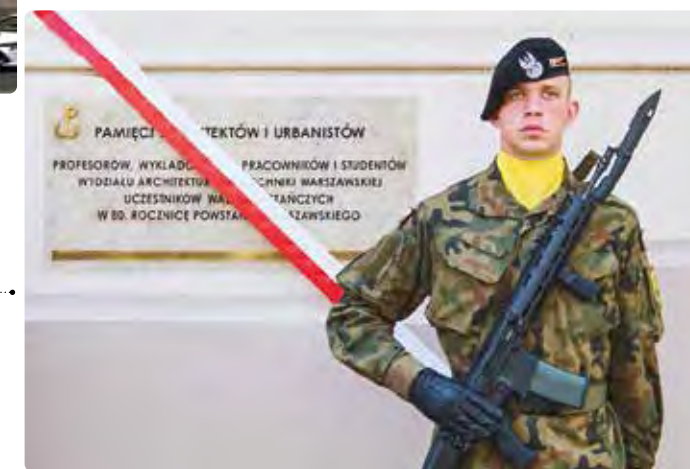
Na liście polskich architektów zmarłych w wyniku II wojny światowej widnieją 644 pozycje.

Prof. Marian Lalewicz został zastrzelony podczas Powstania Warszawskiego; widzieli go niedługo przed śmiercią jego studenci: Stanisław Jankowski i Kazimierz Piechotka, wtedy żołnierze zgrupowania „Radosław”. Opuszczali Wolę, profesor stał w grupie cywilów, poznał ich i zapytał: „Wychodzicie, co będzie dalej?”. Nie wiedzieli. Prawdopodobnie profesor znalazł się w grupie mężczyzn rozstrzelanych na podwórku przy ul. Dziekiej 17. W 1939 r., ranny odłamkiem na dziedzińcu Wydziału Architektury, zginął prof. Oskar Sosnowski. W publicznej egzekucji został rozstrzelany prof. Stefan Bryła. Prof. Jan Alfred Lauterbach ukrywał się, ale został zadenuncjowany, zginął. Prof. Aleksander Bojemski został rozstrzelany w zbiorowej egzekucji podczas Powstania. Prof. Aleksander Wasiutyński – twórca kolei średnicowej w Warszawie – podczas Powstania miał 85 lat, zmarł wyczerpany marszem po wygnaniu z miasta. Prof. Rudolf Świerczyński zmarł na zawał podczas

BIBLIOGRAFIA:

R. Białous, *Walka w pożodze*, Warszawa 2009; K. Dunin-Wąsowicz, *Warszawa w latach 1939-1945*, Warszawa 1984; K. Kucza-Kuczyński, *Twórcy i dzieła warszawskiej szkoły architektury*, Warszawa 2017; J. Nowicki, *Środowisko mieszkaniowe*, cz. II, Warszawa 2003; M. i K. Piechotkowie, *Wspomnienia architektów*, Warszawa 2021; H. Syrkus, *Ku idei osiedla społecznego 1925-1975*, Warszawa 1976; H. Syrkus, *Działalność architektów i urbanistów w Warszawie w okresie okupacji hitlerowskiej 1939-1945*, w: *Warszawa lat wojny i okupacji 1939-1944*, z. III, Warszawa 1973; J. Zachwatowicz, *Wspomnienia z lat okupacji*, w: *Walka o dobra kultury. Warszawa 1939-1945*, red. S. Lorentz, t. I, Warszawa 1970.

radzieckiego nalotu na Warszawę, miał 56 lat. Juliusz Nagórski, autor hotelu Polonia, został zamordowany podczas Powstania. Wacław Rytel – zamordowany w Katyniu. Józef Szanajca zaciągnął się do Wojska Polskiego w 1939 r. jako kierowca, poległ w okolicach Kocka. Zygmunt Łoboda, tworzący z żoną Jadwigą Dobrzyńską jeden z najbardziej awangardowych duetów architektonicznych międzywojnia, został zamordowany w obozie koncentracyjnym Flossenbürg. Wacław Weker, autor jednej z luksusowych kamienic na Wiejskiej, zmarł od ran podczas Powstania. Henryka Oderfelda rozstrzelano w Warszawie w 1944 r. Romuald Miller zmarł trzy miesiące po zakończeniu wojny w wyniku powikłań po ciężkich obrażeniach z Powstania. Jerzy Gelbard, razem ze swoją kamienicą przy ul.



Siennej 57, znalazł się w warszawskim getcie. Potem się ukrywał, siedział na Pawiaku, był więźniem obozu koncentracyjnego na Majdanku, gdzie został zamordowany. Maksymiliana Goldberga zabito w getcie warszawskim. Ludwik Paradista, autor wieżowca mieszkalnego przy ul. Sewerynow 4, został zamordowany w getcie warszawskim. Roman Sigalin zginął w Katyniu.

Ci, którzy przeżyli, do końca stawiali czoła skutkom wojny, zarówno w przestrzeni miasta, jak i we własnych głowach. Ich postawa zapewniła ciągłość polskiej architektury. 🇵🇱

Tadeusz Michalski – varsavianista, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej oraz Polskiej Szkoły Reportażu

Hotel Polonia Palace

podczas okupacji i Powstania Warszawskiego

Paweł Brudek

Czterogwiazdkowy hotel Polonia w Alejach Jerozolimskich 39, trzeci po hotelach Bristol i Europejskim najstarszy tego typu obiekt w Warszawie, był od 1913 r. synonimem elegancji i barwnego życia elit II RP

Widok na hotel Polonia
(na drugim planie po lewej)
od strony ruin jednego
z budynków Dworca
Głównego,
fot. z czasu Powstania
Warszawskiego



Muzeum Powstania Warszawskiego

W e wrześniu 1939 r. uniknął większych zniszczeń – miał zatem dużo szczęścia, zważywszy na bliskie położenie względem Urzędu Telekomunikacyjnego na rogu ulic Nowogrodzkiej i Poznańskiej, celu niemieckich ataków. Zofia Braun „Zosia”, przyszła sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim, wspominała, że 3 września 1939 r. zaczęła przychodzić z siostrą do hotelu Polonia, skąd przenosiła wrzącą wodę, herbatę i kawę na pobliski Dworzec Główny, gdzie docierały pociągi z uchodźcami spod niemieckiej granicy. Po 13 września Śródmieście było już tak intensywnie bombardowane, że mama zakazała Zofii wychodzić z prowizorycznego schronu w piwnicy. Koszmar niemieckiego oblężenia hotel przetrwał z uszkodzonym dachem, częścią wybitych szyb i częściowo niesprawną instalacją wodno-kanalizacyjną.

Polonia 1939-1944

Do 1941 r. hotel Polonia nie koncentrował na sobie większej uwagi Niemców, chętniej korzystających z Bristolu i Europejskiego. Hotel w Alejach wciąż eksploatowali przedwojenni dzierżawcy – spółka Wojciecha Paprockiego, Jana Mroczyka i Mariana Nagabczyńskiego. Zarządcą był bezpośredni prokurent tej spółki, przedwojenny szef recepcji Tadeusz Władysław Ortwein (Orthwein, 1885-1944). Ten ostatnio odszedł z Polonii na początku 1941 r., po tym, jak odmówił podpisania folkslisty. Został wyrzucony także z mieszkania, które zajmował. Zginął w Powstaniu Warszawskim.

Sytuacja Polonii zaczęła się zmieniać po niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 r. Do miasta zaczęli przybywać coraz liczniejsi oficerowie Wehrmachtu, rosła też liczba urzędników; wszyscy szukali zakwaterowania, co nie było łatwe, z uwagi na skalę zniszczeń z 1939 r. Dla tego celu władze niemieckie zarekwirowały dużą liczbę pokoi w najważniejszych hotelach w mieście. W maju 1943 r. Wehrmacht zarządził 4430 pokoi z ok. 5550 łózkami w kilku hotelach. Udostępniał je swoim podróżującym oficerom, ale załatwianiem sobie w nich pobytu byli zainteresowani także cywilni urzędnicy, szukający wygody i łatwego dojazdu do miejsc pracy, jak też rozrywki w Śródmieściu.

Niemcy zarekwirowali w całości hotel Polonia i 1 września 1941 r. urządzili tam Urząd Kwaterunkowy dla oficerów Oberfeldkommandantur 225 (Wyższej Komendantury Polowej Wehrmachtu Warszawa, czyli garnizonu miasta). Dawny hotel nazywał się odtąd Quartieramt und Standort-Offiziersheim „Der Reichshof”, z adresem Bahnhofstraße 39, czyli Dworcowa, jak nazywano ten odcinek Alej Jerozolimskich. Obiekt oferował 240 miejsc noclegowych dla oficerów i wyższych rangą cywilnych pracowników Wehrmachtu. W styczniu 1942 r. tak opisywał hotel Franz Blättler, kierownca szwajcarskiej misji Czerwonego Krzyża w Warszawie: „Upiornie pozdrawiają mnie zdruzgotane frontony



Fragment planu Warszawy z przewodnika *Soldaten-Führer durch Warschau* (Rudolf Meier, Warszawa 1942); nr 9 – hotel Polonia jako „Der Reichshof”, nr 12 – Dworzec Główny

domów. Gdzie nie spojrzę, wypalone mury, tylko parter i niekiedy jeszcze niższe piętra zdają się być nie uszkodzone. Nie, tam po drugiej stronie znajduje się dobrze zachowany budynek. «Reichshof» – mogę teraz odczytać duży napis. Sądząc po standardzie stojących przed nim aut, musi to być hotel dla oficerów i wyższych funkcjonariuszy partii. Budynek obok jest pewnie nocnym lokalem. Gdy dokładniej tam spoglądam, mogę rozpoznać na wystawie zdjęcia gołych kobiet. Całkiem osobliwy jest ten kontrast: obdarci ludzie, wychudzone twarze, zdjęcia roznegliżowanych dam i jako tło – fasady strzaskanych i wypalonych domów”.

Apartament nr 102 zajął kwatermistrz niemiecki na Warszawę i okolice Hugo Harroiter, który początkowo wydawał także dyspozycje do kierowania hotelem. W 1941 r. władze niemieckie wyznaczyły na zarządcę komisarzycznego hotelu i restauracji (Treuhändera) Thea Wolfa, przed wojną gościa hotelu. Przebudował on Polonię, zwiększając część hotelową. Na piętrach drugim, trzecim i czwartym przebito korytarze do części z mieszkaniami czynszowymi, które również przerobiono na pokoje hotelowe. Hotel i restauracja obsługiwały odtąd tylko oficerów niemieckich, przy czym obsługa była wyłącznie polska.

Kawiarnia hotelowa do wybuchu Powstania Warszawskiego znajdowała się w rękach Stanisława Mordesa. Od 1943 r. nosiła nazwę Kawiarnia Zewnętrzna



Na pierwszym planie ruiny Dworca Głównego, w głębi hotel Polonia, 1945 r., fot. Wacław Żdżarski

i przyjmowała polskich klientów, prowadząc także dla nich niewielki program kabaretowy. Wejścia do hotelu pilnowało dwóch wartowników, po jednym rozmieszczono także w holu, przy ladzie recepcyjnej i na każdym piętrze. Wartownicy, zazwyczaj folksdojczy, wywozili się m.in. z Austrii. Pracownicy handlowali z nimi różnymi towarami i żywnością, niekiedy strażnicy organizowali nawet sprzedaż broni i amunicji dla podziemia. Warty musiały jednak na pokaz zachowywać czujność i dyscyplinę; często pojawiała się inspekcja, a przeprowadzał ją m.in. kpt. Wilm Hosenfeld, oficer komendantury Wehrmachtu, który po Powstaniu Warszawskim udzielił bezcennej pomocy Władysławowi Szpilmanowi. W hotelu znajdowała się także siedziba Środkowoeuropejskiego Biura Podróży (Mittleuropäisches Reisebüro, MER), powstałego w 1917 r. i po I wojnie przemianowanego na Deutsches Reisebüro (Niemieckie Biuro Podróży). Nieoficjalnie firma była zaangażowana w transportowanie Żydów do Auschwitz – zachował się telegram zawierający rozliczenie za transport Żydów z Belgii, Francji i Holandii pociągami Reichsbahn

do Auschwitz, za pośrednictwem MER. Centrala MER mieściła się w Berlinie.

Hotel w trudnej i dalekiej od normalności codzienności okupacji zaczął pełnić nietypowe role. W pomieszczeniach Polonii zorganizowano nielegalną produkcję bimbru, w co zaangażowany był Lech Kobylński „Konrad”, por. Batalionu Czwartaków Armii Ludowej, który wspominał:

Gen. Dwight D. Eisenhower podczas wizyty w Warszawie 21 września 1945 r., z prawej strony gen. Marian Spychalski, fot. wykonane na Rynku Starego Miasta



MAC, domena publiczna

„Recepcjonistą w tym hotelu [...] był nasz znajomy, to znaczy znajomy o tyle, że to był ojciec żony jednego z moich wujków. I on mówi: «Wiedziecie co, najlepiej będzie, jeśli będziemy robili tę rektyfikację w tym hotelu – mówi – bo to jest bezpieczne. Tam tylko wojsko niemieckie może, że tak powiem, wchodzić, wobec tego tam nikt wam nie zrobi jakiegś krzywdy». Kłopot był tylko z tym, że [trzeba było przeprowadzić instalację elektryczną]. Natychmiast tam z tymi elektrykami z hotelu [to zrobiono]. Jemu chyba podlegali w jakiś sposób, więc wyszyskowali tam taką piwnicę, ustawiliśmy tam tę aparaturę i kłopot był tylko z tym, że trzeba to jakoś wnieść i wynieść [aparaturę]. Oczywiście przez recepcję nie można [było, ale] tam było takie boczne wejście, jakieś malutkie, gdzieś tam od tyłu [...], że można było, powiedzmy sobie, rano tę bańkę ze spirytusem wynieść. I rzeczywiście, zaczęliśmy produkować ten spirytus w hotelu Polonia [...] Wszystko było bardzo dobrze [...] no ale z tym wynoszeniem był jednak duży kłopot, bo moja mama najczęściej tym się zajmowała, to zawsze rano brała te dwie bańki spirytusu po dwadzieścia litrów, wynosiła, trzeba było wynieść i Poznańską iść. I któregoś dnia na Poznańskiej idzie z tymi bańkami, a patrol żandarmerii niemieckiej, trójka taka. Dowódca tego patrolu mówi do mamy: «Co tam masz?». Mama była przerażona oczywiście, bo wie pani, [za to szło się] do obozu od razu albo [na Pawiak]. Wziął taką bańkę, odkręcił, powąchał: Ooo – mówi – ja, ja, Milch, Milch. Milch! (mleko) Zakręcił, mówi: «Idź». No i tak się to skończyło”.

Hotel zaczął żyć „podziemnym życiem”; działała tu grupa konspiratorów, prowadzących obserwacje, ale i nawiązujących relacje z okupantem, oficjalnie surowo zakazane. Według Wacława Rybickiego zatrudnione w hotelowej centrali telefonicznej jeszcze przed wojną telefonistki mogły notować rozmowy miejscowe i zamiejscowe, które przekazywały podziemi. Obserwowano też zachowania okupantów wykazujących skłonność do alkoholu i przemocy, także wobec siebie. W nocy z 1 na 2 stycznia 1941 r. w kawiarni doszło do pijackiej burdy wywołanej przez nietrzeźwych szoferów SS Herberta S. i Hermanna G., napastujących gości lokalu, w których obronie stanął policjant z Schutzpolizei. Policjant podczas bijatki zastrzelił Herberta S., został jednak uniewinniony za „działanie w obronie własnej”.

Okolice hotelu mogły również pełnić rolę mniej widocznego miejsca egzekucji. W 1946 r. 45-letni mieszkaniec warszawskiej Woli Michał Kostyra zeznał, że w 1943 r. był dwukrotnie świadkiem publicznych egzekucji dokonywanych przez żandarmów niemieckich na Polakach: „W owym dniu przyjechałem tramwajem na Al. Jerozolimskie. Ledwie wysiadłem z tramwaju, żandarmi popędzili mnie ulicą i zapędzili w bramę jednego z domów. Uciekłem na drugie piętro i ukryłem się w mieszkaniu prywatnym, obawiając się, że zostanę aresztowany. Z okna tego mieszkania widziałem,



Plakat firmy Mittel-Europäisches Reisebüro (MER) autorstwa Ludwiga Hohlweina, Monachium 1928 r.

jak żandarmi otoczyli miejsce na ulicy, z którego była usunięta publiczność, i wystrzelili z broni maszynowej do ofiar egzekucji, którzy wówczas nie byli związani, nie mieli na oczach opasek i rzucili się do ucieczki. Na skutek szeregu strzałów z broni maszynowej wszyscy uciekający padli zabici”.

Polonia w Powstaniu 1944 r.

Tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego w hotelu Polonia zintensyfikował się wspomniany handel bronią z Niemcami. Transakcję taką przeprowadził Bolesław Biega „Pałak” z batalionu „Kiliński”:

„Miałem dwa tygodnie przed powstaniem ekspedycję, że kupiłem od Niemca broń w hotelu Polonia. [...] Jedną z naszych sanitariuszek zawiadomiła Lili (pracowała jako pokojówka w hotelu Polonia), że jest oficer niemiecki, który chce sprzedać broń. Od razu skomunikowałem się z moim dowódcą «Fraszą». Powiedział: «No, mamy pieniądze, to dowiedz się, co to jest». Poszedłem do tego hotelu Polonia i muszę powiedzieć, że miałem trochę strachu – trudno wiedzieć, czy jakaś pułapka, czy naprawdę [chce sprzedać]. Sanitariuszka dała wiadomość, żeby pójść do pokoju, nie pamiętam numeru, ale powiedzmy pokój 310. Udałem się do pokoju 310,



Rozbiórka ruin Dworca Głównego, w tle widoczny m.in. hotel Polonia (z lewej strony), fot. Stefan Rassalski, 1947 r.

oczywiście oficerowie niemieccy trochę dziwnie patrzyli na tego cywila. [...] Potem wchodzi oficer niemiecki, taki właśnie co wrócił z frontu. Zdaje się, on był bardziej przestraszony niż ja, bo oczywiście wiadomo, że kula w łeb, jak jego [by przyłapano]. Usiedliśmy na łóżku i powiedział, że chce mi sprzedać około dziesięciu karabinów. Mówię: «No dobrze, co z amunicją?». – «Ach, ileś tam, pięć tysięcy sztuk amunicji». Targowaliśmy się. Już nie pamiętam, powiedzmy, że żądał dziesięć tysięcy marek, a ja powiedziałem: «Niemożliwe, ofiaruję pięć tysięcy». Targowaliśmy się, targowaliśmy się, aż w końcu zgodziliśmy się na jakąś cenę. [...] Tego wieczora dostałem pieniądze od «Fraszy» i rano wróciłem do tego pokoju. Otworzyłem szafkę, a tam rzeczywiście było dziesięć karabinów owiniętych w gazety i amunicja. On potem wszedł do pokoju, sprawdziłem, że amunicja pasuje do karabinu, że wszystko jest w porządku, on przyszedł, dałem mu umówioną ilość dolarów, zsalutował i poszedł. Konspiratorzy musieli jednak teraz wynieść broń z hotelu. Sanitariuszka z koleżankami-pracownicami włożyły ją do worków z brudną bielizną, które zniesiono tylnymi, kuchennymi drzwiami, gdzie czekały już podstawione przez chłopców wózki rowerowe. Grupa uformowała się w „szyk bojowy»: z przodu szły sanitariuszki badające drogę, mające dać znać o niebezpieczeństwie, upuszczając chustkę; potem «dwóch, trzech naszych uzbrojonych», następnie dwóch na wózkach, i grupa osłonowa po obu stronach ulicy. W sumie w akcji wzięło udział 12 osób. Duży stres wywołało niespodziewanie pojawienie się niemieckiego konwoju z frontu; trzeba było przeczekać, aż przejedzie Alejami. W końcu można było jechać dalej; udało się dotrzeć na ul. Żelazną, gdzie akowcy ukryli broń. W ten sposób wydatnie wzmocnili stan uzbrojenia Batalionu «Kiliński» na dwa tygodnie przez godziną «W».

Po wybuchu Powstania 1 sierpnia 1944 r. hotel stał się istotnym niemieckim punktem strategicznym, wyprowadzano stąd ataki na polskie placówki w Alejach Jerozolimskich. Kwaterował tu jeden z dowódców niemieckich grup bojowych, mjr Max Reck. Niemcy wybudowali przekop biegnący od skrzyżowania Alej i Marszałkowskiej do samej Polonii, którym mogli niepostrzeżenie się przemieszczać. Hotel stanowił też dogodny punkt obserwacyjny i bastion obronny. Niewyjaśniona pozostaje kwestia, co w tym czasie działo się z personelem Polonii – pytaniem otwartym pozostaje, czy został on w całości wysiedlony do obozu przejściowego w Pruszkowie. Wojskowa obsada hotelu była bardzo silna: 7 września 1944 r. ok. 200 żołnierzy niemieckich przeszło z hotelu Polonia na Dworzec Główny, skąd – wspierani czterema czołgami – zaatakowali pozycje zgrupowania „Gurt” po nieparzystej stronie Chmielnej. Stanisław Dąbrowski „Rys” z batalionu „Kiliński” wspomina, że otrzymał rozkaz wybudowania barykady na rogu Marszałkowskiej i Chmielnej z pomocą niemieckich jeńców. W chwili zastoju w walkach wysłano ich na środek Marszałkowskiej, by spróbowali przyciągnąć wagon tramwajowy, celem wykorzystania go do budowy. Wtedy Niemcy z hotelu Polonia otworzyli ogień i zabili ośmiu z nich. Ciała tych Niemców miały zostać wydobyte na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej w 1948 r. Według Stanisława Dąbrowskiego załoga hotelu była ciężko uzbrojona: „Niemcy mieli działka przeciwpancerne na trzecim-czwartym piętrze w hotelu Polonia i mieli wspaniałą widok, bo tak jak od Alej do Chmielnej nie było żadnych budynków, tylko był przy Zielnej na Chmielnej jeden budynek, a tu była pusta przestrzeń, więc mieli wspaniałą obserwację aż do ulicy Żłotej”.

Cywil Mateusz Kwiatkowski widział stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego w eliptycznym oknie u samej góry hotelu (dziś jest tam Apartament Angielski). Okno jego rodzinnego domu wychodziło na hotel. Z całą rodziną przeniósł się do piwnicy, ale w mieszkaniu zostały jakieś zapasy żywności. Postanowił spróbować się tam dostać: „Ale żeby tam do tego kredensu się dostać, to po prawej stronie było okno, duże okno z widokiem właśnie na hotel Polonia. Ale ja, smyk, szybko chciałem przebiec do tego kredensu i widocznie akurat, no zbieg okoliczności, przypadek, [Niemiec] musiał patrzeć w to moje okno i pociągnął serię, na szczęście nade mną, tylko szafę rozpruł. Więc ja pacnąłem na ziemię,

oczywiście okrakiem pod oknem, już pod parapetem się przeczołgałem i z tego kredensu tam po podłodze szurnąłem troszeczkę tych zapasów, z powrotem tą samą drogą się wycofałem”.

Zdzisław Kunowski „Nina” ze zgrupowania „Gurt” przyjrzał się niemieckim stanowiskom w hotelu: „W hotelu Polonia w oknach powiewały białe prześcieradła, a na parapetach Niemcy ułożyli [...] płyty chodnikowe z małą strzelnicą. Wycięli otwór strzelniczy w tym płótnie, które wisiało za kamiennymi płytami. Taki mam widok, białe prześcieradła z otworami, zza których od czasu do czasu strzelcy wyborowi strzelali, że tylko głowę jak ktoś przechylił w nieumiejętny sposób, to od razu został zabity”.

Według Czesława Grzywacza „Konrada” ze zgrupowania „Gurt” Niemcy dookoła hotelu wybudowali płoty z dykty wysokości jednej kondygnacji: „Słyszeliśmy, jak sobie chodzą, tuptają, gadają. Ale nic nie mogliśmy zrobić, bo nie było ich widać”. Jerzy Chlistunoff „Jurek” z batalionu „Kiliński” widział ślepa wschodnią ścianę budynku hotelu Polonia, w której wybito otwory strzelnicze; nie było tam żadnych okien. Powstańcy nie tracili z oczu tych otworów, z których obserwowano ich pozycje. Niebezpiecznego strzelca wyborowego z hotelu Polonia zapamiętał Jerzy Oględzki „Jur” z batalionu „Gozdawa”: „Na drugi czy trzeci dzień ten żołnierz 2 Armii wychylił się (był w randze sierżanta) i dostał w głowę. Snajper miał swoje stanowisko w hotelu Polonia.

Od snajpera zginął też szef saperów, zlekceważył moje ostrzeżenie, że jest ostrzał. [...] W rogu hotelu Polonia wykuty był otwór i stamtąd strzelał, ale zawsze dymek się pokaże po strzale. Jak się pokazał, strzeliłem z ptra. Kolega, który patrzył przez lornetkę, mówi: «Kula poszła w otwór». I zrobił się spokój”.

W krótkim czasie między przerwą w walkach a kapitulacją (30 września – 5 października) Zbigniew Szulczewski „Bankier” ze zgrupowania „Chrobry II” postanowił pójść do swojego mieszkania w domu za ulicą Poznańską, by przed niewolą wziąć sobie ciepłe ubranie. Liczył, że Niemcy wyrażą zgodę. Był ubrany w mundur niemiecki: płaszcz żandarmerii, czapkę w kolorze panterki z orzełkiem i opaskę biało-czerwoną. Poszedł do hotelu, gdzie mieściło się niemieckie dowództwo odcinka obejmującego ulicę Poznańską:

„Tego momentu nie zapomnę, jak w niemieckim umundurowaniu otworzyłem drzwi, akurat żadnego wartownika nie było przy drzwiach i wszedłem do głównego wejścia, do westybulu hotelu Polonia, a tam pełno oficerów niemieckich. Po chwili zauważyłem, że wszystkie oczy zwróciły się na mnie i zaległa śmiertelna cisza. Wtedy dopiero się wystraszyłem, jak się zorientowałem, jak jestem ubrany, że oni pomyślą na pewno: zdarł, zastrzelił jakiegoś Niemca i zdjął z niego. Ale nie. Podszedł do mnie oficer, zsalutował, zapytał: «Czego pan sobie życzy?» Was wünschen Sie? Powiedziałem, że do wybuchu Powstania mieszkalem trzy domy dalej, jutro

Aleje Jerozolimskie od Dworca Głównego w kierunku wschodnim, w głębi po prawej hotel Polonia, fot. z okresu okupacji, wykonana przez nieznanego Niemca



NAC, Muzeum Powstania Warszawskiego



wychodzę do niewoli, to jest mój brat – przedstawiłem brata – i chciałem zabrać trochę osobistych rzeczy – bieliznę, może ciepłe palto. Hans, komm, komm! – przywołał żołnierza i mówi: «Idź z panami». To się wszystko bardzo elegancko odbywało. Cały czas jak szliśmy, to cyrklowałem, żeby on nie siedział za moimi plecami, tylko [z boku] [...] Niestety, nic nie było. Niemcy wszystko wywieźli, dosłownie w ciągu dwóch miesięcy, z domów, które zajęli, zostały tylko meble [...]. Najbardziej to rozczerwany był chyba Niemiec, że nie było sznapsa”.

Niezwykłą sytuację przeżyła sanitariuszka Halszka Żuromska z I obwodu Śródmieście: „Ponieważ okna z tyłu tego domu wychodziły na podwórze hotelu Polonia, który był zajęty przez Niemców, któregoś dnia na szóstym piętrze byłam właśnie z tą moją Kryską, na górze pilnowaliśmy dachu i raptem ktoś gra na fortepianie. Myśmy przez okienko łazienki wyglądały, patrzymy [...] siedzi wojskowy Niemiec przy fortepianie i gra *Etiudę rewolucyjną* Chopina”.

Zaczął się wywożenie ciężko rannych powstańców, którym Niemcy przyznali teraz prawa kombatanckie. Jako żołnierzom zobowiązano się udzielić im pomocy lekarskiej. Podporucznik Władysław Bartoszewski „Teofil” z Biura Informacji i Propagandy AK włączył się wtedy do pomocy jako noszowy, wziął udział w ewakuacji rannych z pobliskiego szpitala powstańczego przy Poznańskiej, pod komendą chirurga prof. doktora Edmunda (właśc. Edwarda) Dreszera: „Myśmy praktycznie i faktycznie wykonywali tę pracę, to znaczy w dniach od 3 do 6 [października] po wiele godzin dziennie nosiłem naszych rannych, przeważnie ciężko rannych, rzadziej chorych na noszach z ulicy Poznańskiej w Aleje Jerozolimskie, gdzie przed hotelem Polonia [...] był punkt zborny, samochody Wehrmachtu oznaczone

czerwonym krzyżem tam podjeżdżały i myśmy, do niedawna walcząca strona – powstańcy, anonimowi cywile z opaskami Czerwonego Krzyża, na samochody Wehrmachtu ładowali naszych rannych, którzy byli następnie ewakuowani poza Warszawę, tam ładowani do pociągów i wywożeni do szpitala, na ogół, jak się potem okazało, w Zeithain w Saksonii, do wielkiego szpitala wojennego, ale traktowani jak jeńcy”.

Podczas burzenia Warszawy hotel Polonia i inne budynki tworzące południową pierzeję Alej Jerozolimskich miały dużo szczęścia – do końca bytności Niemców w zdruzgotanym mieście nie zostały wysadzone w powietrze. W styczniu 1945 r. budynek hotelu tlił się i dymił, ale pozostał jedynym prawie nieuszkodzonym obiektem w tej okolicy, silnie kontrastującym z ponurym szkieletem Dworca Głównego po drugiej stronie Alej.

Polonia w 1945 r.

Jak wspomina pracownik hotelu i członek konspiracji Wacław Rybicki, po 17 stycznia 1945 r. i wkroczeniu do Warszawy wojsk polskich i sowieckich grupa pracowników hotelu pełniła w nim trzysobowe dyżury. Wszyscy zabrali się do porządkowania z gruzów gmachu i jego otoczenia. W lutym 1945 r. gen. Marian Spychalski, od miesiąca prezydent Warszawy, podpisał akt utworzenia Dyrekcji Hoteli Miejskich, której zadaniem było wyposażanie i remontowanie ocalałych warszawskich hoteli. Tymczasowym kierownikiem Polonii został jego przedwojenny zarządca Tadeusz Kamiński. Ponieważ budynek był pozbawiony prądu i wody, za wódkę nabyto od żołnierzy sowieckich agregat prądotwórczy, który ustawiono w podwórku. Ciemność przed hotelem rozświetlono trzema wyremontowanymi latarniami ulicznymi. Po rozmowach Kamińskiego z samym marsz.

Na zdjęciach od lewej:

Zniszczony wjazd do tunelu linii średnicowej, w tle po prawej hotel Polonia, zdjęcie powojenne, fot. Zbigniew Grochowski

Zdjęcie z czasu Powstania Warszawskiego, widok na skrzyżowanie Alej Jerozolimskich z Marszałkowską z balkonu drugiego piętra hotelu Polonia, fot. wykonana przez nieznanego Niemca

Zdjęcie z czasu Powstania Warszawskiego, widok na Dworzec Główny w Alejach Jerozolimskich z balkonu drugiego piętra hotelu Polonia, przy wejściu do hali odjazdów ulica przecięta barykadą fot. wykonana przez nieznanego Niemca

Rokossowskim udało się pozyskać dla hotelu meble z ziem zachodnich, jako części umeblowania przewidzianego dla instytucji rządowych, a 13 kwietnia 1945 r. Polonia otworzyła swoje drzwi dla klientów.

Jak wspominał dziennikarz włoski Alceo Valcini, autor znakomitej książki o powojennej Warszawie *Bal w hotelu Polonia*, niektóre pokoje były uszkodzone pociskami, zaś w pokoju nr 345, który Valcini zajmował z żoną, lustro było stłuczone, a w jego środku tkwił otwór po kuli. W hotelu zamieszkała olbrzymia liczba ludzi, trzy razy więcej niż było miejsc. Podstawowym zadaniem obiektu jako „kwatery głównej dyplomatów” (jak nazwał go ówczesny ambasador USA w Polsce, Arthur Bliss Lane) było jednak ulokowanie tu przedstawicielstw

dyplomatycznych i korespondentów z wielu krajów świata. Ambasada Wielkiej Brytanii gnieździła się w trzech pokojach, zaś biurkiem ambasadora była wanna przykryta deską. Najliczniejsza była ambasada USA, której personel liczył 12 osób. William Tonesk, zastępca attaché morskiego ambasady USA w Warszawie, w lipcu 1945 r. raportował o nocnych strzelaninach w pobliżu hotelu Polonia, wywołanych przez żołnierzy sowieckich.

Wojna wreszcie dobiegła końca, o czym można było namacalnie się przekonać, widząc radość tłumu witającego 21 września 1945 r. głównodowodzącego wojskami amerykańskimi w Europie przyszłego prezydenta USA, gen. Dwighta Davida Eisenhowera, wyjątkowego gościa hotelu Polonia. Takie chwile i przedwojenny wystrój hotelowych elewacji dawały nadzieję powracającym do zburzonej stolicy, pomimo obecności agentów sowieckiego NKWD, czujnie przyglądających się gościom w hotelowym holu i restauracji. 🇺🇸

Paweł Brudek – pracownik działu historycznego Muzeum Powstania Warszawskiego

Serdecznie dziękuję Pani Dorocie Polańskiej, kierownik ds. relacji z klientami Polonia Palace Hotel, za inspirację, życzliwość i fachową pomoc w uzyskaniu materiałów na temat historii hotelu Polonia

BIBLIOGRAFIA:

R. Bielecki R., *W zasięgu PAST-y*, Warszawa 1994; F. Blättler, *Warszawa 1942. Zapiski szofera szwajcarskiej misji lekarskiej*, oprac. T. Szarota, Warszawa 1982; W. Hosenfeld, „*Staram się ratować każdego*”: życie niemieckiego oficera w listach i dziennikach, red. E.C. Król, W. Lipscher, Warszawa 2007; S. Lehnstaedt, *Okkupation im Osten: Besatzeralltag in Warschau und Minsk 1939-1944*, München 2010; J. Pustola, *Hotel Polonia 1913-1983*, Warszawa 1983; M. Röger, *Wojenne związki. Polki i Niemcy podczas okupacji*, Poznań 2016; A. Valcini, *Bal w hotelu Polonia*, Warszawa 1983; P. Wierzbicki, *Historia warszawskich hoteli*, t. II, Warszawa 2024 oraz źródła internetowe (wszystkie dostęp: 28.01.2025): Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego <https://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej.html>; <https://www.poloniapalace.com/pl/historia-hotelu>; <https://www.warszawa1939.pl/obiekt/jerozolimskie-39>; <https://www.zapisyterroru.pl/dlibra>.

Tajemnice wieży kościół św. Augustyna

Marcin Królikowski

Kościół św. Augustyna
od strony ulicy Smoczej,
1946 r., fot. Henry Cobb

„...godz. 8.00 – ostrzelanie wieży kościoła przez artylerię naszego czołgu” – zanotowano w dzienniku bojowym Zgrupowania „Radosław” pod datą 4 sierpnia 1944 r. (Archiwum „Radosława” w zasobie AAN)

„Przed nami rozciągało się gigantyczne, ceglasterdzawe rumowisko zniszczonego, startego na proch getta. Przed wojną była to kipiąca życiem, najludniejsza dzielnica Warszawy, teraz jednak leżała przed nami pępna pustynia z wyniosłym ponurym gmachem kościoła św. Augustyna z wieżą – wykrzyknikiem, ostrą jak bagnet na karabinie, która była dla nas ostrzeżeniem, zwiastunem śmierci, drogowskazem; z wieżą – symbolem przypominającym o niezniszczalnej mocy

Kościół. Gdzieś w jej zakamarkach siedział ukryty niemiecki obserwator”.

Witold Dunin-Wilczyński
„Streszczenie dziejów” w gruzach Karmelickiej

Obecnie trudno ustalić, jakie formacje „uwiły” gniazdo na neoromańskiej wieży opustoszałego kościoła, który po ostatecznej likwidacji getta został zamieniony na stajnię i magazyn pożydowskiego mienia. Być może były to jednostki policyjne SS, jednak, o ile działania

powstańców są udokumentowane doskonale, o tyle wrogie meldunki bardzo lakoniczne, a dzienników okupanta z tamtego okresu brakuje.

Pewnym jest, że z najwyższego punktu w okolicy wróg kontrolował okrąg o promieniu do 2-3 km. Tyle wynosił skuteczny zasięg ostrzału karabinu maszynowego MG 42, jednej z najlepszych broni II wojny, zwanego potocznie „piłą Hitlera”.

„Magda”

To w ten punkt dokładnie o godz. 8 powstańcza załoga zdobycznego czołgu typu „Panther”, czule ochrzczonego mianem „Magda”, postanowiła oddać strzał z okolic ulicy Mireckiego przy Okopowej, nieopodal kwatery głównej AK, w której znajdował się naczelny wódz Tadeusz-Bór Komorowski.

Tak relacjonował to „Wacek”, dowódca czołgu:

„Poprawka na granat rozpryskowy dobra. Oddaliśmy strzał! I nic. Ani śladu kurzu na wieży. Chybić cel w takich warunkach to wstyd dla artylerzysty. Drugi strzał skosił gniazdo karabinów, ale niestety uszkodził mocno wieżę. Po długich latach przystąpiono do naprawy wieży. W murach znaleziono granat niewypał, dokładnie tam, gdzie miał się znaleźć. Ale na tym nie koniec historii”.

Celowniczy „Bajan” wspominał:

„Poniżej stanowiska ckm wywieszono flagę niemiecką. Chciałem wycelować w drążek tej flagi, ale był za cienki”.

Gdzie dokładnie umiejscowiono stanowiska karabinów? Na poziomie dzwonów? Tam, gdzie największe luki okienne dzwonnicy? Czy poziom wyżej, gdzie są cztery balkoniki na rogach konstrukcji? A może obsadzono wszystkie powyższe miejsca? Trudno dociec. Najważniejsze, że drugi strzał zlikwidował jagot karabinów.

Jeśli się przyjrzeć symbolicznym zdjęciom getta z 1945 r., na których widać samotny kościół w pustyni ruin, można dostrzec w ujęciu zachodniej części wieży dwie rany. Najlepiej widoczne ślady są w kolorowanym zdjęciu z poziomu ulicy Smoczej, które publikujemy



Wnętrze wieży, na ścianie widoczna dziura po wydobyciu pocisku przez sapera

na otwarcie tego tekstu. Jedna znajduje się na poziomie prawego łuku okna dzwonnicy, nieco powyżej łuku zieje dziura, a druga dokładnie w osi symetrii, w pionowej szczelinie świetlika nad łukami, poniżej poziomu balkonów.

Umówiłem się z wikarym kościoła św. Augustyna, Marcinem Różańskim, aby mnie wpuścił na wieżę i razem ze mną postarał się ostatecznie wyjaśnić, gdzie znajduje się miejsce przebiecia, w które padły strzały. Mieliśmy także poszukać zachowanych śladów. Ale kiedy tylko weszliśmy, pojawiły się kolejne zagadki.

Do trzech razy sztuka

Wikary Różański wspomina: – W latach 70. parafię odwiedził działonowy czołgu T-34/85, który nie mógł się uporać z wyrzutami sumienia, jako że dowódca pojazdu wydał rozkaz, żeby przestrzelać armatę i na ten cel wybrał właśnie samotną wieżę kościoła. Był styczeń 1945 r.

Wnętrze wieży: napisy na szalunkach ▶



Wnętrze wieży: schody i drzwi prowadzące na balkony ▼



▶ Tu i poniżej: ryty ciesielskie



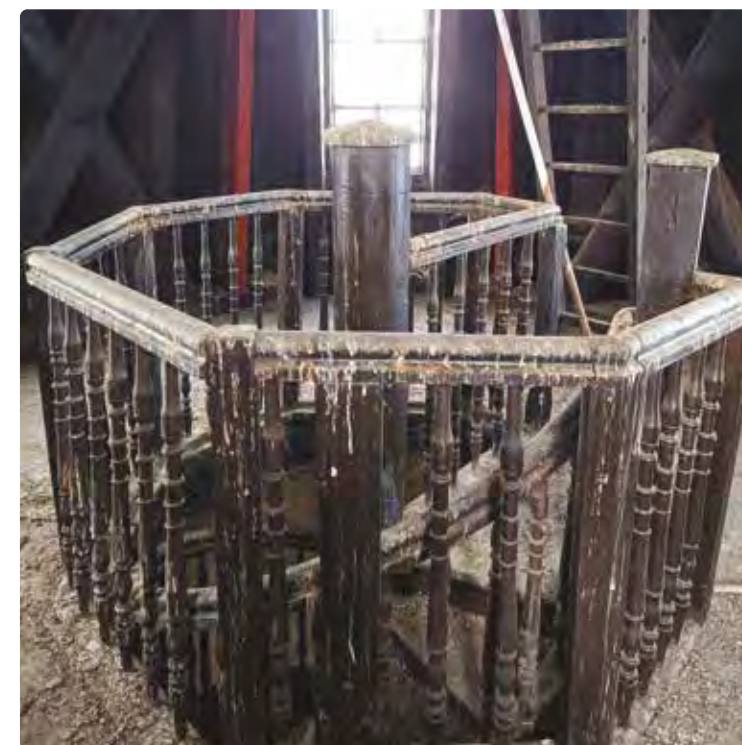
Wóz przemieszczał się pośród gruzów i stwierdzono usterkę działa. Po szybkiej naprawie, na terenie ruin Muranowa postanowiono wypróbować sprawność lufy. Najprawdopodobniej był to pojazd 1 Brygady Pancerniej im. Bohaterów Westerplatte. Żołnierz jeszcze długo odwiedzał naszą parafię, ale nigdy nie zdradził większych konkretnych nad te, o których relacjonowała siostra Teresa Wójcik, a które spisał Piotr Otrębski w książce pt. *Echa dawnej Warszawy* – kończy wikary. Dotarłem do tej relacji, którą tu przytoczę w skrócie:

„...rosyjski dowódca ucieszył się: Jest cel! [...] wystrzelili. Pocisk trafił w wieżę, ale kościół po tym trafieniu stał. Niewypał? – Przez ponad 30 lat odczuwałem niepokój sumienia – wyznał czołgista siostrze. Krótko po wizycie żołnierza przystąpiono do remontu.

– Na wieżę wchodziło się tymi samymi schodami co i na chór muzyczny. Gdy tam wchodziłam, widziałam, że schody były zasłonięte deskami – zastanawia się po latach siostra”.

Faktycznie, wchodzimy krętymi schodami puszczoneymi wzdłuż muru wieży, dzięki czemu widać pierwotną posadzkę pośrodku obszernej duszy schodów. Na piętrze są drzwi na galerię organową, ksiądz chce mi pokazać oryginalną

M. Królikowski



▶ Wnętrze wieży

◀ Wnętrze wieży, na pierwszym planie znaki ciesielskie na elementach konstrukcyjnych, w tle drzwi prowadzące na balkony



obudowę organów z neogotyckimi wykończeniami i tablicą fundacyjną darczyńców z 1902 r.: Kalinowski i Przepiórkowski, Fabryka Tabaczna „Noblesse” oraz P. Kołodziejski i S-ka. Mimo pożaru dachu organy przetrwały wraz z obudową, ale zaraz po wojnie rozkradziono piszczałki. Została tylko skrzynia.

Wracamy na schody, do tajemnic wieży. Według raportu z archiwum ksiąg parafii w 1967 r. odbyły się oględziny wieży i architekt Stanisław Marzyński stwierdził, że na wysokości ok. 30 m istnieje wyrwa o wielkości 4 m² od zewnątrz i 2 m² od wewnątrz oraz otwór na wylot wynoszący 0,5 m².





▲ Chór i oryginalne pudło organów

wypuszczonych ze środka platformy, ujętych drewnianą poręczą. Warto zwrócić uwagę, że obydwie konstrukcje sprawiają wrażenie nienaruszonych wojną, a na balustradzie drugich schodów są liczne znaki ciesielskie i wpisy z epoki, które także odnajdziemy na ceglach balkonów oraz na oryginalnej wieżbie dachu wieży. Tuż poniżej łuków kolebkowych widać na ścianie liczne postrzeliny i ślady po rozpryskach. Trudno ustalić, po jakich pociskach. Nadal szukamy śladów „Magdy”. I są! Dwie duże wyrwy tam, gdzie się ich należało spodziewać zgodnie ze zdjęciami z 1945 r. Jedna jest dokładnie w łuku olbrzymiego zachodniego okna, a rozpryski idą na ścianę wschodnią. Na tej ścianie widać też niezamurowaną dziurę. I tu można upatrywać rozwiązania zagadki.

Saper

Godzina pełna napięcia na wysokości 10 piętra – donosił nagłówek z „Expressu Wieczornego” z soboty 12 grudnia 1964 r. W czwartek o godz. 10 rano okolicę kościoła otoczono kordonem MO, a do akcji przystąpili saperzy:

„Sprawa nie jest łatwa, gdyż pocisk tkwi głęboko w murze i trzeba wokół niego wyrąbać otwór o średnicy prawie metra, głębokości 80 cm. O godzinie 11, dowódca grupy i saper Bronisław Soprys wydobywa pocisk. Jak się okazuje, ma on ułamany zapalnik i w każdej chwili może eksplodować”.

Tabliczka darczyńców zachowana na pudle organów, 1902 r. ▼



Skoro wysokość wieży wynosi 79 m, trafienie nastąpiło stosunkowo nisko. Dlatego wyrwa ta spowodowana została najprawdopodobniej radzieckim pociskiem. Książd powołuje się na jedyną jak dotąd monografię kościoła pióra Wojciecha Szoty z 2022 r. pt. *Serce Muranowa. Odzyskane dzieje kościoła św. Augustyna na Nowolipkach 1622-2022: 400 lat Nowolipia i Nowolipek*. A zatem dalej szukamy śladów powstańczej pantery „Magdy”. Aby opisać dalszą wędrówkę, należy podzielić konstrukcję na piętra, tudzież poziomy, gdyż są one nierówne i na każde prowadzą inne schody. Te z duszą, wpuszczone w mury, wiją się od parteru, przez piętro chóru aż do poziomu, na którym wiszą dzwony. Tu znajdują się wzmocnione dwoma stalowymi przesłami łuki kolebkowe z żelbetu i cegły, zaczyna się drugie piętro, właściwa dzwonnica, pośrodku której wije się kręta konstrukcja wąskich schodów

Na zdjęciach widać żołnierza, który trzyma pocisk. Niestety, fotografia jest bardzo niewyraźna i nie można określić rodzaju pocisku po kształcie i liczbie pierścieni wiodących. Lepsze zdjęcia zamieszczono w artykule w „Żołnierzu Wolności” z piątku 11 grudnia 1964 r. Na jednym saper rozkuwa dłutem otwór w murze i znosi po schodach niezabezpieczony pocisk – trzyma go na rękach niczym noworodka. Na innym widać wypalony zapalnik dennego pocisku, podczas gdy reszta tkwi jeszcze głęboko w ścianie. Trudno orzec,

tylko przebić pancerz i zniszczyć załogę siłą kinetyczną, bez eksplozji. Dlatego nie zanotowano spektakularnych rozprysków murów wieży ani upadku gniazda karabinów, a obsada stanowisk ogniowych doznała kontuzji spowodowanych rozpryskiem cegieł i skokiem ciśnienia. Dlatego też wieża się nie zawaliła ani nie zaczęła płonąć. Pomocne byłyby dzienniki lub wspomnienia okupantów. Być może kiedyś takowe się znajdą. Znamienny jest nagłówek wyżej wspomnianego artykułu: *Bez cudów*.

Cud albo złota kula

Długo bawimy na piętrze dzwonnicy. Przy okazji oględzin postrzelin i rozważań, skąd saper Soprys wydobył pocisk „Magdy”, wikary opowiada historię dzwonów. Nie miał Augustyn szczęścia do nich. Pierwsze trzy, wyprodukowane w podwarszawskim Pustelniku w 1907 r. (największej ludwisarni Królestwa Polskiego), zostały zarekwirowane przez Niemców w 1915 r. i przetopione na potrzeby wojny.

Do dziś bije serce tylko jednego dzwonu, który przetrwał obydwie wojny. Jest to prawdopodobnie carski dzwon z rozebranej po odzyskaniu niepodległości cerkwi św. Mikołaja, odlany w 1872 r., ma napisy cyrylicą. Pozostałe cztery zostały odlane w 2004 r. w ludwisarni Felczyńskich. Jest jeszcze dzwon piąty, starszy niż historia ulicy Nowolipki. To gdański dzwon z XVIII w. Przetrwał II wojnę tylko dlatego, że w czasach getta usiłowano go ściągnąć rękami żydowskich robotników, ale urwał się, przebił nawę boczną i zatrzymał na solidnym sklepieniu kościoła. Został ponownie zawieszony w 1968 r. Niestety, pękła mu dusza i serce przestało bić, więc został zdemontowany i umieszczony we wnętrzu kościoła, gdzie go można oglądać do dziś.

Wchodzimy krętymi schodami wyżej, na trzecie piętro, gdzie są cztery balkониki w narożnikach wieży. Każdy balkonik jest zwieńczony czerwono-brunatną



Wnętrze kościoła św. Augustyna, na pierwszym planie po prawej dzwon gdański z XVIII w.

jakimi pociskami strzelali powstańcy. Ponieważ był to dzień drugi od zdobycia czołgu (2 sierpnia zdobyto i przeszkolono polską załogę przy pomocy niemieckich jeńców, 4 sierpnia dokonano ostrzału), a następstwo zdarzeń było zbyt dynamiczne, powstańcy mogli nie rozróżniać pocisków i zamiast burzących wystrzelili przeciwpancerne, które mają za zadanie



Widok na Muranów z jednego z balkonów wieży kościoła św. Augustyna

kolumną z piaskowca tumlińskiego, pochodzącego z kamieniołomów Ciosowa w Górach Świętokrzyskich. Z tego budulca zrobiono też schody do kościoła, cokol budowl i kolumny przed wejściem oraz ambonę.

„Cud na Nowolipkach nie nastąpił” – tymi słowami kończy się artykuł w „Żołnierzu Wolności”, do którego wracam, odkrywając kolejną tajemnicę wieży, tym razem jako tajemnicę wiary. Jesteśmy na południowo-zachodnim balkonie i oglądamy panoramę Muranowa, stąd przyszedł ostrzał „Magdy”. Wikary się zamyśla i wspomina noce sylwestrowe, które czasem księża oglądają z tego miejsca. – To najpiękniejszy widok, jaki można sobie wyobrazić – kwituje ksiądz Marcin. – Tak samo zresztą było 7 października 1959 r., pięć lat przed wydobyciem niewybuchu. Otóż w tym dniu przypada święto Marii Panny Różańcowej. I tego dnia na wieży, dokładnie na zwieńczeniu, którym jest złota kula z mosiądzu (na niej żelazny krzyż, a wszystko oryginalne, trochę uszkodzone, polatane), objawiła się

Matka Boska. Od razu władza i podległe jej służby SB zaczęły rozganiać gromadzący się tłum. Najpierw aresztowano ludzi, później wyłączono prąd, aż w końcu zamalowano kulę czarną farbą (którą zeszkrobano dopiero w 1995 r.) i zażądano od proboszcza parafii oświadczenia, że cud był tylko efektem naturalnego odbicia światła od wypolerowanego metalu. Cud jednak nadal objawiał się na drzewach, szybach i w wielu innych miejscach.

Artykuł w „Żołnierzu Wolności” zaczyna się wymownie: „Kościół na Nowolipkach. Tym razem jednak bez tłumy wpatrującego się w wieżę”.

Z poziomu balkonów wieży idziemy najwyżej jak się da, do kuli, pod strzechę, pod cud. A może znów się objawi. Kręte schody kończą się dokładnie na poziomie więźby dachu. Wyżej można iść już tylko po rozchylbotanych drabinach. Idę sam. Poziom przedostatni, z mętными oknami. Tu pojawiają się znaki, ale z przeszłości. Ciesielskie. I rytu na belkach z przełomu wieków, co tylko potwierdza oryginalność stropu. Idę na ostatni poziom. Tu są okienka okrągłe jak bulaje i muszę używać latarki. Wyżej jest wieżba i nie ma przejścia. Tu widzę napis czarną farbą: „J. H. SEJBOLDT malarz dnia 21/X/96r”. To z pewnością data 1896, oficjalne otwarcie świątyni.

– I tak się wyjaśniają tajemnice wieży – mówię z drabiny do księdza.

– A ile jeszcze jest wartych opowiedzenia, musisz nas częściej odwiedzać – kwituje wikary Marcin i zaprasza na dół gestem dłoni. 🍷

Marcin Królikowski – varsavianista, licencjonowany przewodnik warszawski PTTK

Uprzejmie dziękuję księdzu wikaremu Marcinowi Różańskiemu i Parafii św. Augustyna za umożliwienie szczegółowego obejrzenia kościoła.

Korzystałem z: AAN, archiwum „Radosława”; *Pamiętniki żołnierzy baonu „Zośka”*. Powstanie Warszawskie, red. T. Szumiński, Warszawa 1957; W.A. Szota, *Serce Muranowa. Odzyskane dzieje kościoła św. Augustyna na Nowolipkach 1622-2022: 400 lat Nowolipia i Nowolipiek*, Warszawa 2022; A. Wyganowska-Eriksson, *Pluton pancerny batalionu „Zośka”*, Gdańsk 2010 oraz profil Facebooka „FrontWola”.

M. Królikowski



Pracownicy Biura Odbudowy Stolicy w urbanistycznej pracowni Śródmieście; od lewej: Zygmunt Skibniewski, Stanisław Jankowski, Stanisław Dziewulski, Wojciech Piotrowski, Mikołaj Kokozow, Kazimierz Marczewski, Jerzy Wasilewski i Tadeusz Iskierka, ok. 1948 r.

Powstańcze rozdroża

Sebastian Pawlina

Decyzja o pójściu do Powstania dla wielu jego uczestników okazała się łatwiejsza niż wybór drogi w powojennej rzeczywistości

Zaledwie godzinę jazdy samochodem na zachód od Drezna leży Colditz, niewielkie miasteczko z historią sięgającą XI w. Gdyby nie II wojna światowa, byłoby znane głównie z tego, że w XVIII stuleciu w jego okolicach wydobywano glinę, którą następnie wykorzystywano do produkcji słynnej porcelany miśnieńskiej. Ale przyszli naziści i sprawili, że w miejscu porcelany pojawił się obóz koncentracyjny, który założyli w tutejszym renesansowym zamku. Pierwotnie trzymali w nim swoich przeciwników politycznych. Od 1939 r. zamykali tu najważniejszych jeńców wojennych. Zaczęli od polskich generałów, których miejsce zajęli później Amerykanie i Brytyjczycy, wśród nich bratanek żony Winstona Churchilla, by w 1945 r. ponownie przywieźć kilku wysokich rangą Polaków.

„5 lutego 1945 roku, niespodziewanie, kazano nam się spakować i pod silną eskortą przewieziono nas do Saksonii do obozu w Colditz” – wspominał po latach Stanisław Jankowski „Agaton”, wówczas adiutant gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Wraz z nimi przetransportowani

zostali dowódca powstania gen. Antoni Chruściel „Monter”, szef sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej gen. Tadeusz Pełczyński „Grzegorz” i szef wywiadu AK płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller”. Spędzili tam ponad dwa miesiące. W tym czasie Pełczyński przeprowadził coś, co nazwali „spowiedzią wielkanocną”. Rozmawiając z każdym z grupy, pytał, co ten planuje robić po wojnie. Jankowski miał jasny plan. Tak długo, jak będzie potrzebny, zostanie przy Borze-Komorowskim, ale później chce wrócić do Warszawy.

I faktycznie – w sierpniu tego samego roku poprosił o zwolnienie go z funkcji adiutanta. „Teraz zaczynał się nowy rozdział” – napisze później. „Generał wizytował Polskie Siły Zbrojne i przygotowywał się do podróży do Stanów Zjednoczonych, gdzie miał odwiedzić ośrodki polonijne. O mojej decyzji powrotu do Warszawy wiedział i rozumiał ją. Życzył mi powodzenia. Żał mi go było, że nie mógł jak ja do Warszawy powrócić” – bo rzeczywiście było tak, że ci, którzy walczyli o Polskę, niekoniecznie mogli w niej żyć.





Aleksander Gieysztor (drugi z lewej) z grupą historyków i architektów na Starym Mieście w Warszawie, 1949 r.

Krajobraz przełomu

Ponad pół roku wcześniej, 19 stycznia, ostatni dowódca Armii Krajowej gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” rozwiązał AK. W ostatnim rozkazie zwracał się do żołnierzy, podkreślając, że zamiast wolności Polska dostaje się pod nową okupację, tym razem sowiecką. Przekonywał, że walka, którą rozpoczęli ponad pięć lat wcześniej, trwa i „skończyć się może jedynie zwycięstwem słusznej Sprawy, tryumfem dobra nad złem, wolności nad niewolnictwem”. Prosił, aby swoją działalność prowadzili z myślą o „odzyskaniu pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą”. Nie wyznaczył im tym samym ściśle określonych ram dopuszczalnych metod prowadzenia pracy.

Tego samego dnia w „Życiu Warszawy” ukazał się wywiad z prezydentem Warszawy, płk. Marianem Spychalskim. Mówiąc o stanie polskich miast, wyzwalanych „dzięki wielkiemu rozumowi wojennemu Marszałka Stalina”, Spychalski podkreślał jednocześnie, że „zniszczona jest tylko nasza droga stolica Warszawa, przez głupotę reakcyjnych dowódców AK, przez bankrutów z londyńskiej emigracji. Oni to dla zdobycia władzy nie cofnęli się przed rzuceniem miasta wbrew wszelkim zasadom wiedzy

wojskowej, wbrew rozsądkowi [...] na łup barbarzyńskiemu okupantowi”. Cztery dni później na łamach tej samej gazety opublikowano artykuł zatytułowany *Hańba Boro-wi*. Prasa bez przerwy zarzucała czytelnika podobnymi materiałami, w których żołnierzy AK nazywano zdrajcami, bandytami, sugerowano ich współpracę z Gestapo.

Jednocześnie budowano legendę Armii Ludowej. 19 stycznia „Życie Warszawy” opisało wizytę Bolesława Bieruta i Edwarda Osóbki-Morawskiego, czyli prezydenta i premiera, na Starówce: „Na Starym Mieście przy ul. Freta 16, w miejscu, gdzie zginął od wybuchu bomby lotniczej podczas powstania sztab Armii Ludowej z mjr. Ryszardem na czele, odbyła się krótka manifestacja żałobna. Manifestację zagał prezydent Spychalski, po czym przemawiali prezydent Bierut i premier Osóbka Morawski. Zebrani uczcili pamięć poległych – bohaterów minutową ciszą”.

Dla akowców nie było miejsca w symbolicznej pamięci narodu. Jednocześnie toczono z nimi jak najbardziej realną walkę.

„Penetracja NKWD jest [...] intensywna”

Powołany formalnie do życia 22 lipca 1944 r. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, a także następujące po nim struktury Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej i Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej długo opierały się nie na realnym poparciu społecznym, lecz na sowieckich bagnietach. Nawet bezpieczeństwa, którą polskim komunistom pomagał tworzyć gen. Iwan Sierow, mający na swoim koncie wywózki Polaków na wschód w 1940 r. i aresztowania żołnierzy AK w Wilnie i Lublinie latem 1944 r., długo nie była w stanie sama podjąć walki z podziemiem niepodległościowym. W efekcie za ściganie akowców długo jeszcze odpowiadał właśnie Sierow i jego ludzie, którzy od października 1944 r. w ciągu trzech miesięcy aresztowali 13 142 osoby podejrzewane o udział w tajnych organizacjach.

Odprawa w okolicach fabryki Kammlera przy ulicy Dzielnej, drugi z lewej gen. Tadeusz Komorski „Bór”, rozmawia z płk. Janem Mazurkiewiczem „Radosławem”, 4 sierpnia 1944 r.



Członkowie sztabu zgrupowania „Radosław”, czas Powstania Warszawskiego, od lewej płk. Jan Mazurkiewicz „Radosław”

Wiele z tych osób zostało zesłanych na wschód. Trafiały do kopalń i łagrow, gdzie były zmuszane do morderczego wysiłku. Witold Kieżun, powstaniec, który w maju 1945 r. trafił do łagru na obrzeżach pustyni Kara-kum, wspominał: „podstawowym zajęciem była budowa budynków NKWD w mieście i praca w kamieniołomach na pustyni, gdzie wysadzano w powietrze piaskowe góry i następnie małymi toporkami wyciosywano coś w rodzaju dużych cegieł wielkości jakichś 8 normalnych cegieł”. W trakcie tej katorżniczej pracy narażeni byli na ekstremalne warunki atmosferyczne, wykańczające upały powyżej 50°C albo mroź, od którego kostniały ręce i nogi, urazy fizyczne i choroby, takie jak beri-beri, czerwotka, zapalenie płuc, tyfus brzuszny i plamisty. Zagrożeniem były również zwierzęta. Niczym dziwnym nie były ukąszenia pajaków i węży. Wiele z nich zakończyło się śmiercią ludzi. Zesłańcy zaczęli wracać do Polski dopiero w drugiej połowie lat 50.

1 lutego komendant Okręgu Białostok pisał w meldunku: „NKWD z całą pasją wściekłości przeprowadza aresztowania [byłych – przyp. TM] dowódców AK. Bada w bestialski sposób, bije drutem kolczastym, kłuje szpilki za paznokcie, łamie żebra i wszystkich wywozi do Rosji”. Miesiąc później, 3 marca, Jan Stanisław Jankowski, delegat Rządu RP na Kraj, informował premiera Tomasza Arciszewskiego, że „od kilku dni zaczęły się w miejscu naszego pobytu aresztowania oraz zasadzki domowe z zatrzymaniem rodzin i odwiedzających. [...] Penetracja NKWD jest tak intensywna, że niebezpieczeństwo dla nas i aparatu jest groźne”. Szczególnie zagrożeni aresztowaniami byli ci, którzy pozostawali w konspiracji. Taki los spotkał walczących w Powstaniu Witolda Pileckiego oraz Waldemara Baczaka. Pierwszy został zatrzymany w maju 1947 r., a drugi w listopadzie 1946 r. Obu skazano na karę śmierci. Wyroki wykonano.

Łącznie, jak podają autorzy pracy *Chcieliśmy być wolni. Powstanie Warszawskie 1944* (red. A. Zawistowski, Warszawa 2022), do 1956 r. przez więzienia przeszedł

blisko milion ludzi. Znaczna ich część trafiła tam z powodu prawdziwych bądź sfalszowanych oskarżeń o działalność konspiracyjną.

Niewinni winni

Jednym z najgłośniejszych przypadków aresztowań wśród byłych powstańców było zatrzymanie 1 sierpnia 1945 r. płk. Jana Mazurkiewicza, legendarnego już wówczas „Radosława”, dowódcy oddziałów Kedywu Komendy Głównej AK podczas sierpniowej insurekcji. Po upadku Powstania wrócił on do konspiracji. Został m.in. delegatem na Obszar Centralny Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Do tej organizacji wstąpiło wielu byłych dowódców AK. Znaleźli się tam m.in. płk Jan Rzepecki, były szef Biura Informacji i Propagandy KG AK, ppłk Wojciech Borzobohaty, szef sztabu Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK czy też płk Franciszek Niepokólczycki, jeden z twórców dywersji AK.



Witold Kieżun, bohater Powstania Warszawskiego na tle swojego powstańczego zdjęcia

Mazurkiewicz w więzieniu spędził miesiąc. W tym czasie ustalili z przedstawicielami władz, że wystąpi do byłych żołnierzy Armii Krajowej z apelem, aby się ujawniali. Ten ukazał się 8 września, a „Radosław” stanął na czele Centralnej Komisji Likwidacyjnej AK. W wyniku akcji ujawnieniowej przed komisjami stawilo się blisko 50 tys. ludzi. Wielu z nich trafiło później pod obserwację bezpieki, a następnie do więzień, jak Stanisław Jastrzębski „Kopeć”. Początkowo Urząd Bezpieczeństwa próbował zwerbować go do współpracy. Miał donosić na swoich kolegów. Operacja się nie powiodła. W raporcie bezpieki czytamy: „w toku współpracy swojej Jastrzębski [...] nie wywiązywał się szczerze, gdyż wszystkie swoje wiadomości posiadane przez niego ukrywał przed nami, wymigując się i dając nam dane kompletnie bezwartościowe. Poza tym twierdził,



Stanisław Jastrzębski „Kopec”

że nie utrzymuje obecnie z nikim kontaktów, starając się w ten sposób wprowadzić nas w błąd”.

Ale „Kopec” poszedł dalej i „zdekonspirował się przed swymi kolegami i ostrzegł ich, by mieli się na baczności, gdyż organa Bezpieczeństwa w dalszym ciągu interesują się byłymi członkami batalionu Parasol”. Za brak chęci do współpracy Jastrzębski został aresztowany jesienią 1950 r. Na wolność wyszedł po trzech latach.

Nie ma pewności, czy uniknąłby więzienia, gdyby zachowywał się inaczej. Jan Mazurkiewicz, który pomógł nowej władzy wyciągnąć z podziemia bardzo wiele osób, został ponownie zatrzymany w lutym 1949 r. Cztery lata spędził w celi bez procesu. W tym czasie był wielokrotnie i brutalnie przesłuchiwany. Jego zeznania chciano wykorzystać w procesach innych oskarżonych dowódców AK, w tym Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. To była często stosowana wówczas praktyka. „Radosław” wykazał się w śledztwie wytrzymałością i nie dostarczył żadnych materiałów obciążających kogośkolwiek. Skazany na dożywocie, wyszedł na wolność dzięki amnestii w 1956 r.

Polskę trzeba odbudować

Przed spędzeniem za kratkami siedmiu lat nie uratowała go nawet współpraca z komunistami. Za tę jednak trudno oceniać go negatywnie. Moment, w którym podejmował decyzję o wydaniu apelu, w którym zachęcał do ujawniania się, był trudny. Ludzie zmęczeni wojną pragnęli spokoju. Chcieli jak najszybciej wrócić do normalności, w której każdy ma mieszkanie, pracę, nie chodzi głodny i nie marznie zimą. Zapanował szal odbudowy. Kazimierz Michałowski, wybitny archeolog, pisał później, że „niezależnie [...] od indywidualnych poglądów politycznych i wynikających stąd uwarunkowań, wszystkim pracującym wówczas w gruzach Warszawy kolosalną satysfakcję dawała świadomość, że biorą czynny udział w odbudowie zniszczonego brutalną i barbarzyńską przemocą kraju”.

Mazurkiewicz rozumiał to. Wielu jego podwładnych z okresu konspiracji i Powstania to byli młodzi albo bardzo młodzi ludzie. Wiedział, że samym będzie im trudno wrócić do życia. Pozbawieni domów, często rozdeleni z najbliższymi, do normalnego życia wracali z trudem. Znakomicie opisał to w swoich powieściach Lesław Bartelski, sam powstaniec. Jego *Pejzaż dwukrotny* czy też *Dialog z cieniem* są nie tylko obrazami tamtych

czasów, lecz również zapisem powojennego dramatu pokolenia Kolumbów. Dlatego „Radosław” zdecydował się na współpracę. „Przekonali mnie argumentami, gdyż inaczej wszystkim groziło więzienie i zguba” – mówił w rozmowie ze Stefanem Korbońskim. Ale jego wsparcie dla byłych powstańców sięgało o wiele dalej. Założył biuro pośrednictwa pracy, spółdzielnię, pomagał naprawiać samochody. Wszystko, żeby żołnierze mieli gdzie pracować. Organizował domy opieki dla inwalidów, opiekował się sierotami, porządkował kwatery na cmentarzach. Stale zachęcał swoich ludzi, żeby podejmowali pracę, gdzie się tylko da, a przede wszystkim, żeby wchodzili w struktury nowej władzy. Uważał, że tylko wtedy będą mogli mieć wpływ na rzeczywistość.

Często losy byłych powstańców czy akowców zależne były od tego, czy nowa władza chciała dać im szansę. Niektórzy byli jej potrzebni z uwagi na swoje kompetencje, inni – bo nadawali się na symbol tego, że komuniści pozwalają włączyć się do społeczeństwa każdemu. Tak jak Stanisławowi Jankowskiemu. Powrót do kraju zajął mu trochę czasu. Ponieważ już przed wojną pracował w Warszawie jako architekt, w lipcu 1946 r. skończył studium urbanistyczne w Liverpoolu, a dwa miesiące później znalazł się w Gdyni. Po dwóch tygodniach pracował w Biurze Odbudowy Stolicy. Został współautorem m.in. Trasy W-Z oraz MDM-u.

Z jego przeszłością – był nie tylko akowcem i powstańcem, lecz też cichociemnym – taka rola była niespotykana. Przecież w tym samym czasie wielu jego rówieśników, dawnych konspiratorów, przechodziło brutalne przesłuchania, a często było skazywanych na dożywocie albo śmierć. We wspomnieniach „Agaton” notował:

„Bolesław Bierut, który 7 lipca 1949 roku odwiedził budowę Trasy W-Z i wpisał się do dziennika pracowni, tego samego być może dnia podpisał wyrok śmierci na któregoś z mych kolegów żołnierzy AK. 13 października

Kazimierz Michałowski, fot. Grażyna Rutowska, 1967 r.



1948 roku, gdy ja – co do dnia – byłem na budowie Trasy W-Z, został aresztowany cichociemny «Żmudzin» – major Bolesław Kontrym. Został stracony w Warszawie, w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej 2 stycznia 1953 roku, pół roku po lipcowym święcie 1952, dla uczczenia którego zakończona została budowa Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. A przecież taki pełen goryczy osobisty kalendarz może zestawiać bez trudu każdy z mych rówieśników. Gorzej – bo także i wielu młodych”.

Po latach zastanawiał się, co spowodowało, że nie został aresztowany. Andrzej Skalimowski, biograf Józefa Sigalina, współpracownika Jankowskiego z BOS-u, uważa, że właśnie znajomość z Sigalinem oraz Romanem



Kazimierz Moczański, ok. 1956 r.



Tadeusz Manteuffel, ok. 1945-1950

Piotrowskim, dwiema najważniejszymi postaciami tej instytucji, pozwoliła mu nie tylko wyjść cało z okresu powojennych aresztowań, lecz również szybko znaleźć pracę w tak dobrym miejscu. Na dowód podaje, że gdy Jankowski został aresztowany przez UB w Nowym Targu, jego żona od razu zadzwoniła do Sigalina. Jednocześnie „Agaton” był dla nowej władzy bardzo wygodny, jako symbol łagodnego podejścia komunistów do przeciwników politycznych. Nie prześladowając go, mówili: „patrzcie, oto żołnierz AK, cichociemny, a my pozwalamy mu włączyć się w budowę nowej Polski”.

Dodatkowo Jankowski był po prostu znakomitym fachowcem. A takich potrzebowano. Kiedy Aleksander Gieysztor, historyk, w czasie konspiracji pracownik Biura Informacji i Propagandy KG AK, powstaniec warszawski, a później dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie, zastanawiał się, czy wracać do konspiracji, czy jednak zacząć normalne życie, podzielił się wątpliwościami ze starszym kolegą po fachu – i również współpracownikiem BIP-u KG AK – Tadeuszem Manteufflem. Ten powiedział mu wówczas: „Pamiętaj, że ktoś

musi ten kraj odbudować. Musimy ratować przyszłość polskiej młodzieży, to jest nasze zadanie”.

Zniknąć

Stanisław Jankowski. Tadeusz Manteuffel. Aleksander Gieysztor. Kazimierz Michałowski. Choć pracowali po wojnie w różnych miejscach, łączyło ich jedno. Na swoich stanowiskach musieli iść na różne kompromisy z władzą. A nie każdy był na to gotów. Nie każdy chciał wpłatywać się w jakiegokolwiek układy. Większość pragnęła tylko albo aż – żyć.

Zbigniew Ścibor-Rylski całą wojnę spędził, walcząc. W konspiracji służył od 1940 r. Był w Warszawie, widział

getto od środka, uciekał z robót przymusowych, bił się na Wołyniu i w Powstaniu Warszawskim. Po jego klęsce pozostał w podziemiu, ale w końcu uznał, że dalsze konspirowanie nie ma sensu. Jego matka pisała w swoich wspomnieniach, że „choć widział bezcelowość tej pracy w obecnych warunkach, nie mógł się oderwać od tych konspiracyjnych szeptów, tajemniczych spotkań i poleceń, wypełniających życie ówczesnej młodzieży. Rozczarowanie powstaniowe było dla niego tak straszne, iż trudno się dziwić, że wypełniał pustkę pozostałą po złudnych marzeniach gorączkową akcją rozbudzonych czynów, które jednak szybko ujawniły, że są fikcją nie prowadzącą do niczego”.

Gdy wojna dobiegła końca, wyszedł z podziemia i razem z siostrą oraz matką – ojciec nie żył od dawna, dwie in-

ne siostry nie przeżyły wojny – wyjechali najpierw do Środy Wielkopolskiej, a później do Puszczykowa niedaleko Poznania. Zajął się zarabianiem pieniędzy oraz szukaniem własnego domu. Potem poznał żonę. Nie ujawnił się. Dopiero w latach 80. zajął się dbaniem o pamięć o Powstaniu Warszawskim. Wcześniej liczyła się dla niego jedynie rodzina i jej komfort.

Powojenne znikanie, zapominanie o przeszłości były być może najbezpieczniejszą strategią przetrwania. Jej skrajną wersją był wyjazd za granicę i pozostanie tam. W tym gronie był m.in. Lech Hałko, w czasie Powstania walczący na Starówce. Po przegranej trafił do obozu jenieckiego w Niemczech, a potem do Włoch. Ostatecznie wyemigrował do Kanady. W 1998 r. pisał: „Nasz orzeł odzyskał koronę, a Polska odzyskała upragnioną wolność. Ale dla nas, starych, tylko w niewielu wypadkach otworzyła się praktyczna możliwość powrotu do Polski”.

Bo dla powstańców warszawskich – i tysięcy innych – nie było dobrych rozwiązań po wojnie. Każda z wybranych dróg oznaczała niepewność. ❧

Zamki książęcego Mazowsza

Piotr Lasek

Płock, zamek,
baszta bramna,
tzw. Wieża
Szlachecka

27 grudnia 1529 r. w Piotrkowie król Zygmunt Stary zatwierdził ugodę, mocą której ostatnia część dawnego książęcego Mazowsza została wcielona do Korony i tym samym zostało utworzone odrębne województwo. Pamięć o „przyrodzonych panach” Mazowsza – książętach z dynastii piastowskiej – długo jednak nie zanikała, a widomym znakiem ich dawnej władzy były murowane zamki, służące następnie monarchom polskim



Płock, fragment budowli z ciosów kamiennych pod tzw. Wieżą Zegarową zamku

Choć na Mazowszu proces przemiany drewniano-ziemnych grodów w zamki przebiegał inaczej niż na ziemiach Korony (głównie ze względu na wyniszczenie ziem mazowieckich najazdami z XIII – 1. poł. XIV w.), do dziś możemy oglądać pozostałości kilku z nich. Prezentują niekiedy charakterystyczne dla regionu cechy.

Jednym z najstarszych, a jednocześnie relatywnie dobrze zachowanych jest zamek w Płocku. Budowla powstała po 1300 r., a jej wzniesienie łączy się z osobą Bolesława II (ur. po 1251, zm. 20 kwietnia 1313), który od 1294 r. stał się panem całego Mazowsza. Książę ten był w skali swej epoki postacią nietuzinkową, m.in. zdołał położyć kres nieustannym atakom litewskim na swoją dzielnicę poprzez małżeństwo z córką Trojdena, litewską księżniczką Gaudemundą (zm. 1288), której na chrzcie dano imię Zofia. Potrafił przy tym dokonywać śmiałych wolt politycznych i zmian sojuszy, nie wahał

się przed odesłaniem do Pragi swej drugiej żony, siostry króla Wacława II, Kunegundy, choć ściągnęło to na jego dzielnicę wyprawę odwetową byłego szwagra.

Zamek płocki w pierwotnej postaci składał się z obwodu ceglanych murów obronnych, z basztą bramną (obecnie tzw. Wieżą Szlachecką, zwaną w źródłach pisanych także Wielką lub Wysoką), dołem czworoboczną, wyżej ośmioboczną. Poprzedzał ją most zwodzony. Od baszty bramnej mury poprowadzono z jednej strony ku południowi (dalej zapewne krawędzią skarpy), z drugiej ku północy i nieco w kierunku północno-wschodnim. Tym sposobem utworzone zostało charakterystyczne załamanie obwodu obronnego, niemal w połowie między basztą bramną a tzw. Wieżą Zegarową. Ta ostatnia została zbudowana na murach dawnej kamiennej wieży, być może mieszkalnej, o nieustalonym do końca rodowodzie. Jej kamienne, ciosowe mury do dziś są widoczne w dolnych partiach Wieży Zegarowej. Dalej obwód obronny prowadzono krawędzią skarpy ku



▲ Płock, zamek, tzw. Wieża Zegarowa

Jeszcze przed połową XIV w. rozpoczęto przekształcanie grodu książęcego w Warszawie w mуровany zamek. Być może już za czasów księcia Trojdena I (ur. między 1284 a 1286, zm. 13 marca 1341) lub jego syna Kazimierza I (ur. pomiędzy 1320 a 1331, zm. 26 listopada lub 5 grudnia 1355) wzniesiono tam wieżę później zwaną Grodzką, zachowaną w dolnych partiach do dnia dzisiejszego, mimo zniszczeń II wojny światowej. Budowla pierwotnie pełniła najpewniej funkcje mieszkalno-obronne. Od północy przylegał do niej czworoboczny aneks. Wieża, wzmocniona w narożach i na osiach ścian przyporami, miała początkowo przynajmniej trzy kondygnacje naziemne. Pierwotnie znajdowała się zapewne w ciągu drewniano-ziemnych umocnień siedziby książęcej, podobnie jak mуровany budynek bramny tzw. Szoraw („żuraw”). Można uznać, iż wieża miała w północno-wschodnim narożu strzypia, a więc najpewniej już w chwili jej kreacji przewidziano włączenie budowli w obwód murów obronnych. Towarzyszyła jej zapewne wzniesiona z drewna zabudowa mieszkalna i gospodarcza, być może nawet wykonany w konstrukcji ryglowej dwór książęcy. Tak uformowanej siedziby nie przekształcono w średniowieczu w mуровany

P. Lasek, domena publiczna

północnemu wschodowi, z okrażeniem zabudowań benedyktyńskich (najpewniej drewnianych) wraz z kościołem św. Wojciecha oraz katedrą. Nie jest jasne, czy w tej najstarszej fazie stał już pałac książęcy, którego istnienie poświadczono zostało źródłowo w XV w. Tak ukształtowane założenie Kazimierz Wielki obwiał drugim murem obronnym. Dalszą rozbudowę prowadzono już w czasach Jagiellonów, po przejściu w 1495 r. Mazowsza płockiego do Korony. Wzniesiono wówczas na zamku nowe budynki mieszkalne, jak też nadbudowano Wieżę Zegarową, pełniącą od późnego średniowiecza rolę dzwonnicy pobliskiej katedry. Zamek został zniszczony podczas potopu szwedzkiego oraz w czasie III wojny północnej w 1705 r. – i nie podniesiono go już z upadku. Ocalałe fragmenty zachowały się w murach dawnego opactwa benedyktyńskiego, obecnie mieszczącego Muzeum Diecezjalne w Płocku i Kurię Diecezjalną.



Warszawa, widok miasta i zamku z ok. 1573 r.

zamek. Przebudowy z czasów Janusza I Starszego (ur. ok. 1346, zm. 8 grudnia 1429) nadały jej wygląd miejskiej „kuri” – dworu książęcego o zredukowanych walorach obronnych (m.in. budowa między wieżą a bramą Szorawu tzw. Domu Wielkiego, którego zrekonstruowaną ceglana elewację oglądać można na dziedzińcu zamku wazowskiego). Zespół zabudowań książęcych został następnie przekształcony za czasów Zygmunta Augusta, przy udziale budowniczego Giovanniego Battisty di Quadro, pracującego wcześniej m.in. przy poznańskim ratuszu. Przebudowa objęła tzw. Dom Wielki, mieszczący odtąd wnętrza sejmowe, m.in. sklepioną trzysłupową izbę poselską na parterze i izbę senatorską na piętrze. Wzniesiono wówczas także przylegającą do Domu Wielkiego od północy nową siedzibę, tzw. Nowy Dom Królewski, z umiejscowioną od zachodu cylindryczną wieżą mieszczącą klatkę schodową. Rozbudowano również drugą siedzibę, znajdującą się w tzw. Dworze Mniejszym, o genezie późnośredniowiecznej. Tak uformowane zabudowania Zygmunta III Waza przekształcił w czworoboczny gmach zamkowy, którego zrekonstruowaną bryłę możemy oglądać dzisiaj.



▲ Warszawa, Zamek Królewski, tzw. Wieża Grodzka

◀ Warszawa, Zamek Królewski, zrekonstruowana elewacja tzw. Domu Wielkiego



Nieco późniejsza od realizacji warszawskiej była czworoboczna wieża stanowiąca najstarszą budowlę mурowaną zamku książęcego w Gostyninie. Budowla ta, zapewne mieszkalna, stała w obrębie wałów drewniano-ziemnych. Inicjatorem jej budowy był najpewniej książę Siemowit III (ur. ok. 1320, zm. 16 czerwca 1381), a kreację tak ukształtowanego zespołu można

osadzić w 3. ćw. XIV w. Miał on zastąpić starszy gród na tzw. Łysej Górze, użytkowany jeszcze w 1380 r., kiedy to został wzmiankowany jako *castrum antiquum*. Wieżowa siedziba wraz z otaczającymi ją obwałowaniami funkcjonowała krótko, bowiem już za czasów Siemowita IV (ur. ok. 1352, zm. styczeń 1426) całość uległa przebudowie, a relikty wcześniejszej wieży włączono w nowe, czworoboczne założenie z czworograniastą wieżą główną i przylegającym do niej domem, przebudowane następnie w XVI w. (m.in. do południowego odcinka murów obronnych dobudowano drugi dom zamkowy). Zamek był poprzedzony obronnym przegródkiem, z murowaną kaplicą. W 1611 r. na zamku osadzono będącego w polskiej niewoli cara rosyjskiego Wasyla IV Szujskiego. Dokonał on w Gostyninie swego żywota – zmarł w wyniku zarazy 12 września 1612 r. Znajdujący się obecnie na górze zamkowej w Gostyninie budynek, przylegający do gmachu dawnego kościoła ewangelickiego, kryjącego relikty zamkowej wieży, nie jest pozostałością opisywanej książęcej, potem zaś królewskiej budowli, a jedynie współczesną rekonstrukcją.

Z osobą Siemowita III lub jego syna, Siemowita IV, łączy się, prócz Gostynina, wzniesienie innych murowanych zamków: w Wyszogrodzie (niezachowany) oraz Sochaczewie (zachowane na szczycie wzgórza zamkowego ruiny pochodzą w przeważającej mierze z XVII w.), a także zamku w Rawie Mazowieckiej. Tę ostatnią budowlę założono na podmokłym terenie w widłach rzek Rawki i Rylki. Realizacja, wyróżniająca się

wśród zamków mazowieckich rozmiarami (4200 m²), posadowiona została na rzucie regularnego czworoboku. Wjazd wiódł przez trójkondygnacyjną wieżę bramną, zlokalizowaną na osi południowego muru obronnego. Cały północny bok zamku zajmował piętrowy pałac na rzucie zbliżonym do prostokąta. Drugi murowany budynek położony był między bramą a południowo-wschodnim narożem budowli. Pozostała zabudowa dziedzińca była drewniana. W południowo-zachodnim narożu stanęła masywna, ośmioboczna wieża główna, podobnie jak mury obwodowe wzmocniona przyporami. Zamek rawski uważany był jeszcze w XVI w. za silną twierdzę, od 1562 r. przechowywano tu pieniądze dla utrzymania wojsk kwarcianych, formacji powołanej do obrony kresów południowo-wschodnich państwa polskiego przed najazdami Tatarów. Zamek, zniszczony przez wojska szwedzkie, nie podniósł się z ruiny. Jego częściowo zrekonstruowane relikty są obecnie udostępnione do zwiedzania.

Najczęściej przywoływanym w kontekście budowy zamków władcą mazowieckim jest najstarszy syn Siemowita III, Janusz I Starszy (ur. ok. 1346, zm. 8 grudnia 1429). Na przełomie 1373 i 1374 r., jeszcze za życia ojca, otrzymał on własną dzielnicę ze stolicą w Warszawie. Do ostatecznego podziału ojcowizny pomiędzy Janusza I i Siemowita IV doszło dopiero po zgonie Siemowita III w 1381 r. Janusz został wówczas panem ziem: ciechanowskiej, liwskiej, łomżyńskiej, nurskiej, warszawskiej,



Gostynin, budowla na miejscu zamku książęcego oraz dawny kościół ewangelicki

Rawa Mazowiecka, baszta zamkowa i fragment zrekonstruowanych murów obronnych



wyszogrodzkiej i zakroczymskiej. W polityce zewnętrznej był wiernym sojusznikiem Władysława Jagiełły, jego chorągwie wzięły udział w bitwie pod Grunwaldem. Janusz okazał się dobrym gospodarzem, dbałym o finanse i gospodarkę swych ziem. Lokował licznie miasta, w sumie 24, m.in. Czersk, Ciechanów, Różan, Nową Warszawę, Drohiczyń, Łomżę, Grójec, Maków Mazowiecki, Mińsk Mazowiecki, Tykocin, Przasnysz, Kolno, Ostrołękę. Dbał też o wzmocnienie potencjału obronnego księstwa, wznosząc nowe zamki. Do najbardziej znanych należą te w Ciechanowie, Czersku i Liwie.

3 sierpnia 1400 r. w Wyszogrodzie Janusz I wystawił dokument skierowany do mieszkańców i władz Ciechanowa. Przywilej ten sporządzono w związku z przeniesieniem miasta w inne miejsce, w celu ułatwienia mu dalszego wzrostu i rozwoju. Książę potwierdził w nim dotychczasowe prawa mieszczan oraz nadał nowe. Wielu badaczy przedmiotu jest skłonnych łączyć przyczyny translokacji miasta z początkiem budowy w nowej lokalizacji murowanego zamku. Budowla powstała na bagnistym terenie, w zakolu rzeki Łydyńi. Najstarsze fazy powstawania budowli nie

zostały jak dotąd w pełni wyjaśnione. Wyniki badań dendrochronologicznych pali użytych do umocnienia gruntu pod wzniesienie fundamentów warowni wskazały, że pochodzą one z drzew ściętych późną jesienią lub wczesną zimą 1399 r., co wyznacza *terminus post quem* budowy zamku, a przynajmniej obwodu obronnego z basztami (dom zamkowy, przewidziany w pierwotnym projekcie, ukończono później). Działania budowlane w XV w. nie były ostatnimi na zamku ciechanowskim. Zapewne w końcu XV lub dopiero w XVI w. nadbudowano baszty zamkowe oraz kurtyny, które zyskały obecnie zachowaną wysokość. Baszty wyposażono w strzelnice kluczowe, przystosowane do broni palnej. Zamek zniszczony został przez wojska szwedzkie w czasie potopu oraz w 1708 r. w czasie wielkiej wojny północnej. Po trzecim rozbiorze, z inicjatywy pruskich zaborców, nastąpiła rozbiórka resztek zabudowań wewnętrznych oraz północno-wschodniego narożnika murów. Planowano przekształcić zamek na więzienie, do czego jednak nie doszło. Obecnie w częściowo zrekonstruowanym zamku ma siedzibę Muzeum Szlachty Mazowieckiej.



Ciechanów, zamek

Górujący nad doliną wiślaną cypel, na którym stoja ruiny zamku książęcego w Czersku, wykorzystywany był już w starożytności. W połowie XI w. wzniesiono tam gród. Najpewniej na początku XII w. na jego majdanie stanął kamienny kościół pw. św. Piotra, od 1252 r. centrum archidiakonatu podległego biskupstwu poznańskiemu. W 1388 r. Janusz I zwolnił chłopów z wsi należących do biskupa poznańskiego z obowiązku naprawy jednej izbicy grodu w Czersku. Najwidoczniej posługa ta nie była już potrzebna – wkrótce gród miał zostać zamieniony na murowany zamek. W 1399 r. *castrum* w Czersku nie miało wystarczającej przestrzeni dla mieszkającej tam kapituły kolegiackiej. Nie wiadomo, czy chodziło wówczas jeszcze o stary gród, czy już o murowany zamek w trakcie budowy. W 1415 r. wzmiankowany został czerski kapelan zamkowy. Wątpliwe, żeby sprawował on posługę na placu budowy, można więc założyć, że zamek był wówczas ukończony lub też prace budowlane były finalizowane. Na pewno zakończono je w zasadniczym kształcie przed 8 grudnia 1429 r., kiedy to w Czersku zmarł Janusz I.

Budowlę posadowiono na rzucie wieloboku, częściowo w linii wałów grodowych. Wniesiono ją z cegły na fundamencie z kamieni polnych. Zamek powstawał etapami, przy czym proces jego budowy, ponownie jak w przypadku zamku w Ciechanowie, nie został w pełni rozpoznany. Najpierw przystąpiono do budowy baszty

bramnej i baszt cylindrycznych wraz z fragmentami obwodu obronnego. Lica baszt ozdobiono dekoracyjnymi wzorami z cegły zendrówki. Wjazd prowadził od północnego wschodu przez czworoboczną basztę bramną, od strony zewnętrznej wzmocnioną dwiema przyporami. Budowlę poprzedzał drewniany most zwodzony, z osobną kładką dla pieszych. Urządzenia te w razie zagrożenia wprowadzano w dwie wnęki, w których posadowiono ostrołukowy przejazd bramny oraz mniejszą furtę. Wyżej wzniesiono niewielką izbę z pojedynczym otworem strzelniczym, skierowanym do wjazdu na zamek. Wejście do niej prowadziło z chodnika obronnego. Nie wiadomo, jak w czasach Janusza I wyglądała zabudowa mieszkalna zamku. Rozbudowa obiektu miała miejsce najpewniej w XV w. Baszty podwyższono, przy czym w przypadku tych cylindrycznych zwiększono jedynie ich wysokość, bez wprowadzania strzelnic. Powyższe prace można ostrożnie łączyć z inicjatywą Konrada III Rudego (ur. ok. 1448, zm. 28 października 1503), który panował w Czersku od 1471 r.

W 1529 r., po wcieleniu Mazowsza do Królestwa Polskiego, zamek stał się siedzibą starościńską. Król Zygmunt I Stary odwiedził Czersk w 1526 r., w drodze z Warszawy do Krakowa. Miał wówczas możliwość oceny stanu budowli. W 1545 r. Czersk, wraz z całym województwem mazowieckim, trafił jako wiano w ręce Bony Sforzy. Za jej czasów wszczęto na zamku prace

remontowo-budowlane. W 1545 r. starosta czerski Florian Parys herbu Prawdzic przeprowadził rozbiórkę starych murów i budynków zamkowych. O dalszych pracach informuje spisana w 1549 r. przez kanonika Macieja Wargawskiego lustracja zamków województwa mazowieckiego. Wedle tego źródła Florian rozpoczął na zamku wznoszenie trzech budynków mieszkalnych między basztą bramną a basztą zachodnią, użytkowaną wówczas jako więzienie. Budynki te konstruowano częściowo na starszych fundamentach, co zdaje się sugerować istnienie w tym miejscu zabudowy mieszkalnej już w XV w. Poza nowo wzniesionymi strukturami lustrator odnotował „budynek dawny” (*aedificia antiqua*), stajnie, dwie izby „dawnej budowy” na obwarowaniach zamku oraz zrujnowany kościół. Kres „podziwu godnej” siedzibie książąt i starostów przyniósł potop szwedzki. W kwietniu 1656 r. zamek zajęły wojska szwedzkie, które, wycofując się, częściowo go wysadziły. Próby podniesienia budowli ze zniszczeń podjął się w latach 1762-1766 ówczesny starosta czerski Franciszek Bieliński. Wzniósł on budynek archiwum oraz nowy, ceglany most (zachowany do dzisiaj). W 1778 r. lustratorzy oglądali zamek ponownie zrujnowany. Na przełomie XVIII i XIX w. Prusacy rozebrali znaczną część kurtyny południowej oraz północnego domu zamkowego, a budowla

ulegała postępującej degradacji, nasilonej przez zniszczenia I i II wojny światowej. Po wojnie naprawiono uszkodzenia, a w 1958 r. ruiny zamku wpisano do rejestru zabytków, co zatrzymało jego dalszą destrukcję. Rozpoczęto też prace badawcze oraz przystosowanie budowli do celów turystycznych, zakończone w 1974 r.

Zupełnie odmiennym od dwóch opisanych wyżej zamków Janusza I był zamek w Liwie. Pierwotnie funkcjonował tam gród obronny, strzegący przeprawy przez rzekę oraz wschodnich granic Mazowsza. Znajdował się on na południe od dzisiejszego Liwu, w miejscowości Grodzisk. W XIII w. osadę przeniesiono bardziej na północ, w miejsce dzisiejszego zamku. Prawa miejskie Liw uzyskał dopiero ok. 1421 r., co było związane z wybudowaniem w miejscowości zamku książęcego oraz ustanowieniem go stolicą ziemi liwskiej. Warownię wzniesiono na lewym brzegu Liwca, na wschód od miasta lokacyjnego, na kępie wśród bagien i mokradeł w widłach Czerwionki i Liwca. Posadowiono ją na rzucie czworoboku zbliżonego do kwadratu, z budynkiem bramnym w formie otwartej do wnętrza zamku baszty, wysuniętej przed lico muru północno-zachodniego. Wewnątrz zaplanowano dwa równoległe budynki, większy, dostawiony na całej długości do muru

Czersk, zamek



Moda na Mazowsze

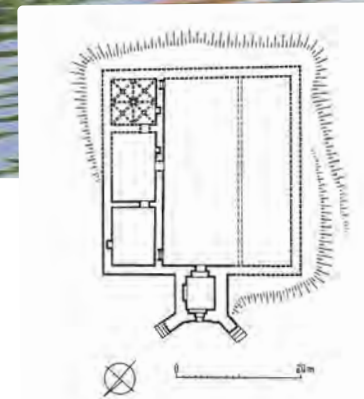
Czas wakacji to najlepsza okazja nie tylko na dłuższe wyprawy, lecz także na poznawanie najbliższej okolicy, np. podczas urlopu na Mazowszu. Jako destynacja jest teraz ono bardzo modne. Według danych GUS województwo mazowieckie jest liderem pod względem liczby turystów w całej Polsce. W ubiegłym roku Mazowsze odwiedziło prawie 6,9 mln gości. Ponad 5 mln turystów to mieszkańcy Polski, a blisko 1,9 mln osób to przyjezdni z zagranicy. W 2024 r. województwo mazowieckie odwiedziło o 14 proc. więcej turystów zagranicznych i o 8 proc. więcej turystów krajowych. Dane te z dumą przytacza marszałek Adam Struzik, który od lat wraz z mazowieckimi samorządowcami rozstawia uroki krajobrazowe i przyrodnicze regionu, zabytki, atrakcje turystyczne, muzea i instytucje kultury, a nawet smaki tradycyjnej kuchni. Zachęcając do podróżowania, władze Mazowsza propagują aktywne, zdrowe spędzanie wolnego czasu, np. na wyprawach rowerowych. Ciekawe trasy przez malownicze wsie, urokliwe miasteczka i unikatowe zabytki pomagają odkryć mapki przygotowane przez urząd marszałkowski. Dla przykładu: dla mniej doświadczonych rowerzystów jedna z mapek proponuje wycieczkę m.in. Doliną Muchawki. Jest to trasa o długości 32 km, biegnąca przez Siedlce i okolice. Po drodze można wypocząć nad zalewem Muchawka, gdzie zorganizowane jest strzeżone kąpielisko z pomostem i piaszczystą plażą. Dla tych, którzy lubią wakacje nad wodą, Mazowsze ma wiele innych propozycji, jak np. spływ kajakowy rzeką Liwiec od miejscowości Wólka Proszewska do Liwu. Podczas tej kilkugodzinnej wycieczki można podziwiać krajobrazy i zobaczyć wiele zabytkowych obiektów, jak zamek w Liwie czy drewniany kościół w Jarnicach. Kilkunastokilometrowe trasy rzeką Bug są z kolei doskonałą opcją dla osób, które chcą spędzić czas na świeżym powietrzu, przy okazji obserwując malownicze wzgórza i obiekty historyczne. A Narew? Płynąca pomiędzy Puszcą Białą i Zieloną, może być zachętą do odkrycia Kurpiowszczyzny i odwiedzenia Pułtuska. Również w Płocku zostaniemy mile zaskoczeni ofertą wypoczynku nad Wisłą.

Po raz kolejny samorząd Mazowsza zaprasza też na MazoPikniki! Są one okazją do poznania naszego regionu w rodzinnej atmosferze. Wśród atrakcji – warsztaty, potrawy kuchni regionalnej czy koncerty. MazoPikniki odbędą się m.in. w Mińsku Mazowieckim (23 sierpnia) oraz Łosicach (6 września). Kalendarz wszystkich wydarzeń na stronie https://mazowsze.travel/dzieje_sie/mazopikniki-rodzinna-zabawa-na-mazowszu/. Więcej pomysłów na podróżowanie po Mazowszu można znaleźć w serii 25 MazoWypraw na: <https://www.youtube.com/@modanamazowsze578>. ●

północno-wschodniego, i mniejszy, przy murze południowo-zachodnim, rozdzielone niewielkim dziedzińcem. Następny etap rozwoju zamku wiązany jest z inicjatywą księżnej Anny (ur. 1476, zm. 23 marca 1522), wdowy po Konradzie III Rudym, i latami 1512-1522. Wówczas podwyższono budowlę bramną i zamknięto ją ścianą od strony dziedzińca, nadbudowano też mury obwodowe. W świetle lustracji z 1549 r. w wieży bramnej mieścił się karcer, wyżej „sklep dobry”, na ostatniej kondygnacji zaś zbrojownia. W obrębie murów znajdowały się: „dom duży albo kamienica”, dom mały oraz drewniany spichlerz. Zamek był skomunikowany z miastem poprzez groblę i długi drewniany pomost, przy których mieścił się gospodarczy przygródek, częściowo ustawiony na palach nad bagniskiem. Tworzyły go budynki administracyjne i mieszkalne (m.in. kancelaria), gospodarcze (kuchnia, stajnie, młyn, prochownia), a także łaźnia. Budynki te były wykonane z materiałów nietrwałych. W końcu XVI w. zamek podupadł, a brak dbałości o jego fortyfikacje sprawił, że budowla stała się łatwym łupem dla Szwedów w czasie potopu w 1656 r. i wielkiej wojny północnej. Zamek, dwukrotnie spalony przez najeźdźców, stracił całkowicie swe walory obronne. Zachował jednak w dalszym ciągu funkcję siedziby starostwa i sądu ziemi liwskiej. Dla pomieszczenia tych urzędów, sumptem starosty liwskiego Tadeusza Grabianki herbu Leszczyc, dobudowany został do zamku w 1782 r. dwór, zaś wieżę bramną przystosowano do pełnienia funkcji archiwum akt ziemi liwskiej. W 1918 r. ruiny upaństwowiono, a w latach 30. XX w. podejmowano próby remontu zabytku. W 1942 r. niemieckie władze okupacyjne rozpoczęły rozbiórkę ruiny na budulec dla powstającego w Treblince obozu zagłady. Młody archeolog Otto Warpechowski (1917-1945) zdołał jednak przekonać starostę niemieckiego Ernsta Gramssa, że Liw zbudowali... Krzyżacy, co spowodowało rozpoczęcie odbudowy zamku na koszt III Rzeszy. Renowację zabytku ukończono ostatecznie w 1961 r., a w 1963 r. powołano na zamku muzeum dawnego oręża, funkcjonujące obecnie jako Muzeum Zbrojownia na Zamku w Liwie.

Janusz I Starszy prowadził też prace budowlane przy innych obiektach, wznosząc mniejsze założenia, tzw. kurie – były to ośrodki administracyjne oraz centra folwarków książęcych, składające się z budynków mieszkalnych (niekiedy murowanych) oraz gospodarczych, otoczonych drewnianym ogrodzeniem. Dwory takie powstały np. w Łomży, Makowie Mazowieckim czy Zakroczymiu. Zespoły te również były zwane w źródłach pisanych zamkami, zwłaszcza kiedy w ich obrębie stał murowany budynek książęcy.

Postaci dawnych władców Mazowsza zasługują na uwagę współczesnych. Dotyczy to przede wszystkim Janusza I Starszego, ze względu na rozmach jego inicjatyw budowlanych zwanego niekiedy „Kazimierzem Wielkim” Mazowsza. Poznanie dziejów i zabytków



Liw, zamek, rzut przyziemia, Zbiory Fotografii i Rysunków Pomiarowych Instytutu Sztuki PAN

z czasów książęcych znajdujących się na terenie obecnego województwa mazowieckiego ułatwia specjalna trasa turystyczna – Szlak Książąt Mazowieckich. ●



Piotr Lasek – historyk sztuki, doktor nauk humanistycznych, pracownik naukowy Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Zakres jego badań obejmuje architekturę obronno-rezydencjonalną Europy późnego średniowiecza oraz wczesnej nowożytności, jak też ochronę i inwentaryzację zabytków architektury w Polsce w l. 1918-1939

Kościół sakramentek i Rynek
Nowego Miasta w końcu XIX w.

Rynek Nowego Miasta – od świetności do upadku

Adrian Sobieszczański

Rynek Nowego Miasta, rozległy plac stanowiący przez wieki centrum życia gospodarczego i politycznego omawianego obszaru, skupia w sobie historię kilku wieków. Burzliwe losy i narodowe tragedie sprawiły, że jego symbolem nie są, jak w przypadku innych ośrodków miejskich, nowomiejski ratusz i otaczające go kamienice, lecz górująca nad placem świątynia – dziś symbol zagłady i odbudowy tego, co na zawsze miało być zniszczone



Rynek, centralny punkt Nowego Miasta, we wczesnym okresie rozwoju obszaru miał wymiary ok. 140 na 120 m, co czyniło go zdecydowanie większym od Rynku Starego Miasta. Pierzeje podzielone były na 15 szerokich na 8-10 m i głębokich na ok. 35 m działek. Wyjątkiem była strona północna, którą stanowiło 13 posesji. Gospodarcze ulice przebiegające na tyłach bloków rynkowych zwano tylnymi. Bloki przyrynkowe wschodni i północny były głębsze. Blok północny dzieliły aż dwie ulice: pierwsza gospodarcza przebiegająca na tyłach działek rynkowych zwana była Szewską, zaś równoległą do niej i sąsiadującą z gruntami wójtowskimi zwano prawdopodobnie w XVI w. Garncarską. Co ciekawe, mimo iż wschodni blok zabudowy posadowiony był w sąsiedztwie spadzistego terenu skarpy wiślanej, to on również miał gospodarczą ulicę na tyłach zabudowy przyrynkowej, za którą powstał jeszcze jeden, chociaż zdecydowanie płytszy od pozostałych, blok zabudowy. Ulica ta biegła na wysokości dzisiejszej uliczki przed kościołem św. Benona. Ulica na tyłach bloku południowego oprócz swojej podstawowej funkcji gospodarczej pełniła również funkcję graniczną, rozdzielając grunty Starej i Nowej Warszawy. Analogiczną sytuację można było zaobserwować po stronie zachodniej, gdzie przebiegająca na tyłach posesji ulica Koźła oddzielała teren Nowego Miasta od jurydyki Świętojerskiej. Zwartą zabudowę tego bloku przecinała wąska uliczka określana jako *platea es circulo ad eadem s. Georgio*, która zgodnie z nazwą prowadziła w kierunku kościoła św. Jerzego. Uliczka ta biegła wzdłuż południowego odcinka Koźlej. Zniknęła z planów miasta, kiedy ostatecznie została zabudowana.

Blok śródrzynkowy zająć miały ratusz, kramy, jatki, łaźnia oraz domy. Rynek wyróżniała zwarta zabudowa, charakterystyczna także dla ulic Freta i Zakroczymskiej. To właśnie rynek wraz z najbliższą okolicą skupiał życie mieszkańców ówczesnej Nowej Warszawy, co szczególnie widoczne było w trakcie jarmarków i cotygodniowych targów.

W panoramie XVI-wiecznej Warszawy zabudowa Nowego Miasta znaczyła się raczej niską zabudową domów oraz zielenią sadów i ogrodów. Akcent wysokościowy stanowiły dwie nowomiejskie świątynie oraz wzniesione prawie 100 lat po lokacji miasta, bo ok. 1497 r., nowomiejski ratusz. Zapewne pierwotnie drewniany,



Klasztor sakramentek i kamienica Rynek Nowego Miasta 1

otoczony domami i kramami budynek ratusza ulokowany był pośrodku rynku. Po jego zniszczeniu w pożarze miasta w 1544 r. jeszcze w tym samym roku mieszcianie rozpoczęli starania o odbudowę, do której przystąpili zapewne w roku kolejnym. Budowa nowego, usytuowanego w pobliżu południowo-wschodniego naroża centralnego bloku rynkowego budynku, do którego wzniesienia wykorzystano dawne fundamenty, trwała do 1560 r. W 1600 r. do ratusza dobudowano wieżyczkę z dzwonem. Zniszczony przez wojska Jerzego II Rakoczego w 1657 r. ratusz Nowego Miasta odbudowano w formach barokowych jeszcze przed 1680 r., ale już w nowym miejscu. Klasycystyczną formę otrzymał ratusz Nowego Miasta w 1785 r. – po przebudowie, która niewątpliwie była największą inwestycją miejską w obszarze rynku w czasach stanisławowskich. Piętrowy budynek, kryty czterospadowym dachem i z wieżyczką wtopioną fasadę zwróconą w kierunku zachodnim, pozostawał do 1791 r. symbolem niezależności Nowego Miasta. Budynek ratusza obudowano kramami projektu Tomasza Szmitta, będącego również autorem jatek rzeźniczych w bloku zabudowy śródrzynkowej.

W 2. poł. XVII w. zabudowa w rynku Nowego Miasta poza małymi wyjątkami nie prezentowała się okazale. Wpływ na taki stan rzeczy miały zniszczenia z 1656 r. oraz z roku kolejnego, dokonane przez wspomniane wojska Jerzego II Rakoczego. W XVII w. w wyglądzie Rynku Nowego Miasta nadal dało się zauważyć brak murowanych domów. Wyjątek stanowiła pierzeja zachodnia, gdzie koncentrował się nowomiejski handel. W XVII w. w obrębie Nowego Miasta skupowano ziemię, którą zbiedniałe społeczeństwo sprzedawało szlachcie i magnaterii. Dotyczyło to nie tylko gruntów



Kościół sakramentek w pocz. XX w.

nowomiejskich, lecz też parceli położonych w bliskim sąsiedztwie rynku. W latach 40. XVII w. na terenie pozostającym na tyłach wschodniego bloku zabudowy (współcześnie są tu ogrody sakramentek) swoje dwory wzniesli marszałek wielki koronny Łukasz Opaliński i kasztelan czerski Wojciech Radziwiński.

Zwarta zabudowa wschodniej pierzei rynku, sięgająca początkowo aż do kościoła NMP, uległa zniszczeniu w czasie wojen szwedzkich. W latach 80. trzy parcele w rynku zakupił od mieszczan Jan Dobrogost Krasieński z zamiarem wzniesienia pałacu. Fundusze na budowę pożyczył od stolnikowej wyszogrodzkiej Małgorzaty Kotowskiej, która stała się właścicielką tych placów po 1682 r. Wybór miejsca pod budowę pałacu nie był przypadkowy. Zapewne wpływ na decyzję miało usytuowanie na skarpie wiślanej zaprojektowanego przez Tylmana van Gameren pałacu Gnińskich.

Dwupiętrowy pałac na planie kwadratu, zaprojektowany dla Kotowskiej również przez Tylmana van Gameren, wzniesiono w latach 1682-1684. W chwili zakończenia budowy siedziba stolnikostwa Kotowskich była niewątpliwie najwspanialszą budowlą odbudowującego się po zniszczeniach wojennych Nowego Miasta. Wybór architekta pałacu leżał w gestii zajmującej się kwestiami budowy Małgorzaty. Podkreślając znaczenie swego rodu i chcąc konkurować z magnaterią, a przy tym posiadając ogromne środki finansowe, Kotowska wybrała artystę, który wcześniej zaprojektował rezydencję starosty warszawskiego Jana Dobrogosta Krasieńskiego czy wspomniany pałac podkanclerzego Jana Gnińskiego, a także np. przebudowę pałacu Jerzego Ossolińskiego. Kotowscy, jeszcze nie tak dawno sygnujący się nazwiskiem Kot, zaledwie kilka lat wcześniej, bo w 1673 r., otrzymali szlachectwo. Szybki awans społeczny był konsekwencją wystawienia przez nich biorącej udział

w wyprawie chocimskiej chorągwi. Niedługo Kotowscy cieszyli się nowomiejską rezydencją – w 1689 r. została ona kupiona przez Marię Kazimierę de La Grange d'Arquien, zwaną Marysieńką Sobieską, na siedzibę sprowadzonego do Warszawy zakonu benedyktynek od Nieustającej Adoracji Najśw. Sakramentu. Sprowadzenie nad Wisłę sakramentek było wypełnieniem ślubowania złożonego w czasie wyprawy wiedeńskiej jej męża, króla Jana III.

Dzieło holenderskiego architekta, którego prace determinują nasze myślenie o barokowej architekturze ziem polskich XVII w., stanowi dominantę w panoramie Nowego Miasta oglądanej z praskiego brzegu. Najpełniej jednak można podziwiać obiekt od strony nowomiejskiego rynku. Stworzony przez Tylmana projekt był wynikiem wpływu kilku osób: pochodzącej znaną Sekwany królowej, polskiego króla sarmaty oraz samych sakramentek. Królowa pragnęła, aby będąca fundacją królewską świątynia przyćmiła wszystkie okoliczne kościoły oraz powstającą w tym samym czasie, a fundowaną przez marszałka wielkiego koronnego Stanisława Herakliusza Lubomirskiego świątynię bernardynów na Czerniakowie.

Nowomiejski kościół, co potwierdzać mają pochówki w jego murach członków rodziny królewskiej,



▲ Kamienica Rynek Nowego Miasta 6
▼ Julian Cegliński (1827-1910), *Rynek Nowego Miasta*



Polona, APW, MNW



Rynek Nowego Miasta i kościół sakramentek w l. 60. XIX w., fot. Karol Beyer

pomyślany był jako mauzoleum rodu Sobieskich. Tworzenie rodowego mauzoleum było zgodne z gloryfikacją rodu, zjawiskiem powszechnym w epoce sarmatyzmu. Smukła, lekka, wyważona świątynia sakramentek była zwieńczeniem skomplikowanego procesu kształtowania się koncepcji architektonicznej i jest najdoskonalszą budowlą centralną Tylmana van Gameren. Obiekt został w stanie surowym ukończony w 1692 r., ale konsekracja, której dokonał biskup poznański Jan Tarło, nastąpiła dopiero w 1715 r. O dawnym bogatym wyglądzie świątyni świadczą dziś tylko nieliczne elementy jej pierwotnego wyposażenia. Nie dotrwał do naszych czasów projektowany przez Tylmana ołtarz główny ani zrealizowana w latach 1718-1723 ambona. Nie miały szans wobec niszczycielskiej siły II wojny freski pokrywające wnętrze kopuły i sklepienia. Wykonane jeszcze w końcu XVII w. malowidła przedstawiały Wniebowzięcie NMP, adorację św. Kazimierza i adorację Najśw. Sakramentu.

Najcenniejszym dziełem zachowanym do dziś w kościele jest umieszczony w południowej kaplicy nagrobek Marii Karoliny z Sobieskich de Bouillon. Jest to późnobarokowy nagrobek z tablicą na piedestale, sarkofagiem i portretem zmarłej w formie białego marmurowego medalionu ujętego czarną girlandą, której ramę kompozycji stanowi archiwolt z umieszczonymi pod nią trupimi czaszkami i pieszczelami na tle draperii. Medalion oparto na głowach

dwóch kozłów stanowiących zarazem zwieńczenie sarkofagu, na którym przedstawiono królewską koronę i pękniętą tarczę – herb Sobieskich. To nieprzypadkowe pęknięcie – oznacza koniec rodu Sobieskich. O sarkofag opiera się alegoryczna postać Rozpaczy, u której stóp umieszczono duży biały medalion z Orłem i Pogonią. Putto po przeciwnej stronie sarkofagu opiera się o mitrę książęcą stanowiącą zamknięcie kartusza herbowego de Bouillon. Wykonany przez Lorenza Mattiello nagrobek został ufundowany przez biskupa krakowskiego Andrzeja Stanisława Załuskiego i wojewodę wileńskiego Michała Kazimierza Radziwiłła „Rybeńkę”. Uszkodzony w 1944 r., został zrekonstruowany w latach 1960-1961.

Mniej szczęścia miał nagrobek Marii Józefy z Wessłów Sobieskiej – żony Konstantego Sobieskiego, która w latach 1753-1761 była oblatką warszawskiego klasztoru. Realizacja nagrobka – niestety, nie dotrwał do naszych czasów – związana było z fundacją Teodora Wessla,

Nagrobek Marii z Wessłów Sobieskiej w końcu XIX w.

J.P. Norblin, *Targ na Ryнку Nowomiejskim w 1784 r.*, zbiory Muzeum Narodowego w Krakowie

bratanka Marii Józefy. Nagrobek z wielobarwnych marmurów, zwieńczony płaskorzeźbionym medalionem portretowym i uzupełniony wykonanymi z białego marmuru kararyjskiego puttami, był dziełem Johanna Chrisostomusa Redtlera, wykonanym według projektu Jakuba Fontany. W dolnej części, na cokole, znajdowała się tablica inskrypcyjna z umieszczonym nad nią kartuszem z wyobrażeniem herbów Sobieskich i Wessłów. Powyżej znalazł się sarkofag zwieńczony zawieszonym na tle draperii medalionem z wizerunkiem zmarłej.

Wschodnią stronę rynku zamyka stojący po południowej stronie świątyni zespół klasztorny. Jego najbardziej charakterystyczną częścią pozostaje mieszczący furtę oraz pokoje gościnne, zaprojektowany przez Antonia Solariego i wzniesiony w 1745 r. pałacyk. Fundatorem budynku był Michał Radziwiłł, a fundacja stanowiła posag wstępującej do klasztoru córki, Anny Kazimiery Radziwiłłówny.

PODZAS POWSTANIA WARSZAWSKIEGO w podziemiach świątyni sakramentek działał szpital powstańczy zgrupowania „Róg”, prowadzony przez doktora Tadeusza Podgórskiego „Morwę”. Funkcjonujący od 10 sierpnia szpital został w nocy z 12 na 13 sierpnia zlikwidowany, zaś rannych przetransportowano do szpitala na ul. Długą 7 oraz na ul. Kilińskiego 1/3. W ciężkich dniach sierpnia 1944 r. sakramentki nie ustawały w adoracji Najśw. Sakramentu, który umieszczono w podziemiach świątyni w prowizorycznym ołtarzu urządzonym przy filarze podtrzymującym ołtarz główny. 12 sierpnia wieczorem, podczas ataku Niemców na Starówkę, zniszczeniu uległa kopuła kościoła. Mimo trudnej sytuacji Starówki w końcu sierpnia 1944 r. w klasztorze zapadła decyzja o pozostaniu na Nowym Mieście. 31 sierpnia część zakonnic zgromadziła się w podziemiach kościoła, pod chórem, gdzie znajdowała się trumna z zabalsamowanym ciałem księżnej de Bouillon, oraz w piwnicach klasztornych. Blisko godz. 16 świątynia i klasztor zostały zbombardowane przez samoloty niemieckie, w wyniku czego kościół i klasztor legły w gruzach, grzebiąc w podziemiach 1000 osób cywilnych, 4 księży, 35 siostr i 15 dzieci – sierot. Uratowało się zaledwie kilkadziesiąt zgromadzonych w podziemiach osób. Kolejne bombardowanie kościoła, 1 września, było dowodem na barbarzyńską chęć unicestwienia nowomiejskiej świątyni. Kościół i klasztor sakramentek zostały odbudowane w latach 1947-1952 pod kierunkiem Marii Zachwatowiczowej i siostry zakonnej arch. Ireny Walickiej.



Zygmunt Vogel, *Ratusz na rynku Nowego Miasta w końcu XVIII w.*, zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie

Jej wprowadzenie do zakonu miało niezwykle ceremonialny, w którym sama Maria Józefa, żona Augusta III, przy udziale posłów szwedzkich, węgierskich, sycylijskich, a nawet sardyńskich, udekorowała skroń Anny diademem i powiodła do kościoła. Zakon sakramentek, cieszący się wśród elit ogromną popularnością, określany był jako arystokratyczny. Zakonny habit przywdziały także m.in.: francuska księżniczka Adelajda de Burbon, Maria z Czartoryskich Wirtemberska – autorka wydanej w 1816 r. powieści *Malwina czyli domysłności serca* – czy szukająca spokoju po burzliwym związku z Konstantym Sobieskim Maria Józefa z Wesslów.

W stojącym równolegle do Wisły skrzydle klasztoru sakramentek do 1865 r. funkcjonowała, stanowiąca źródło dochodu zakonu, pensja prowadzona przez zakonnice. Początkowa szkoła żeńska dla dziewcząt z arystokracji i ziemianstwa proponowała zajęcia praktyczne, lekcje katechizmu i języków: polskiego, francuskiego i niemieckiego. W rozszerzonym z czasem programie znalazły się też zajęcia z historii powszechnej, historii literatury polskiej, geografii, muzyki, rysunku, tańca i arytmetyki. Wychowanką pensji była m.in. późniejsza przełożona pierwszej, założonej w 1862 r., prywatnej szkoły żeńskiej w Warszawie – Anna Jacuńska Jasieńska. Według Elizy Orzeszkowej

– która również, podobnie jak i Maria Konopnicka, była uczennicą pensji sakramentek – pensji lepszej od tej nie było podówczas w kraju. Edukacyjną działalność zakończyły sakramentki w 1865 r. na mocy rozporządzenia władz zaborczych zabraniającego nauczania zgromadzeniom zakonnym.

W 2. poł. XVII w. nastąpiła wyraźna modyfikacja Rynku Nowego Miasta. Wzniesienie w ostatnich dekadach tego stulecia kościoła i klasztoru sakramentek odcisnęło się na wyglądzie placu, czego znakiem było przesunięcie wschodniej pierzei i zmniejszenie placu. Trwałą zmianę w wyglądzie tej przestrzeni wprowadziło też ścięcie bloku śródrzynkowego po prze-

kątnej, co – pomimo różnych przemian – widoczne jest do dziś. W początkach kolejnego stulecia zauważa się proces zabudowy i włączenia do posesji rynkowych dawnych ulic gospodarczych. Wówczas likwidacji uległa np. biegnąca po południowej stronie ulicy Freta uliczka stanowiąca przedłużenie Świętojerskiej. Na mapie Nowego Miasta pojawiały się też nowe ulice, jak wytyczona przez Komisję Dobrego Porządku w 1769 r. i biegnąca od rynku do kościoła św. Benona ulica Piesza. Chociaż czasy stanisławowskie – które bez wątpienia należy uznać za krótkotrwały okres prosperity

Rynek Nowego Miasta, widok w kierunku ulicy Freta w l. 60. XIX w., fot. Karol Beyer, zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie



warszawskiego mieszczaństwa – zmieniły wygląd Nowego Miasta i rynku, to nadal charakter zabudowy placu należy uznać za mieszany, gdzie murowane domy uzupełniała drewniana zabudowa gospodarcza. W dobie oświecenia przebudowano ratusz, a cały plac otrzymał brukowaną nawierzchnię. Rozwój obszaru został zatrzymany przez upadek Rzeczypospolitej, poprzedzony likwidacją odrębności Nowej Warszawy w 1791 r. Likwidacja ta doprowadziła do zmniejszenia znaczenia nowomiejskiego rynku, którego otoczenie zamieszkiwali coraz częściej rzemieślnicy czy przedstawiciele niezamożnej inteligencji.

Zmiany w wyglądzie rynku nastąpiły w 1836 r., kiedy to uporządkowano targ, ograniczając jego działanie do jatek i kramów spożywczych. Budowa nowych domów przy rynku zacierała charakter dzielnicy, zaś brak miejsca, wymuszający wznoszenie oficyn i wewnętrznych podwórz, przyczyniał się do pogorszenia higieny i warunków życia. W XIX w. wygląd domów przy rynku nie dorównywał klasycystycznej architekturze kamienic przy Nowym Świecie, Lesznie, Długiej czy nawet Nalewkach. Działo się tak ze względu na mniejszą, uwarunkowaną historycznie szerokość działek przyrynkowych. W 1868 r. przemianowano dwie pierzeje rynkowe. Zachodnia stała się przedłużeniem ulicy Freta, zaś północna – ulicy Kościelnej. Rynkiem pozostał nieregularny plac pomiędzy pozostałymi pierzejami a skosem ściętego bloku śródrzynkowego. Funkcji handlowej, leżącej u podstaw jego powstania na przełomie XIV i XV w., został rynek pozbawiony w 1878 r., kiedy to w ramach porządkowania przestrzeni urządzono w tym miejscu skwer.

W ostatnich dekadach XIX stulecia prowadzono bardzo mało prac regulacyjnych na obszarze Nowego Miasta. Do najważniejszych należało przebicie ulicy Starej do Mostowej. Efektem nasilenia ruchu budowlanego, jaki był widoczny na Nowym Mieście w końcu pierwszej dekady XX w., było znaczne powiększenie wysokości budynków oraz lokowanie w ich przyziemiach dużych wystawowych witryn. Wysokie kamienice w rynku stały pod numerami 7, 9, 13 i 25. Niestety, ich wzniesienie nierzadko poprzedziły wyburzenia niskich domów, nieprzynoszących właścicielom oczekiwanych zysków. Niektóre domy nadbudowywano, jak w przypadku kamienicy nr 5. Dom ten, podobnie jak wzniesione pod koniec XIX stulecia kamienice nr 11, 15 i 23, był znakiem nieodwracalnych zmian w przestrzeni Nowego Miasta.

BIBLIOGRAFIA:

A. Bartczakowa, *Jakub Fontana. Architekt warszawski XVIII wieku*, Warszawa 1970; M. Kwiatkowski, *Szymon Bogumił Zug. Architekt polskiego oświecenia*, Warszawa, 1971; M. Kwiatkowski, *Architektura mieszkaniowa Warszawy*, Warszawa 1989; R. Mączyński, *Ulice Nowego Miasta*, Warszawa 1998; F.M. Sobieszczański, *Warszawa. Wybór publikacji*, Warszawa 1967; *Szkice nowomiejskie*, red. Puciata, Warszawa 1961; M. Topińska, *Kościół sakramentek*, Warszawa 1974; I. Walicka, *Kościół i klasztor sakramentek w Warszawie*, Warszawa 1988.



Nagrobek Karoliny de Bouillon, wnuczki Jana Sobieskiego / fot. A. Sobieszczański

W przeddzień II wojny obszar Nowego Miasta był zaniedbaną społecznie i estetycznie dzielnicą, której zabytkowy charakter, reprezentowany przez zakonserwowane przez biedę nowomiejskie kamienice, był już bezpowrotnie utracony. Dziś Rynek Nowego Miasta, pozbawiony dawnego wyrazu, pozostaje tylko cieniem swej przeszłości. ☹

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury

Fortepian jaki jest każdy widzi

Michał Bruliński

Parafrazując Benedykta Chmielowskiego, mógłbym napisać, że fortepian jaki jest – każdy widzi. I rzeczywiście, chyba każdy z czytelników miał styczność z tym niezwykle instrumentem

Kiedy przyjrzymy się fortepianowi, najpierw dostrzeżemy wielkie drewniane „pudło”, zazwyczaj czarne. Mieści ono metalową ramę, drewnianą płytę rezonującą oraz skomplikowany mechanizm. Widzimy trzy pedały przytwierdzone do zdobionej liry i klawiaturę złożoną z 88 klawiszy. Tyleż ukrytych jest w korpusie młoteczków, a każdy z nich różni się rozmiarem. Młoteczki uderzają w struny – zazwyczaj w liczbie 243, o różnych długościach i strukturze. Dobrze nam znana forma instrumentu właściwie nie zmieniła się od czasu patentów Henry’ego Steinwaya (właśc. Heinricha Steinwega) z przełomu lat 50. i 60. XIX stulecia. Ta technologiczna cezura zbiega się w kontekście polskim z wybuchem powstania styczniowego, którego konsekwencje trwale wpłynęły m.in. na krajobraz przemysłowy ówczesnej Warszawy – także na wytwórstwo fortepianów. W 1848 r. Franciszek Maksymilian Sobieszczański, jeden z najważniejszych w XIX w. historyków i statystyków Warszawy, a zarazem redaktor założyciel „Tygodnika Ilustrowanego”



Fortepian żyrafa, ok. 1820 r., zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie

(czyli prasowego pradziada „Stolicy”), szacował liczbę tutejszych fortepianów na 5000 w 3053 domach. Przyznacie Państwo, że to imponujący wynik. Skąd tyle fortepianów w ówczesnej Warszawie?

Za twórcę fortepianu uznawany jest Bartolomeo Cristofori, działający na przełomie XVII i XVIII w. na florenckim dworze Medyceuszy. Od początku istnienia fortepian wpleciony był w gęstą sieć interakcji społecznych i kulturowych na różnych płaszczyznach.

Błyskawicznie rozprzestrzeniający się muzyczny wynalazek szybko zajął uprzywilejowaną pozycję w romantycznym krajobrazie aksjologicznym. Wypierając klawesyn i gitarę, fortepian w ciągu niecałego stulecia stał się jednym z podstawowych atrybutów kultury czasu wolnego. Jako kluczowy element wyposażenia XIX-wiecznych salonów łączył sferę prywatną z publiczną. Dla jednych stawał się podstawowym narzędziem pracy, dla innych – wyłącznie źródłem przyjemności. Jedni cenili w nim piękno i bogactwo brzmienia, innych ekscytowała jego estetyczna kompatybilność z garniturem mebli. Przez całe XIX stulecie fortepian konsekwentnie postrzegany był jako przedmiot nowoczesny o wysokich konotacjach statusowych. Można pokusić się o stwierdzenie, że posiadanie instrumentu (nie zawsze idące w parze z umiejętnością gry) miało w kontekście dystynkcji społecznych podobne znaczenie jak do niedawna zakup robota kuchennego Thermomix: stanowiło widoczny emblemat pewnego stylu życia i wyraz aspiracji.

W dychotomicznej kulturze XIX w. fortepian dość szybko wpisany został w kontekst płci. Posługując się pewnym uproszczeniem, można powiedzieć, że mężczyźni częściej wykorzystywali fortepian jako przedmiot służący demonstracji statusu, narzędzie dominacji, umożliwiające profesjonalną działalność muzyczną, szczególnie wirtuozowską oraz kompozytorską. Kobiety za pomocą instrumentu w rozmaitych praktykach amplifikowały z kolei swoją atrakcyjność matrymonialną, eksponując emocjonalny potencjał niezwykle muzycznego przedmiotu podczas salonowych prezentacji.

Fortepianowa moda, która opanowała Europę u progu XIX w., nie ominęła oczywiście Warszawy. Zapewne część z Państwa zadała sobie kiedyś – chociażby przy okazji stołecznego Konkursu Chopinowskiego – pytanie o to, na jakich instrumentach grał Chopin w czasach swojej warszawskiej młodości i co się z tymi fortepianami stało. W poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania cofnijmy się do czasów sprzed 1863 r.

Przyglądając się historii polskich fortepianów przed powstaniem styczniowym, dostrzeżemy urzekające bogactwo form, kształtów i dźwięków, wydobywanych przez muzycznych profesjonalistów i amatorów z instrumentów stołowych, pionowych i skrzydłowych, z pianin oraz rozmaitych konstrukcji hybrydycznych. Trudno w odniesieniu do wskazanego okresu mówić o jednym „fortepianie”, bowiem pod tą nazwą krył się w społecznej



Zamach na namiestnika Teodora Berga, 19 września 1863 r., litografia wg zdjęcia Maksymiliana Fajansa, zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie

percepcji cały zestaw rozmaitych chordofonów młoteczkowych. XIX-wieczni wytwórcy fortepianów prześcigali się we wdrażaniu kolejnych innowacji konstrukcyjnych. Eksperymentowali z całą gamą materiałów: z różnymi rodzajami drewna przeznaczonego na płytę rezonansową, ze stopami metali przy odlewaniu ramy instrumentu i strun, ze skórą i filcami, które pokrywały główki uderzających w struny młoteczków, jak również z innymi tworzywami umieszczanymi między strunami i młotkami w celu modyfikacji barwy (tzw. moderatory). Wszystkie te subtelne elementy konstrukcji fortepianu miały wymierne przełożenie na brzmienie instrumentu – głównego źródła dźwięku w przestrzeniach prywatnych aż do końca XIX w., domowego „radioodbiornika”. Z jednej strony konstruktorzy odpowiadali na zapotrzebowanie rzeszy muzycznych amatorów, którzy często nad walory brzmieniowe przedkładali wygląd i trwałość muzycznego narzędzia, z drugiej – na popyt kształtowany przez wirtuozów, którym zależało przede wszystkim na nośnym i szlachetnym dźwięku oraz sprawnym mechanizmie. Wycieczkę do warszawskiej manufaktury fortepianów w czasach Chopina moglibyśmy zatem porównać do współczesnej wizyty w salonie samochodowym: każdy oglądany model krył w sobie szereg technicznych udoskonaleń i nowinek, każdy był „skrojony na miarę” i dostosowany do indywidualnych potrzeb, jedyny w swoim rodzaju; każdy kusił atrakcyjnym wyglądem, pięknym dźwiękiem czy statusową obietnicą.

Ta wielość kształtów i form implikowała u progu XIX w. pewne kłopoty amatorów muzyki z fortepianową nomenklaturą. W wydawanym między 1807 a 1814 r. *Słowniku Języka Polskiego* Samuela Bogumiła Lindego fortepian został mylnie opisany jako „klawikord”, co zdarzało się wówczas często, szczególnie w odniesieniu do fortepianów stołowych →



Miniaturowy londyński fortepian stołowy z warsztatu Gabriela Buntebarta, 1785 r. Podobne fortepiany często sprowadzali na ziemie polskie arystokraci w ostatniej ćwierci XVIII w., zbiory Muzeum – Zamku w Łańcucie.

(konsekwencje wpływu zapożyczenia z języka niemieckiego – *klavier*). Z kolei fortepiany skrzydłowe również błędnie opisywano często w źródłach jako „klawicymbały” (od wł. *clavicembalo* – klawesyn), chociaż klawesynu również nie można utożsamiać z fortepianem. Nieco później zaczęły funkcjonować na ziemiach polskich nazwy *fortepian* / *fortepiano* oraz *pianoforte*, które określają najbardziej charakterystyczną cechę tego instrumentu na tle pozostałych chordofonów klawiszowych: możliwość płynnej zmiany dynamiki gry (od *piano* – cicho do *forte* – głośno). W dokumentach z epoki jako substytut „fortepianu” pojawiał się także często egzotyczny dla naszych uszu i oczu „pantalion”. Tak więc „klawicymbał”, „klawikord”, „fortepian”, „pantalion” i „pianoforte” były w praktyce polskiego przed powstaniem styczniowym synonimicznymi określeniami tego samego przedmiotu. Wspomniane nazwy pojawiały się właściwie w każdym numerze warszawskiej prasy, w niezliczonych ogłoszeniach o koncertach, wydawnictwach nutowych, lekcjach gry, sprzedaży, a nawet w swego rodzaju leasingu instrumentów. Może trudno nam to sobie wyobrazić, ale od kongresu wiedeńskiego aż po wybuch I wojny światowej stołeczne ulice skąpane były w dźwięku fortepianów, dobiegającym niemal z każdej kamienicy. Nawet jeśli założymy, że przywoływany wcześniej Sobieszczański nieco przeszacował całkowitą liczbę warszawskich instrumentów w połowie wieku, to możemy zasadnie podejrzewać, że przywiodło go do tego doświadczenie kipiącej fortepianowym dźwiękiem fonosfery ówczesnej stolicy Królestwa Kongresowego.

Nie zagłębiając się zanadto w meandry historii warszawskiego przemysłu fortepianowego, mimo rozmaitych zawirowań gospodarczych aż do powstania

styczniowego można dostrzec jego konsekwentny rozwój – ilościowy i jakościowy. Pierwsze fortepiany pojawiły się na ziemiach polskich najpewniej już ok. połowy XVIII w. Skromne zapotrzebowanie arystokratycznych odbiorców na instrumenty pokrywali wówczas nieliczni budowniczości, a luki w produkcji uzupełniano importem zagranicznym.

Pierwszym odnotowanym w źródłach fortepianem skonstruowanym w Warszawie był instrument wytworzony dla hetmana Wacława Rzewuskiego przez organmistrza Pawła Ernsta Rückerta w 1756 r. Związane z upadkiem Rzeczypospolitej załamanie struktur dworskiego mecenatu zmusiło fortepianowych rzemieślników do poszukiwania szczęścia w miastach. Swoje usługi w zakresie sprzedaży i naprawy instrumentów oferowali w drugiej połowie XVIII w. m.in.: niejaki Hartwich, rodzina Wierzbowskich, Johann Christian Haas czy Franciszek Nowacki. W pierwszym piętnastoleciu XIX w. do grona warszawskich wytwórców dołączyli m.in.: Jan Szablowski, Józef Weinperner, Franciszek Jäger i związany później z Wilnem – Wilhelm Jansen. Po kongresie wiedeńskim nastąpił dłuższy okres względnej stabilizacji politycznej, sprzyjający powolnemu wzmocnieniu gospodarki. Nic więc dziwnego, że Warszawa dość szybko stała się centralnym ośrodkiem produkcji fortepianów na ziemiach polskich, który próbował sprostać dynamicznie rosnącemu popytowi na coraz bardziej modne instrumenty.

Na tle stale poszerzającego się grona warszawskich wytwórców przed powstaniem listopadowym szczególnie wyróżniało się dwóch: Antoni Leszczyński oraz Fryderyk Buchholtz. Instrumenty obu rzemieślników cieszyły się pochlebnymi opiniami warszawskiej klienteli i pokaupem – także poza stolicą. Obaj zdobywali nagrody

na wystawach przemysłu krajowego. Wprawdzie brzmienie fortepianów Leszczyńskiego dość krytycznie oceniał młody Chopin – w liście do przyjaciela obcesowo wspominał o „Leszczyńskiego nędznych instrumentach” – jednak niekwestionowane walory estetyczne wytworów jego manufaktury przysporzyły mu wielu oddanych klientów. Chopin cenił natomiast wysoko wyroby drugiego ze wspomnianych warszawskich rzemieślników, Fryderyka Buchholtza. W jego warsztacie młody wirtuoz chętnie odbywał próby. To właśnie na własnym fortepianie produkcji Buchholtza Chopin wykonał swój pierwszy publiczny koncert w Warszawie, 18 marca 1830 r. Recenzenci tego wydarzenia uznali, że ów fortepian nie sprostął wymaganiom sali koncertowej, chociaż przyczyną miała być raczej delikatna gra genialnego pianisty niż defekt instrumentu. To właśnie ten instrument przedstawiony został na akwareli Antoniego Kolberga z 1832 r. (później zaginionej), przedstawiającej salon Chopinów. I znowu: najprawdopodobniej właśnie ten pochodzący z warsztatu Buchholtza fortepian „sięgnął bruku” Krakowskiego Przedmieścia w ramach represji po zamachu na Fiodora Berga we wrześniu 1863 r. Obraz jego performatywnej destrukcji wszyscy doskonale znamy z Norwidowskiego poematu *Fortepian Szopena*. Chyba zgodzą się Państwo, że to jedna z bardziej wyraźnych klisz naszej pamięci społecznej – a przecież jest to klisza fortepianowa, i jakże warszawska!

Większość stołecznych manufaktur fortepianowych miała charakter rodzinny, co typowe dla organizacji produkcji w 1. poł. XIX w. Rodziny warszawskich wytwórców przez wzgląd na rzemieślniczy kunszt i społeczną aktywność należały do szczególnie poważanej kategorii obywateli. W rodzinnych warsztatach z pokolenia na pokolenie przekazywane były rzemieślnicze sekrety, zaś kolejni potomkowie zapewniali ciągłość przepływu produkcji i myśli technologicznej. Warto nadmienić, że także współcześnie wiodące marki fortepianowe albo mają bogate tradycje rodzinne (np. Steinway & Sons, Yamaha), albo wciąż prowadzone są przez muzyczne rodziny (Fazioli, Kawai). Odwieczną bolączką rodzinnych przedsiębiorstw fortepianowych był brak męskich spadkobierców, który zagrażał ciągłości funkcjonowania danego zakładu. Taka właśnie sytuacja była udziałem Buchholtzów. Żona zmarłego w 1837 r. Fryderyka, Emilia, zapewniała czytelników „Kuriera Warszawskiego”, że mimo braku pełnoletniego męskiego potomka rodu zakład „[...] bez żadnej przerwy czynnym zostaje i wszelkie zamówienia wykonywa z taką jak dawniej dokładnością i pośpiechem”. Rękojmnią działalności firmy miał być zapas materiałów „na kilkanaście lat”, a także ciągłość zatrudnienia wykwalifikowanych rzemieślników. Niestety – mimo starań Emilii i syna Buchholtzów, Juliana (ten osiągnął pełnoletniość w 1838 r.), fabryka upadła w 1846 r., a dalszą produkcję

Salon w warszawskim mieszkaniu Chopinów, reprodukcja szkicu/akwareli Antoniego Kolberga, 1832 r., zbiory Muzeum Fryderyka Chopina w Warszawie



w jej miejscu zorganizował pod swoim szyldem inny znany i ceniony warszawski fortepianmistrz, Tomasz Max. Nie była to w Warszawie sytuacja odosobniona.

Istotną rolę w rozwoju warszawskiego przemysłu fortepianowego przed powstaniem listopadowym odegrała Maria Szymanowska – bodaj pierwsza wirtuozka fortepianu w europejskiej historii muzyki. Podczas warszawskich występów w 1827 r. korzystała z londyńskiego instrumentu Johna Broadwooda. Zgodnie z literą ówczesnego prawa za przywóz zagranicznego fortepianu artystka powinna była opłacić sowite cło. Z daniny została jednak przez ówczesne władze zwolniona – w zamian za udostępnienie muzycznego obiektu do wglądu warszawskich konstruktorów. Ci skwapliwie z okazji skorzystali, implementując w kolejnych latach patenty wiodącej prym w Europie wytworni Broadwooda do własnych konstrukcji.

W ramach represji po powstaniu listopadowym zamknięto w Warszawie wiodące instytucje kształcenia muzycznego – amatorom fortepianu pozostawały aż do 1861 r. (inauguracja Warszawskiego Instytutu Muzycznego) jedynie prywatne lekcje gry lub podręczniki do pianistycznego samokształcenia. Strukturalny kryzys nie zahamował jednak popularności fortepianu wśród warszawskiej społeczności, która objawiała się stale rosnącym popytem na instrumenty. W okresie międzypowstaniowym działało kilkanaście stołecznych wytwórni fortepianów. Spora część uznanych fortepianowych rzemieślników Warszawy kształciła się wcześniej w warsztatach Leszczyńskiego (np. Antoni Krall) czy Buchholtza (np. Jan Kerntopf). Prym przed 1863 r. wiodła w stolicy spółka rzeczonoego Kralla i Józefa Seidlera, zatrudniająca w połowie wieku ok. 50

pracowników, którzy wytwarzali ok. 120 instrumentów rocznie. Fortepiany Kralla i Seidlera określane były na łamach prasy jako „znakomite”, „zalecające się dźwiękiem miłym i mocnym tonem”, „długo strój trzymające”, a na dodatek – o „cenach niższych od zagranicznych”. Znaczące były także zakłady Józefa Budynowicza (zał. 1840) i Antoniego Hofera (zał. 1845). Inne, mniejsze firmy – Stanisława Zembrzuskiego (zał. 1856), Kaspra Zdrodowskiego (zał. 1834), Antoniego Zakrzewskiego (zał. 1837), Maksymiliana Hochhause-ra (zał. 1823), Wilhelma Troschla (zał. 1822), Tomasza Maxa (zał. 1822) i Jana Kerntopfa (zał. 1840) – również aktywnie uczestniczyły w prasowym dyskursie fortepianowym i rynkowej rywalizacji, bez kompleksów zabiegając o względy muzycznych amatorów.

Warszawskie wytwórnie były nieco skromniejsze w porównaniu z wiodącymi centrami fortepianowej produkcji w Europie: zatrudniały mniejsze załogi, produkowały mniej instrumentów, posiadały mniej wyszukane wyposażenie techniczne. Najbardziej zasłużony badacz polskich fortepianów, prof. Benjamin Vogel, podaje w swoich pracach, że w 1849 r. 16 wytwórni fortepianów Królestwa Kongresowego zatrudniało w sumie 97 pracowników, co daje ok. 6 osób na zakład. W ówczesnej Warszawie warsztaty fortepianowe pełniły także rolę centrów innowacji, w których patentowano kolejne wynalazki, placówek ekspozycyjnych, ośrodków bezpośredniej sprzedaży – także innych towarów, jak np. galanteria skórzana, artystyczne wyroby drzewne i metalurgiczne czy obrazy – oraz wreszcie sal prób i lekcji gry na instrumencie. Apogeum stołecznej produkcji fortepianów przed powstaniem styczniowym przypadło na rok 1857, w którym warszawskie manufaktury wyprodukowały 253 instrumenty (z czego prawie połowę stanowiła produkcja spółki Krall & Seidler).

Wobec stale wzmagającego się popytu coraz szerszym strumieniem napływały do Warszawy od lat 40. XIX w. fortepiany zagraniczne. W 1843 r. na łamach stołecznej prasy odbyła się szeroka debata nad konsekwencjami importu niemieckich, francuskich i angielskich instrumentów dla rodzimego wytwórstwa. Zwolennicy importu twierdzili, że warszawskie fortepiany „[...] w większości zagranicznym równać się nie mogą, bo fabrykantom chodzi nie o jakość, lecz zysk”. Takie argumenty budziły zrozumiwały gniew środowiska rodzimych wytwórców, którzy zapewniali, że



Kopia fortepianu Buchholza wykonana przez Paula McNulty'ego, 2018 r.

w ich zakładach pracują specjaliści, którzy uprzednio „zwiedzili cenniejsze fabryki pierwszych miast europejskich”, a w swojej pracy „nie szczędzą kosztów w wprowadzeniu i udoskonaleniu mechanizmu”, wystawiając „fortepiany z materiałów patentowanych zagranicznych, jako też na żądanie z drzewa krajowego”.

Główna faza debaty przypadła na rok 1851. Zainicjował ją opublikowany na łamach „Kuriera Warszawskiego” artykuł, którego autor zdradzał zamiar stworzenia w Warszawie pierwszego składu instrumentów zagranicznych – lokalnego centrum dystrybucji importowanych fortepianów. Tekst wywarł przykre wrażenie nie tylko na fabrykantach, lecz na całej stołecznej społeczności. „Na cóż bowiem zagraniczne fortepiany, skoro miejscowe zupełnie odpowiadają potrzebie i wszelkim wymaganiom sztuki, pod względem dokładności w wykonaniu, trwałości i elegancji? Czyż koniecznie potrzeba

do dobroci instrumentu, aby rodowód jego był wyprowadzony z Wiednia lub innych stolic Europy?” – pytała retorycznie redakcja tego samego czasopisma w kolejnym numerze. Frustracja warszawskich wytwórców była uzasadniona – na krajowych fortepianach Buchholtza, Kerntopfa czy Kralla i Seidlera koncertowali z entuzjazmem czołowi wirtuozowie epoki, jak chociażby Sigismund Thalberg, Theodor Döhler czy sam Ferenc Liszt, który ostatniej z wymienionych firm wystawił nawet osobisty list pochwalny. Zaniepokojeni stołeczni wytwórcy zalecali importerom, aby „zwrócili swe spekulacje i przedsięwzięcia ku innemu celowi, mogącemu przynieść jak najzupełniejsze korzyści materialne, bez tamowania ruchu przemysłowego w przedmiocie wyrobów krajowych, znaczną posiadających już wziętość, nawet zagranicą, aby tym sposobem zyskać zarazem i sympatię powszechności, która nie jest rzeczą zbyt

Fortepian stołowy warsztatu Johanna Adolfa Melleniusa, wyprodukowany ok. 1840 r. w Rydze, zbiory Muzeum Historii Przemysłu w Opatówku



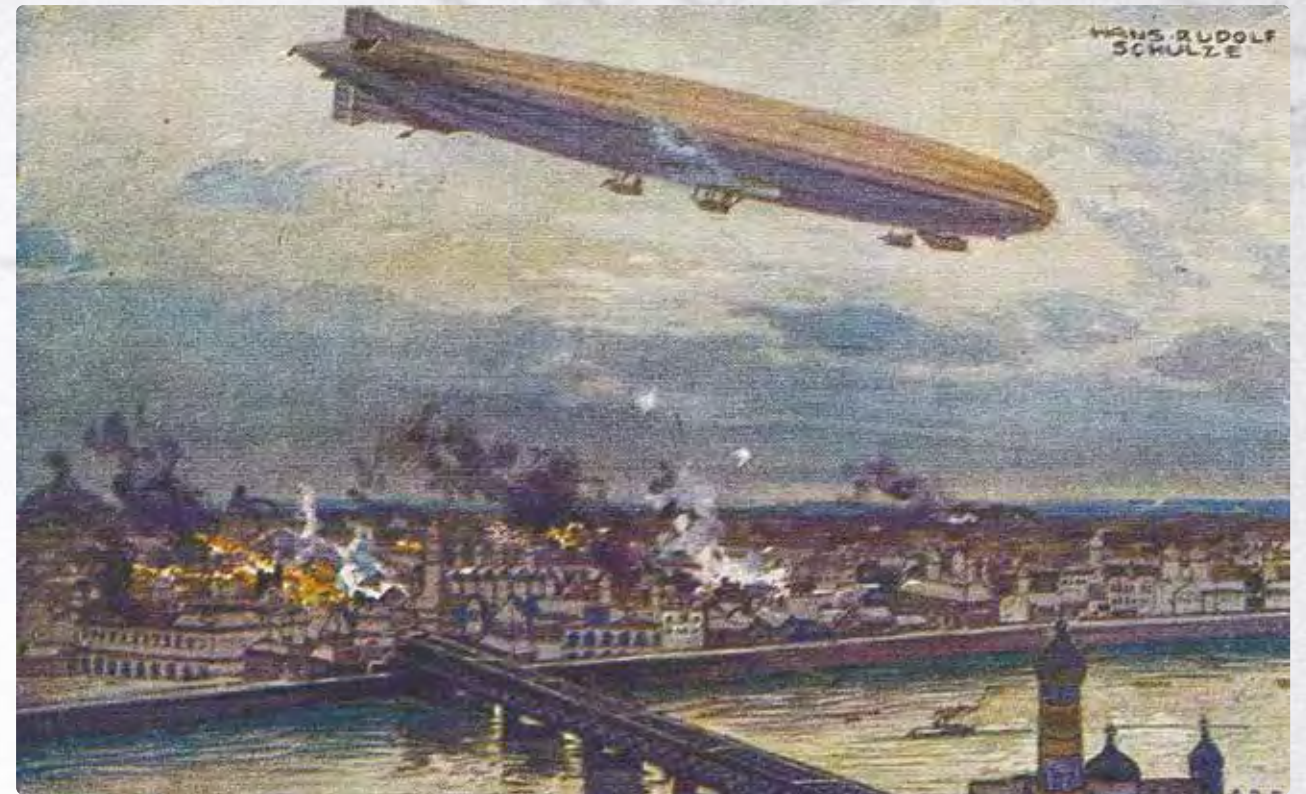
małej wagi”. Właściciele rosnących jak grzyby po deszczu składów instrumentów zagranicznych nie pozostawali dłużni, wytykając na łamach prasy warszawskim fabrykantom ksenofobię. Ripostował im sam Ignacy Feliks Dobrzyński – kolega Chopina ze szkolnej ławy, wybitny kompozytor i wiodący autorytet muzycznej Warszawy 1. poł. XIX w., który traktował otwieranie kolejnych składów fortepianów zagranicznych jako „cios, chociaż nie od razu śmiertelny, wymierzony przeciw naszym fabrykantom, którzy włożywszy znaczne kapitały w swoje zakłady, z sercem pełnym ufności, spodziewali się błogiej przyszłości, nie przewidując nowego współzawodnictwa, które by zatruło ich przedsięwzięcia, trudy i usiłowania”. Dobrzyński – poniekąd słusznie – obawiał się, że „gdyby pociąg do zagranicznych wyrobów w całej sile swojej utrzymał się, jak dotąd po większej części u nas bywało: fabryki nasze zwolna zaczęłyby upadać! A to, co pracą i kosztem było nabyte, runęłoby pod ciężarem zatruwającego losu i nieuleczalnej obczyżno-manii”. Jego argumenty nie powstrzymały rynkowej ekspansji importowanych instrumentów. Pierwsze reklamy składów fortepianów zagranicznych zaczęły pojawiać się w prasie codziennej już w pierwszym kwartale 1852 r. Przypadający na szóstą dekadę stulecia rozkwit dużych niemieckich fabryk fortepianów – Förstera (1859), Blüthnera (1853) i Bechsteina (1853) – sprzyjał tendencjom importowym. Już w 1857 r. „Ruch Muzyczny” alarmował, że jedni warszawscy wytwórcy „podupadli, drudzy się ledwie trzymają”, podczas gdy „składy fortepianów zagranicznych rosły jak grzyby po deszczu”. Wyprodukowanym w Królestwie instrumentom nie sprzyjały recenzje prasowe, coraz śmielej w kolejnych latach przed powstaniem styczniowym gloryfikujące zagraniczne instrumenty. Tymczasem polscy wytwórcy konsekwentnie próbowali eksponować równość (nigdy wyższość!) ich wyrobów w porównaniu z zagranicznymi, jednak już z innych pozycji niż dwie dekady wcześniej.

Co się stało z tymi wszystkimi manufakturami oraz wyprodukowanymi przez nie przed powstaniem styczniowym instrumentami, współcześnie określanymi jako „historyczne”? Po pierwsze, fortepiany źle znoszą starzenie się – postępująca z czasem degradacja materiału zdecydowanie nie służy skomplikowanej mechanice instrumentów, inaczej niż np. w przypadku skrzypiec. W kontekście naszej burzliwej historii niewiele fortepianów sprzed powstania styczniowego zachowało się do naszych czasów w stanie umożliwiającym jakąkolwiek prezentację artystyczną. Po drugie, jeszcze przed powstaniem styczniowym wyłonił się drugi znaczący ośrodek produkcji fortepianów na ziemiach polskich – Kalisz, który z czasem przejął pałeczkę krajowego pierwszeństwa, niezależnie od rosnącego importu instrumentów zagranicznych. Po trzecie, dopóki fortepian pełnił rolę głównego źródła muzyki w przestrzeniach prywatnych,

dopóty przemysł fortepianowy rozkwitał. Sytuacja ta stopniowo zmieniała się wraz z wynalezieniem i udoskonaleniem różnych metod technicznej reprodukcji dźwięku (pianola – gramofon – radio etc.). Ostateczny kres niepodzielnego panowania fortepianu na warszawskich salonach przyniósł wybuch II wojny światowej. Ta smutna historia upadku fortepianowego imperium ma jednak epilog, który oświeśla życzliwym promieniem zachowane po dziś dzień instrumenty historyczne.

W latach 80. ubiegłego stulecia wybitny dyrygent i jeden z inicjatorów ruchu wykonawstwa historycznie świadomego (ang. *Historically Informed Performance* – HIP) Nicolaus Harnoncourt stwierdził w książce *Musik als Klangrede* (*Muzyka mową dźwięków*), że remedium na wielowątkowy kryzys muzycznego świata można upatrywać w świadomych rekonstrukcjach muzyki przeszłości. Dogłębne zrozumienie dawnych języków i dialektów muzycznych przez wykonawców i słuchaczy miało prowadzić do uzdrowienia społecznej komunikacji muzycznej, którą rozmaite choroby toczyły już od czasów Platona. Jedni postrzegali prekursorskie postulaty Harnoncourta sceptycznie, inni – z ogromną nadzieją, przede wszystkim na przywrócenie muzyce sprawczej siły, którą zdawała się wytracać. Obecnie wyrosły m.in. na gruncie pomysłów wybitnego dyrygenta nurt wykonawstwa historycznie świadomego jest na zupełnie innym stadium rozwoju: aura epoki baroku i klasycyzmu jest nam zdecydowanie bliższa niż 40 lat temu. W przypadku muzyki romantycznej sprawa wygląda zgoła inaczej. Coraz śmielsze próby wskrzeszania dźwiękowych krajobrazów 1. poł. XIX w. wciąż bywają torpedowane przez dogmatystów, którzy ówczesne fortepiany uważają za „gorsze” w stosunku do perfekcyjnych instrumentów współczesnych. O tym, że nie zawsze „równiej” czy „głośniej” znaczy w muzyce „lepiej”, mogą się Państwo przekonać, słuchając nagrań na historycznych fortepianach z 1. poł. XIX w. – także warszawskiej produkcji. Są one coraz częściej wydobywane z odmetów historii – tj. z zapomnianych magazynów i piwnic – i pieczołowicie rekonstruowane, np. przez podwarszawską Pracownię Pianin i Fortepianów Andrzeja Włodarczyka. To właśnie instrumenty z kolekcji Andrzeja Włodarczyka usłyszymy już niebawem w kinie podczas seansów filmu *Chopin, Chopin!* (premiera w październiku). Nie tylko warszawskie instrumenty z czasów Chopina dostarczają nam twardych dowodów, że ówczesna aura brzmieniowa – jak pisał Harnoncourt – ma uzdrawiającą moc, do której doświadczenia serdecznie Państwa zachęcam. 🎻

dr Michał Bruliński – pianista, historyk, literaturoznawca, badacz kultury; adiunkt na Wydziale Nauk o Kulturze i Sztuce Uniwersytetu Warszawskiego, wykładowca na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina, badacz społecznej historii fortepianu



Hans Rudolf Schulze, *Niemiecki sterowiec Schütte-Lanz S.L.2 bombardujący Warszawę w 1914 r.*, akwarela, mal. 1915 r.

Przełomowy rok 1915

Jerzy S. Majewski

W sierpniu 1915 r. zakończyło się panowanie Rosjan w Warszawie. Armia rosyjska 110 lat temu, po prawie 100 latach panoszenia się w mieście, wycofała się, ustępując przed nadchodzącymi wojskami niemieckimi

Już rok trwa I wojna światowa. A 1 lipca 1915 r. ruszyła niemiecko-austro-węgierska ofensywa od Podkarpacia po brzegi Bałtyku. W Warszawie „Preludia ewakuacyjne, rozpoczęte jeszcze w czerwcu, z wolna zamieniły się w ewakuację, nie nastrożając już żadnych wątpliwości. Tempo tej ewakuacji co dzień stawało się szybsze, bardziej niepokojące. Miasto od rana do późnej nocy dygotało wzmożonym ruchem” – pisał latem 1915 r. felietonista „Tygodnika Illustrowanego”. Zaczęło się wielkie pakowanie. Zofia Nałkowska notowała 14 lipca: „Opuszczają Warszawę urzędnicy i instytucje. Puste, bardzo długie pociągi wracają w stronę miasta, a później odjeżdżają wyładowane ludźmi i dziwnymi przedmiotami”.

Na przełomie lipca i sierpnia, tuż przed wkroczeniem Niemców do Warszawy, panowała już panika. Powozy,

dorożki, wypełnione dobytkiem furmanki, samochody tworzyły ogromne zatory przed wjazdami na mosty Kierbedzia i tzw. trzeci most (dziś Poniatowskiego). Ewakuowały się nie tylko rosyjskie instytucje państwowe i urzędy, lecz także wyższe uczelnie, cerkwie, liczne fabryki wraz z ich personelem (zabierano wyposażenie), banki, a nawet niektóre szpitale wojskowe. Symboliczne było zamknięcie 27 lipca dwóch księgarni rosyjskich: Karbasnikowa przy Nowym Świecie 69, sprzedającej literaturę rosyjską, oraz Sytyнина przy Krakowskim Przedmieściu 1, specjalizującą się w handlu podręcznikami szkolnymi i innymi wydawnictwami w języku rosyjskim. Nie licząc wojska, społeczność rosyjska w Warszawie liczyła kilkadziesiąt tysięcy cywilów. Ogromna ich część postanowiła uciekać przed Niemcami. Ale wyjeżdżali też Polacy. Zarówno przedstawiciele elit, jak i robotnicy. Perony dworców ➔

zapchane były ładunkami, w dużym stopniu wojskowymi. Ale życie w Warszawie toczyło się zwykłymi torami, choć wokół pojawiało się coraz więcej zwiastunów końca rosyjskiego panowania.

Niemcy coraz bliżej

Cofnijmy się nieco w czasie. Bitwa o Warszawę rozgorzała już jesienią 1914 r. Niemcy od południa dotarli do Pruszkowa i w okolice Piaseczna. Gdy zajęli Grójec, w ręce wpadły im plany wielkiej ofensywy rosyjskiej przygotowywanej przez księcia Mikołaja Mikołajewicza. Złamano też szyfr rosyjski. Jak się okazało, armia carska zamierzała złapać Niemców w pułapkę. „27 Hindenburg nakazał odwrót. Cofali się Niemcy, cofali się Austriacy. Niszczono mosty, linie kolejowe, szosy. Niemcy cofali się w kierunku Śląska, Austriacy ku Krakowowi” – pisał Janusz Pajewski w książce *Pierwsza wojna światowa 1914-1918*. Wojna oddaliła się od Warszawy, by miesiąc później powrócić w rejon Bzury. Latem ruszyła nowa ofensywa wojsk niemieckich i austro-węgierskich, a 17 lipca Rosjanie zaczęli wycofywać się znad linii Bzury. Katastrofalnie brakowało im amunicji. Los Warszawy był przesądzony.

Już 18 lipca Niemcy zajęli Żyrardów. Dzień później oberpolcymajster warszawski Meyer nakazał ewakuację na prawy brzeg Wisły bydła, koni i samochodów. Blisko 20 lipca z Warszawy do Nowomińska (Mińska Mazowieckiego) ewakuowany został personel – wraz ze skarbami i kasami – części prywatnych banków warszawskich. Jednak kasjerzy banków dyskontowych zmuszeni byli do powrotu do Warszawy na żądanie klientów, którzy nie mogli dostać się do swoich kasetek. Na Pragę przeniosły się 23 lipca kasy warszawskiej Izby Skarbowej. Początkowo ulokowały się przy ulicy Żąbkowskiej, w fabryce monopolu spirytusowego (dziś Centrum Praskie Koneser), potem przeniósł się na ulicę Szeroką (ob. Kłopotowskiego). Dzień wcześniej na ulicach miasta rozlepiono ogłoszenia o mobilizacji do wojska członków pospolitego ruszenia.

Samopomoc w zakupach

W tym samym czasie powtórzyło się zjawisko, jakiego doświadczyła Warszawa latem i jesienią 1914 r. Z rynku zniknęły monety, zwłaszcza te najdrobniejsze. „Pomimo wypuszczenia przez warszawski oddział Banku Państwa olbrzymiej ilości drobnych monet obiegowych w ciągu kilku ostatnich tygodni brakowi ich nie zdołano zaradzić” – pisał „Kurier Warszawski”. Z brakiem monet próbowali za to poradzić sobie sami ludzie. Cukiernie i niektóre sklepy wydawały resztę w postaci kwitów bądź biletów tramwajowych. Niektórzy nabywali całe książeczki tych biletów, traktując je jako środek płatniczy. Innym przykładem samopomocy były drobne „spółki nabywcze”, złożone z kręgu znajomych lub sąsiadów. Spółka taka nabywała np. cukier lub mąkę za rubla, po czym dzielono się i rozpisywano rachunki pomiędzy sobą.



Prawdopodobnie grupa żydowskich uchodźców, w centrum kadru austro-węgierski żołnierz, fot. wykonana zapewne w l. 1914-18

Front ponownie zbliżający się na przedpola Warszawy sprawił, że ludzie dość masowo rezygnowali z wyjazdów na letniska. Wielu innych wracało do miasta. Około 21 lipca Warszawę zelektryzowała wiadomość, że na wschód ma zostać ewakuowana z Warszawy straż pożarna. W mocno ocenzonej, pełnym białych plam „Kurierze Warszawskim” władze dementowały informację, przekonując, że to nieprawdziwe plotki. A jednak strażaków faktycznie ewakuowano. Pozostało jedynie pięć oddziałów, w których znajdowało się od 20 do 30 ludzi świeżo zrekrutowanych z weteranów straży i ochotników. Jedynie w trzecim oddziale na Nowym Świecie ulokowali się doświadczeni strażacy ewakuowani z Żyrardowa. Dopiero 27 lipca Komitet Obywatelski przejął straż ogniową i uzupełnił jej stany. Pośród wcześniejszych pracowników straży pozostały raptem 82 osoby.

Koleje przestają kursować

22 lipca z Warszawy do Piotrogradu (ówczesna nazwa Petersburga) przeniósł się zarząd Kolei Fabryczno-Łódzkiej, który dotąd miał swoje biura w Warszawie. Nadal kursowały pociągi lokalne drogą żelazną nadwiślańską przez Otwock do Pilawy oraz Koleją Warszawsko-Terespolską do Nowomińska. Za to coraz mniej pociągów osobowych jeździło w kierunku Pruszkowa. Zastąpiły je transporty wojskowe. Z drugiej strony w kierunku Pruszkowa przybliżała się armia niemiecka. Rosjanie zaprowadzili w tym mieście zaciemnienie i godzinę policyjną od 9 wieczorem. Niebawem, 23 lipca, władze wojskowe

nakazały mieszkańcom Pruszkowa oddanie wszelkich wyrobów z mosiądzu, cynku i miedzi. Nakazano też dostarczenie wykonanych z tych materiałów maszyn fabrycznych. Wreszcie kazano zdjąć dzwony kościelne. Wydaje się, że Rosjanie nie zamierzali ich przetapiać, lecz uniemożliwić ich przejęcie przez Niemców. Na terenach zagrożonych działaniami wojennymi zapowiedziano też rekwizycje bawełny, lnu i wszelkich worków. Nieco wcześniej, 22 lipca, władze nakazały wybicie na terenie Pruszkowa wszystkich gołębi hodowlanych.

26 lipca wypłacono pensje całemu personelowi warszawskich wąskotorowych kolejek podjazdowych i niemal wszystkich zwolniono. Część personelu ewakuowano na wschód. Pociągi osobowe przestały jeździć. Przy okazji zamknięty został sklep spożywczy kolejek podjazdowych Dobrobyt przy dworcu kolejki grójeckiej za rogatkami mokotowskimi. Dzień później bardzo nieregularnie kursowała już także kolej nadwiślańska do Wawra i Otwocka. Wiele osób z Warszawy do Wawra, a nawet dalej w kierunku Świdra i Otwocka szło piechotą. Jedynie kolej konna z Wawra do Wiązowny kursowała regularnie do Miłosny, choć ostatni wagon odchodził z Wawra już nie o godz. 22, lecz 20. Nadal jeździły transporty wojskowe. Jeszcze 27 lipca wojsko podstawiło do Warszawy wagony, którymi do Moskwy wywiezione zostały stąd zapasy bawełny przetrzymywane w magazynach należących do przemysłowców łódzkich. Kiedy przestały kursować kolejki podjazdowe, na południu i zachodzie Warszawy nocą zaczęły być widoczne łuny pożarów.

Ofiary aeroplanów

W drugiej połowie lipca nad Warszawą zaczęły pojawiać się pojedyncze samoloty niemieckie. Piloci przez burtę zrzucali niewielkie bomby. Trudno powiedzieć, jakie szkody czyniły one wojsku rosyjskiemu. Ocenzuowana prasa podawała jedynie nazwiska ofiar cywilnych. I tak, 22 lipca ok. godz. 20 pilot niemieckiego samolotu zrzucił na miasto trzy bomby. Odłamki wybuchów zraniły w głowę 43-letnią Helenę Suroczyńską i w nogę jej 10-letnią córkę Lidkę. A już 23 lipca na skutek eksplozji bomb straciło życie kilka osób, kilka innych uległo ranom. Pośród zabitych znalazł się Ludwik Hartman, współwłaściciel fabryki Borman i Szwede, oraz zatrudniona w biurze zakładu 20-letnia Maria Kolumna-Wylazłowska. Z kolei 24 czerwca inny niemiecki samolot pojawił się na Warszawą o godz. 4.30 rano i zrzucił pięć bomb. Jedna z nich spadła na dach dwupiętrowej kamienicy (cenzura w gazecie zatarła adres), przebiła dach i – wybuchając na poddaszu – spowodowała pożar, który ugasili mieszkańcy. Kolejna z bomb wpadła do ogrodu, niszcząc oranżerię. Naloty, które skutkowały kolejnymi ofiarami, powtarzały się w następnych dniach. Tragiczny w skutkach był ten z 30 lipca, kiedy ok. godz. 18 na niebie pojawiło się kilka samolotów – zrzuciły one kilkanaście bomb. Zginęło osiem osób, kilkanaście odniosło rany. Cenzura skrupulatnie usunęła z gazet adresy domów, na które spadły bomby.

Pod koniec lipca „Kurier Warszawski” przekonywał, że publiczność warszawska już się z bombami nieprzyjacielskimi oswoiła i „podczas ogłuszającego huku wybuchów

z zimną krwią obserwuje ruchy aeroplanów, gromadząc się tłumnie na ulicach, wystając w oknach i na balkonach. Odważniejsi wchodzą nawet na dachy domów. Z kolei oficjalny rosyjski „Warszawskij Dniownik” radził, aby w ciągu dnia otwierać bądź demontować okna tak, by podmuch na skutek wybuchu bomby nie rozbił szyby.

Wozy z uchodźcami

Wraz z przybliżaniem się wojsk niemieckich do Warszawy – i to od kilku stron – do Warszawy z okolic wiejskich zjeżdżały rzesze uchodźców. Wielu z nich zostało wypędzonych z domów przez wojsko rosyjskie, cofające się i stosujące taktykę spalonej ziemi. Przykładowo, 20 lipca na Pragę dotarli włościanie uciekający z powiatu płońskiego. Chyba nie stanowili wielkiej masy, skoro kuchnia Komitetu Obywatelskiego przygotowywała dla nich jedynie 200 obiadów dziennie. Komitet organizował pomoc dla uchodźców.

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Wielu koczowało w lasach w rejonie Jabłonny. „Pośród dzieci szerzy się gwałtowna śmiertelność. Codziennie umiera po kilkoro niemowląt z przeziębień lub braku mleka. W obozowiskach leśnych również starsi coraz częściej zapadają na zdrowiu” – pisał „Kurier Warszawski”. Uciekinierzy z Jabłonna kierowani byli dalej, do powiatów radzyńskiego, nowomińskiego, radzyńskiego i sokołowskiego. Innym razem czytamy w „Kurierze” o uchodźcach, którzy przedostali się z lewego na prawy brzeg Wisły i obozowali na polach obok szos: „Bezdomni urządzili sobie na wozach osłony z płótna, na których śpią z dziećmi. Ogniska rozpalają w pobliżu wozu. Wodę czerpią z pobliskiej rzeczki”.

Dla Komitetu Obywatelskiego pomoc żywnościowa dla ewakuowanej ludności stanowiła w ostatnich dniach lipca priorytet. Do bliższych i dalszych miejscowości podwarszawskich wysyłano „oddziały sanitarno-żywnościowe”. I tak, w Borzęcinie wydawały one codziennie ok. 600 porcji zupy oraz herbatę. Własną kuchnię polową komitet założył w Zaborowie, w dobrach hr. Łosia w Pawłowicach oraz w Jabłonninie. Inne oddziały docierały dalej, aż do Węgrowa i Sokołowa.

Tutaj przypomnijmy, że Komitet Obywatelski został powołany już w chwili wybuchu I wojny światowej z inicjatywy warszawskich działaczy Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego i Stronnictwa Polityki Realnej. Już 3 sierpnia 1914 r. zatwierdził go ówczesny rosyjski generał-gubernator Jakow Żyliński. W 15-osobowym składzie znaleźli się m.in. przyszli prezydenci Warszawy Piotr Drzewiecki i książę Zdzisław Lubomirski. Początkowo wśród zadań komitetu znalazły się sprawy aprowizacji Warszawy i rozdziału artykułów pierwszej potrzeby, zapewnienie bezpieczeństwa publicznego w granicach miasta, pomoc rodzinom zmobilizowanych do wojska, a także pomoc w uzyskaniu pracy dla ludności pozbawionej środków do życia. Blisko rok po wybuchu wojny,

wiosną 1914 r., siatka punktów oraz rozmaitych instytucji prowadzonych przez Komitety Obywatelskie Warszawy pokrywała niemal całe miasto. Szybkość, z jaką powstawały komitety, masowość, z jaką do nich wstępowano, aktywność, z jaką działały u schyłku pierwszego roku wojny, niezależnie od instytucji miejskich czy zaborczych władz państwowych, zdają się przekonywać, iż już wtedy w Warszawie ukształtowane było społeczeństwo obywatelskie. Krystalizowało się ono od krwawych dni rewolucji 1905 r. Zdobyczą rewolucji w Królestwie Polskim była zgoda władz rosyjskich na samoorganizowanie się obywateli poprzez zakładanie stowarzyszeń oraz prywatne, średnie szkolnictwo z językiem polskim jako wykładowym. W skali całego Imperium było to utworzenie rosyjskiego parlamentu i Dumy Państwowej, do której rozpisano wybory. Już wtedy działacze polscy zdali egzamin. Na 478 posłów z całego Imperium do Pierwszej Dumy weszło aż 54 posłów polskich! W 1915 r. miało się okazać, że pomimo znacznej ewakuacji na wschód w Warszawie pozostały elity potrafiące budować przyszłość ponad podziałami politycznymi. To dzięki istnieniu społeczeństwa obywatelskiego i zdyscyplinowaniu Komitetów Obywatelskich latem 1915 r. po opuszczeniu miasta przez władze i wojsko rosyjskie, a jeszcze przed zajęciem go przez Niemców nie doszło do aktów anarchii. Z kolei pod okupacją niemiecką już po rozwiązaniu Komitetów w sposób pragmatyczny udało się wykorzystać sytuację, jaka wówczas się wytworzyła.

Do Warszawy przybywali też uchodźcy z bliższych okolic. Wraz z nimi do miasta spędzano setki, jeśli nie tysiące krów i koni. Właściciele majątków i niektórzy włościanie płacili za możliwość trzymania koni na podwórkach na krańcach miasta.

Nie wszystkich jednak było na to stać. W lipcu, dopóki w Warszawie jeszcze w miarę sprawnie działały rosyjskie władze wojskowe, środkiem zaradczym miał być interwencyjny zakup krów w cenie 6 rubli 50 kopiejek za pud żywej wagi. Cena była dobra. Jednak sprzedaż ta miała odbywać się nie w Warszawie, lecz w Nowomińsku. Stąd trakt brzeski w ostatnich dniach lipca wypełnił się setkami krów pędzonych przez włościan. Blokowały drogę tysiącom podążającym na wschód i wozom ewakuacyjnym.

Inni usiłowali uzyskać odszkodowania za zniszczone zasiewy. Armia rosyjska, konfiskując je lub kładąc je spalić, wydawała chłopom kwity. Ich realizacja okazała się niełatwa. Tłum desperatów obozował pod gołym niebem przed budującym się gmachem Towarzystw Spółdzielczych przy Jasnej, oczekując wypłat odszkodowań za zniszczone zasiewy. W uzyskaniu ich usiłowali pomóc im działacze Komitetu Obywatelskiego i różnych instytucji obywatelskich. „Wczorajsza słota dała się im odczuć dotkliwie, gdyż oczekiwanie często bezskuteczne trwa cały dzień” – donosił „Kurier Warszawski” z 29 lipca 1915 r.



Prawdopodobnie uchodźcy z czasów I wojny światowej

Komitet walczy ze spekulacją

Już w ostatnich tygodniach lipca niebotycznie rosły w sklepach ceny cukru, mąki, chleba, masła, herbaty i innych artykułów spożywczych pierwszej potrzeby. W prasie oskarżano hurtowników i właścicieli sklepów o spekulację. Ci bronili się, przekonując, że ceny masła wzrosły na skutek rekwizycji dokonywanych przez wojsko oraz zajęcia przez Niemców znacznych obszarów, z których dowożone było mleko. Prawda zapewne leżała pośrodku. Sytuacja stawała się jednak coraz dotkliwsza. Przed piekarniami ustawiały się wielkie kolejki, a w niejednej chleb sprzedawany jako dwufuntowy miał wagę 1,5 funta. Brakowało tańszego chleba pytlowego. Zamiast niego sprzedawano droższy chleb razowy i różne rodzaje chlebów wiejskich.

Do walki z „orgią spekulacyjną” włączył się Komitet Obywatelski. Już 1 sierpnia sekcja żywnościowa Komitetu opracowała memoriał. Zawierał on prośbę o pozwolenie na dokonanie przymusowej rekwizycji artykułów pierwszej potrzeby w składach prywatnych. Memoriał władzom wojskowym złożyli członkowie komitetu hr. Plater i hr. Sobański. Duplikat złożyli też na ręce prezydenta Warszawy Aleksandra Millera, który obiecał memoriał poprzeć. Trudno stwierdzić, czy tak się stało. Władze wojskowe wyraziły za to zgodę na przekazanie miastu mąki razowej pod warunkiem, że nie stanie się ona bezpośrednio do rąk ludności i nie stanie przedmiotem spekulacji. Tymczasem 26 lipca ukazało się wezwanie Komitetu Obywatelskiego do formowania

polskiej Straży Obywatelskiej. Jej centrala ulokowała się przy ul. Królewskiej 10 w biurze Kazimierza Popowicza. Komendantem z ramienia Komitetu Obywatelskiego był początkowo Stanisław Popowski. Najpierw utworzono 15 biur okręgowych podług dotychczasowego podziału miasta na cyrkule policyjne. Z tego aż 15 biur powstało w lewobrzeżnej Warszawie i tylko dwa na przedmieściu praskim. Jak się szybko okazało, zgłoszenia ochotników do Straży Obywatelskiej były bardzo liczne.

Pocztą zostaje zamknięta

Nadal z warszawskich dworców kolejowych można było wysłać telegram. Telegram do Piotrogradu szedł dwadzieścia trzy dni. W trzeciej dekadzie lipca na skutek problemów z funkcjonowaniem komunikacji telegraficznej wstrzymano realizację czeków z Cesarstwa. Wielu kupców nie mogło ich zrealizować w bankach bez potwierdzenia telegraficznego. Dla niektórych oznaczało to bankructwo.

A 27 lipca w Warszawie praktycznie nie działała już poczta. Czynny był jedynie oddział usytuowany na odludziu w hali fabrycznej przy ul. Gocławskiej 9. Jednak, jak donosił „Kurier Warszawski”, oddział ten „żadnych operacji związanych ze zwykłą działalnością nie uskuteczniał. Listy zwyczajne można wysłać jedynie z dworców kolejowych”. Dzięki prywatnej inicjatywie Wandy Stokowskiej oraz kanoniczki Osiniałowskiej naczelnik oddziału pocztowego na Pradze oddał im do dyspozycji salę w fabryce przy Gocławskiej i tam urządzono sortownię ogromnej masy zalegających listów. Przy segregowaniu

listów pracowało aż 80 osób. Głównie kobiet. Jak informował „Kurier Warszawski”, prezydent miasta Aleksander Miller podarował paniom z magistratu odpowiednią liczbę krzeseł i stołów.

Jedźcie z nami do Rosji!

Tymczasem w prasie ukazywały się ogłoszenia wzywające specjalistów i wykwalifikowanych robotników z Warszawy i Królestwa Polskiego do pracy w fabrykach Moskwy i Piotrogradu. Naczelnik Moskwy szukał specjalistów do pracy w zakładach wodociągowych i kanalizacyjnych, fabrykach amunicji, instrumentów geodezyjnych, szklarskich, chemicznych, wytwórców sztucznych kończyn i guzikarzy. Ale też kamieniarzy zajmujących się szlifowaniem i obróbką kamienia, cukierników czy cieśli. W ogłoszeniu zapewniano o tymczasowym zakwaterowaniu w halach fabrycznych oraz darmowym przejeździe do Moskwy i Piotrogradu na podstawie zaświadczeń wystawianych w cyrkulach. Po roku trwania wojny przetaczającej się przez ziemie Królestwa Polskiego dla wielu specjalistów i zwykłych robotników oferta ta była kusząca.

Wydaje się, że 1 sierpnia 1915 r. znaczna część koszar wojskowych w lewobrzeżnej Warszawie była już opuszczona przez wojsko rosyjskie. Puste budynki, przez nikogo niepilnowane, kusiły różnego rodzaju rabusiów. Znamienna jest notatka prasowa z 1 sierpnia – tego dnia stójkowy zatrzymał dwóch wyrostków wymontowujących szyby z okien koszar pułku połtawskiego u zbiegu Łazienkowskiej i Rozbrat.

Pomimo coraz większego napięcia, oczekiwania czegoś, co miało nadejść, wielkiego exodusu Rosjan, mas wojska, licznych uchodźców, zamykania rosyjskich sklepów, poczty, banków – na ulicach panowało w miarę normalne życie. Jeździły tramwaje, ludzie siedzieli w ogródkach kawiarnianych, poza operą funkcjonowały teatry i kinematografy. W tych ostatnich zobaczyć można było zdjęcia z pól walk.

Tuż przed wejściem Niemców do Warszawy 4 sierpnia w Teatrze Letnim w Ogrodzie Saskim widzowie bawili się przy *Grubych rybach*, Teatr Ludowy przy Oboźnej zapraszał na premierę wodewilu *Robert i Bertrand*, Teatr Ludowy przy Karowej wystawiał komedię *Adwokat bez klientów*. W Teatrze Polskim, prowadzonym teraz bez dyrektora Arnolda Szyfmana, który został ewakuowany na wschód, grano komedię salonową Andrzeja Picarda *Fałszywy krok*, z kolei w Nowościach, także już pozbawionych największej gwiazdy, którą była Lucyna Messal (w czasie wojny występowała w Rosji), zabrzmiały *Dzwony kornewilskie* Planquette’a.

Władza w ręku księcia Lubomirskiego

Również 4 sierpnia władze rosyjskie ostatecznie opuściły Warszawę. W ratuszu ostatni rosyjski prezydent Warszawy Aleksander Miller przekazał władzę w magistracie Komisji Obywatelskiej i księciu Zdzisławowi Lubomirskiemu.

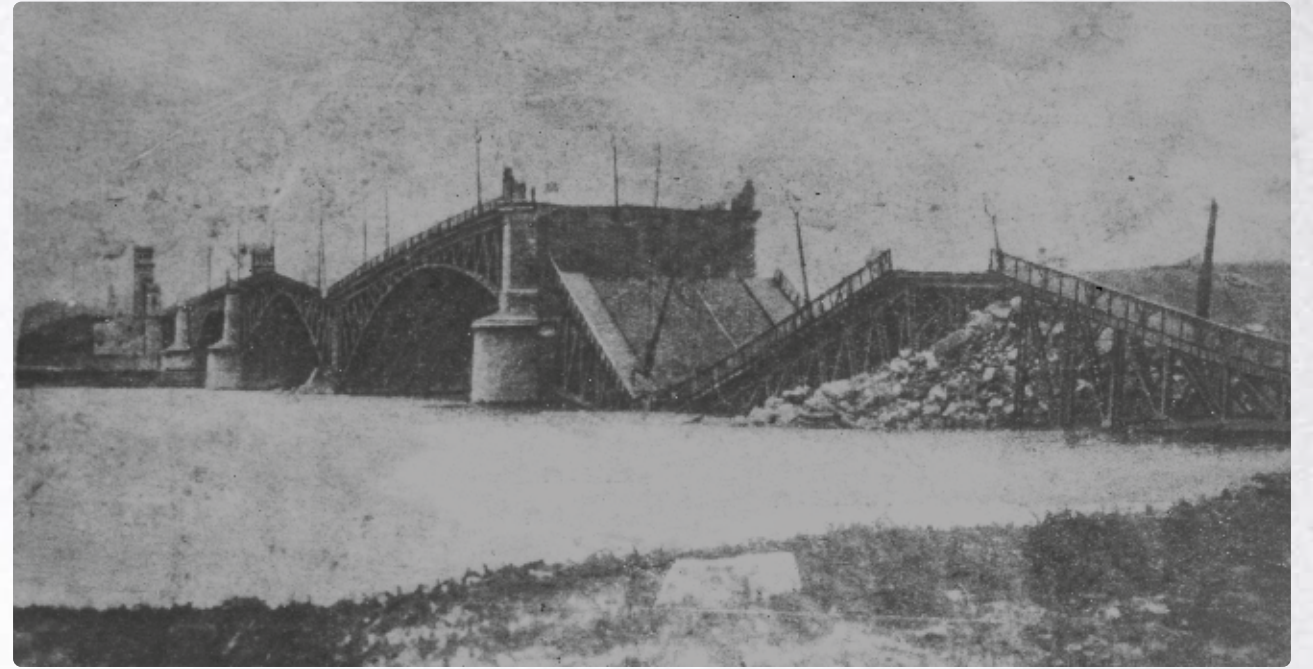
Chwilę później wsiadł do samochodu i wraz z ostatnimi rosyjskimi urzędnikami magistratu przekroczył most. Ruszył w kierunku Brześcia. Przy okazji zabrał pieniądze z kasy miejskiej. Trudno powiedzieć, czy miał nadzieję na szybki powrót. Pewnie tak. Dodajmy, że dzień wcześniej, 3 sierpnia, prezes rosyjskiej Rady Ministrów Mikołaj Golicyn wydał w Petersburgu oświadczenie o „prawie do swobody urządzania swego życia narodowego, kulturalnego i gospodarczego, na zasadzie autonomii pod berłem monarchów rosyjskich”.

Tymczasem Komitet Obywatelski i książę Lubomirski po przejęciu władzy musieli pilnować, aby w mieście opuszczanym przez wojsko i władze rosyjskie nie doszło do anarchii. Porządku pilnowała Straż Obywatelska, do której weszło wielu przedstawicieli elit gospodarczych i intelektualnych miasta. Wkrótce rosyjscy saperzy zatrzymali ruch tramwajów przez mosty na Pragę. Na przyczółkach tworzyły się zatory. Piesi byli jednak przepuszczani mostami do godz. 24. Kto nie zdążył powrócić na swój brzeg, został na drugim brzegu uwięziony na wiele dni.

Mosty wylatują w powietrze

Pełne napięcia oczekiwanie towarzyszyło wielu warszawiakom nocą z 4 na 5 sierpnia 1915 r. „Nikt chyba nie zmrużył oka. Ostatnie oddziały żandarmerii i policji odmaszerowały na Pragę, w ślad za pośpieszenie cofającymi się wojskami” – relacjonowała Jadwiga Waydel Dmochowska.

O godz. 6 rano 5 sierpnia Warszawę wstrząsnęły następujące po sobie eksplozje. To saperzy rosyjscy wysadzili wszystkie cztery mosty na Wiśle. „Najpierw doszedł do nas potężny, ale głuchy huk. W chwilę później – coś bardziej przerażającego. Jakby huragan, któremu towarzyszył, niby piekielny akompaniament, brzęk setek wylatujących z okien szyb. «Och, już po moim zbiorze porcelany» – powiedział ojciec. To nie porcelana jednak się trzęsła, ale wszystkie szyby, rozbite jakby na setki dłuższych i krótszych nożyków. Te nożyki powcinały się w wiele książek” – wspominał Wiktor Juliusz Gomulicki, który mieszkał wówczas na Mariensztacie tuż przy moście Kierbedzia. Eksplozja zaalarmowała członka Straży Obywatelskiej, wydawcę Jana Gebethnera: „Wybiegłem z paroma kolegami Tamką w dół w kierunku Wisły, aby się przekonać, co się dzieje. Szczęśliwie tylko w paru domach, i to nad samym brzegiem rzeki, wyleciało parę szyb na górnych piętrach [...] Komunikacja z Pragą przestała istnieć; ale co najważniejsze Warszawa była wolna”. Posterunki straży kilkadziesiąt minut później stały już w całej lewobrzeżnej Warszawie. Panował porządek. Żadnych rabunków opuszczonych budynków, napadów na ulicach, strzelaniny. Tej nocy było spokojniej niż w zwykłą warszawską noc w latach pokoju. Wolność trwała krótko, bo za Rosjanami podążała armia niemiecka. Po pertraktacjach z Komitetem Obywatelskim wojsko



Zniszczony w 1915 r. most Poniatowskiego

rosyjskie zrezygnowało z wysadzenia w powietrze stacji filtrów, gazowni, elektrowni. Żołnierze spalili jednak drewniany Dworzec Kowelski, z budynku pozostało osiem murowanych słupów.

Niemcy wkraczają

Gdy w powietrze wylatywały przęsła mostów na Wiśle, od południa i zachodu przez rogatki Mokotowskie, Jerozolimskie i Wolskie do Warszawy wkraczały przednie stráže niemieckiej 9 Armii. Ulice nie były puste. „Tłum wyległ na Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Aleje Jerozolimskie i Ujazdowskie” – wyliczał „Kurier Warszawski”. Sklepy otwarte były już od godz. 6 rano. O godz. 7 na Krakowskim Przedmieściu ujrzano samochód z niemieckimi oficerami krążący od Zamku po Belweder. Tramwaje ruszyły o normalnej godzinie. Ludzie gremialnie wchodzili do kościołów. U Świętego Krzyża nabożeństwa odprawiane były jedno za drugim – i to przy trzech ołtarzach naraz.

O godz. 9 rano na placu Teatralnym przed ratuszem zebrały się niemieckie oddziały piechoty. Przechodniów na plac nie wpuszczała Straż Obywatelska. Trwały rozmowy z Niemcami i członkami Komitetu Obywatelskiego. Pośrednikiem był reprezentujący Niemców ziemianin z poznańskiego hr. Bogdan Hutten-Czapski. Niemiecki komendant wojskowy gen. Reinhard von Scheffer-Boyadel stwierdził w ratuszu, że władzę cywilną w mieście pozostawia w rękach Komitetu Obywatelskiego. Książę Lubomirski mianowany został prezydentem Warszawy. Niemcy brali po kilkunastu zakładników, ale szybko ich wypuszczali. „Co nas uderzyło, to wzorowy porządek na ulicach, który spotyka się wszędzie. Zdawać by się mogło, że w Warszawie weszły do milicji najlepsze żywy

obywatelskie, aby zabezpieczyć godność miasta we wszelkich kierunkach” – pisał kilka dni później pierwszy numer niemieckiej „Warschauer Zeitung”.

Z chwilą wkroczenia Niemców zmobilizowane oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej demonstracyjnie przemaszerowały przez Krakowskie Przedmieście, zajęły Pałac Namiestnikowski (dziś Prezydencki). Nad gmachem po raz pierwszy od 1831 r. zawisł biało-czerwony sztandar. Z okien Pałacu, przed którym wciąż stał pomnik Iwana Paskiewicza, peowiacy śpiewali z okien: „Hej strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały”. Dzień później, 6 sierpnia, maszerowali przez miasto z karabinami na ramieniu i w granatowych maciejówkach, śpiewając „Łączko, łączko zielona”.

Kule zza rzeki

Wszystko to dotyczyło tylko lewobrzeżnej Warszawy. Wycofanie się Rosjan na Pragę nie oznaczało jeszcze całkowitego pozbycia się ich wojsk z miasta. Już zawczasu armia rosyjska przygotowała ufortyfikowane pozycje na prawym brzegu Wisły. Żołnierze ukrywali się m.in. za lekkimi szańcami usypanymi na przyczółku praskim mostu Kierbedzia oraz wzdłuż brzegu. To z nich przez cztery kolejne dni po wkroczeniu Niemców do miasta ostrzeliwali Powiśle i Śródmieście. Żołnierze często strzelali na oślep, a pan Bóg kule nosił. Potwierdza to tak relacja Wacława Poboga opublikowana w grudniu 1915 r. na łamach dodatku do „Kuriera Narodowego”, jak i codzienne notatki prasowe informujące o przypadkowych ofiarach ostrzału. Byli nimi zarówno przechodnie spacerujący Krakowskim Przedmieściem i mijający takie ulice, jak Karowa czy Bednarska, jak też mieszkańcy Powiśla. Ostrzał ten terroryzował mieszkańców miasta, dotychczasowych

poddanych cara, w żaden jednak sposób nie zmieniał położenia wojsk rosyjskich: „Kartaczońce i karabiny ziały okrutnym ogniem przez Wisłę ku Warszawie [...] Domy Powiśla zagrożone [...] Ludność przenosi się do górnego miasta, a maszyny tykoczą i tykoczą. Wypadki postrzelenia mnożą się z olbrzymią szybkością”. Przerazona Zofia Nałkowska notowała, wyglądając nocą przez okno: „Ludność Powiśla ucieka na Nowy Świat, a Praga oświetlona jest luną. Widać to od nas z okna łazienki. O każdej chwili słysząc gęsty stukot karabinowy”. Prasa podawała listy ofiar ostrzału.

Nie wszyscy przerażeni byli ostrzałem. Mieszkańcy Warszawy podchodzili do niego raczej z nonszalancją. „Chwilami odnosiło się wrażenie, że Warszawa nie orientowała się w tem nawet, że była terenem bitwy [...] Widok, jaki we czwartek po południu przedstawiała cukiernia Lourse’a, był chyba jedyny na świecie. Z Karowej sypały się kule [...] a pośrodku w cukierni wolnego miejsca nie można było znaleźć. Na dole wszystkie bilardy były nawet zajęte i trzask kul piramidowych konkurował jak mógł

Bombardowanie Warszawy przez Niemców w 1914 r., niemiecka pocztówka pt. *Walka o Warszawę*



z salwami karabinowymi” – pisał dziennikarz „Tygodnika Ilustrowanego”. Pomimo wkroczenia Niemców, kul świszczących od strony Pragi i czasem kogoś trafiających na ulicy panował normalny ruch. Tramwaje jeździły jak zawsze. Sklepy przy Nowym Świecie, na Marszałkowskiej, Senatorskiej czy Krakowskim Przedmieściu funkcjonowały, jedynie ich wystawy zasłonięte były okiennicami. Za to w dzielnicy żydowskiej, na Nalewkach, Gęsiej, Dzikiej, w piątek przed południem otwarte były jedynie nieliczne sklepy i stragany. Martwa pustka panowała też na Przechodniej czy w Gościnnym Dworze. Tego dnia „Hajnt” zamieszcza odezwę do ludności żydowskiej Warszawy, mającej w większości nastroje prorosyjskie: „Spokój! Oto, co powinno być dewizą każdego poważnego człowieka w takich dniach. Każdy do swej roboty i zajęcia!”.

W dniach rosyjskiego ostrzału zza Wisły ofiar byłoby pewnie znacznie więcej, gdyby nie działalność Straży Obywatelskiej (milicji), która zamykała dla ruchu niebezpieczne miejsca, takie jak odcinki Krakowskiego Przedmieścia, Bednarską, Mariensztat czy dojazd do tzw. trzeciego mostu. Milicjanci w biało-amarantowych opaskach, którzy zastąpili rosyjskich stójkowych, budzili ciekawość przechodniów.

Chaos na Pradze

Nocą ponad Pragę widać było łuny pożarów. Przygotowując się do wycofania, Rosjanie podpalili dworce Piotrogradzki (dawny Petersburski) i duży, drewniany budynek dworca Praga. Nieco dalej na północ podłożyli ogień pod magazyny na Pelcowiznie oraz składy desek na Szmulkach. Dewastowane były fabryki Wulkan i Labor. Na warszawskim przedmieściu po prawej stronie Wisły brakowało elit. Mieszkańcy byli narażeni na rabunki i wymuszenia. Panowała atmosfera schyłkowości. Rosjanie wiedzieli, że będą musieli ustąpić. „Beżład i dezorganizacja nie pozwoliły Rosjanom rozgrabić wszystkiego, co zagrabić było można” – pisał Wacław Pobóg. Nie dodawał jednak, że równie groźne były bandy miejscowych. Po trzech dniach napór na Rosjan sprawił, że cofnęli się za rogatki Grochowskie. Jednym z ostatnich aktów walki o Pragę była strzelanina na Saskiej Kępie, będącej wówczas słabo zaludnioną wsią, a także w rejonie ówczesnej wsi Zeżno. „W Miłośnie, Kaczym Dole, Zielenku, Kawęczynie ludność przed umykającymi wojskami rosyjskimi rozbiegła się na wszystkie strony, wiedząc z góry, że «przyjaciele» gotowi ich w każdej chwili ograbić ze wszystkiego, a w dodatku samych pognać przed sobą het na wschód, na nędzę i tułaczkę” – wspominał Pobóg.

W piątek wieczorem od strony łąk na Grochowie nad Warszawę nadleciały rosyjskie „aeroplany”. Warszawa przeżyła kolejny już w tej wojnie nalot. Bomby zrzucone ręcznie z samolotów spadały na domy mieszkalne przy Wilczej i na Starym Mieście. Najtragiczniejsza była eksplozja przy Wąskim Dunaju 11 i 13. Domy zostały tak bardzo uszkodzone, że trzeba było rozebrać część ich ścian. Byli

ranni, trzy kobiety zginęły. Ciało jednej z nich wydobyto dopiero po kilku dniach. Rosyjski samolot pojawił się nad Warszawą jeszcze 11 sierpnia. Pilot zrzucił bombę na dom przy ul. Ptasiej 4. Wybuchła na podwórzu, a rozbite szyby pokaleczyły trzy osoby.

Na lewym brzegu Wisły zaraz po wkroczeniu do miasta Niemcy wprowadzili godzinę policyjną. Początkowo trwała od godz. 21, jednak Straż Obywatelska cieszyła się takim respektem, że już kilka dni później początek godziny policyjnej został przesunięty na godz. 24. Teatry, które zamknęto 5 sierpnia, po kilku dniach wznowiły wieczorne przedstawienia. W obiegu obok rubli pojawiły się niemieckie marki i korony austriackie. Kurs był rynkowy: 60 kopiejek do jednej marki.

Wizyta u Fukiera

„Nie miałam odwagi wyjść na miasto: zgrozą przejmowała mnie myśl zobaczenia mundurów niemieckich na ulicach Warszawy. Dopiero po południu 5 sierpnia zdecydowałyśmy się z moją siostrą opuścić mieszkanie” – wspominała Jadwiga Waydel-Dmochowska. Żołnierze niemieccy nie byli jednak tacy groźni, jak obawiała się Warszawa. Mundury oficerskie błyszczały, ale po zwykłych żołnierzach widać było zmęczenie, frontowe przeżycia i wygłodzenie. W Warszawie żołnierze ci dosłownie rzucali się na cukiernie.

„Dopytują się wszędzie o piwo, a nie mogą go nigdzie znaleźć, odbijają się na ciastkach, które pochłaniają masami, wypisując jednocześnie pocztówki wysyłane do Niemiec jako «Grüss aus Warschau»” – notował Stanisław Dzierzbicki. Opisywał niemieckich żołnierzy jako wychudzonych i brudnych. Pocztówki w tym czasie cieszyły się zresztą ogromnym powodzeniem. Pozdrowienia z Warszawy chciał wysłać chyba każdy niemiecki żołnierz.

A 9 sierpnia, po tym, jak Rosjanie wycofali się na wschód, do Warszawy oficjalnie wkroczył dowódca niemieckiej 9 Armii książę Leopold Bawarski. „Miasto zachowało pełną godności rezerwę” – przekonywała Waydel-Dmochowska. Prasa pisała, że książę i król Bawarii są potomkami króla Jana III Sobieskiego. Bawarczyzy chętnie to podtrzymywali. Książę odwiedził na Rynku Starego Miasta słynną warszawską winiarnię Fukierów. Złożył wpis do książki pamiątkowej. Potem jego śladem podczas pobytu w Warszawie podążył król Bawarii Ludwik. „Król bardzo interesował się zgromadzoną



Budynek w Warszawie zniszczony przez rosyjską bombę lotniczą, 1915 r.

w kamienicy kolekcją sztychów i rycin przedstawiających Warszawę” – wspominał Jan Fukier. W alkierzyku król skosztował tokaju z XVII-wiecznego kieliszka ze szkła czeskiego. Etykieta nie przewidywała poczęstunku dla świty. „Jako gospodarz nalałem dwa kieliszki – dla siebie i dla jego królewskiej mości, po czym z nalanego na pełno kieliszka wypilem pierwszy łyk – dopiero później spróbował król” – czytamy. Nad sklepami zalepiane były pierwsze szyldy z napisami po rosyjsku.

Niecały miesiąc od ucieczki Rosjan i wkroczenia armii niemieckiej do Warszawy powróciła z lotniska, wozem suto zapchanym żywnością, Janina Gajewska. Była ona autorką jednego z ciekawszych dzienników spisanych w Warszawie z czasów I wojny światowej. Przez

Wisłę przepłynęła się mostem pontonowym, zbudowanym przez saperów niemieckich. Tak opisywała miasto 5 września 1915 r.: „Warszawa jest na ogół dość smutna i przygnębiona. Przede wszystkim dlatego, że jest głodna. Ceny produktów żywnościowych dochodzą do niebywałej wysokości, a najgorzej jest z chlebem. Przed piekarniami wystają codziennie sznury ludzi, długie na pół wiorsty, a przy sklepach Komitetu Obywatelskiego jest wprost czarno. Poza tym w naszym grodzie zaszły zmiany, na które z podziwem patrzą nasze biedne oczy. Oto na środku ulicy, zamiast odwiecznego rewirowego, stoi elegancki, młody człowiek ze Straży Obywatelskiej z białą-czerwoną opaską i wcale nie gorzej, a znacznie sympatyczniej pełni swoje obowiązki. Oto na pałacu w Łazienkach widnieje napis, że jest on własnością Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Oto na gwałt zamałowują i zdejmują «istinne» napisy na sklepowych szyldach, oto w księgarniach na samym wierzchu w oknie leży Wernyhora i Pieśni Narodowe, w teatrze grają *Księdza Marka* i *Konfederatów barskich*, a w *Weselu* kosy zastąpiły wreszcie miejsce dragów. Sądy odbywają się po polsku. Kursują marki i ruble, ale marka liczy się aż za 60 kopiejek. Prócz tego kursu, prócz złej dostawy żywności, podatku od psów i pianin i coraz to nowych ogłoszeń rozlepianych po słupach innych nieprzyjemności dotychczas nie ma, ale nie wiadomo, co przyszłość przyniesie” – czytamy. Przyszłość poza ponadtrzyletnią udręką niemieckiej okupacji miała przynieść stopniową odbudowę instytucji państwa polskiego i jego odrodzenie 11 listopada 1918 r. 



Prawdziwe oblicze literackiego międzywojnia

Piotr Łopuszański

Czytając wspomnienia poetów Skamandra, Antoniego Słonimskiego i Jarosława Iwaszkiewicza, można by wyciągnąć wnioski, że już w 1918 r. skamandryci przejęli „rząd dusz” w poezji, że stale przesiadywali na półpięterku w Ziemiańskiej, a publiczność podsłuchiwała ich anegdoty i bon moty, które potem obiegały całą Warszawę. I że grupa Skamander niepodzielnie władała polską poezją, ogłaszana do 1939 r. w „Skamandrze”, a potem w „Wiadomościach Literackich”. Z tego wszystkiego prawdą jest jedynie to, że w 1918 r. powstała kawiarnia Ziemiańska. Powtarzam: Ziemiańska, a nie: Mała Ziemiańska, jak niektórzy piszą

Ziemiańska mieściła się przy ul. Mazowieckiej 12. Szybko zyskała wierną publiczność, literatów, artystów, którzy przychodzili do lokalu na pół czarnej. Były i inne lokale: Astoria przy Nowym Świecie, gdzie bywał Makuszyński, a naprzeciwko kawiarnia poetów Pod Picadorem. W tym czasie nie było jeszcze skamandrytów, bowiem miesięcznik „Skamander” zaczął wychodzić dopiero w styczniu 1920 r. W dodatku mało kto go czytał. Dość szybko czasopismo zaczęło ukazywać się co drugi miesiąc, a potem jeszcze rzadziej. W 1927 r. wyszedł tylko jeden numer, a rok później redaktor Mieczysław Grydzewski zawiesił wydawanie tytułu.

Również z półpięterkiem w Ziemiańskiej było inaczej. Początkowo młodzi poeci (wtedy jeszcze nazywali się pikadorczykami) siadywali blisko wyjścia do ogródka. Półpięterko pojawiło się dopiero w 1927 r., gdy właściciel rozbudował lokal przy Mazowieckiej. Na antresoli ustawiono kanapę i stół, przy którym siadywali Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Kazimierz

Wierzyński, rzadziej Jarosław Iwaszkiewicz. Dosiadali się Bolesław Wieniawa-Długoszowski, bywała Maria Pawlikowska (jeszcze nie Jasnorzewska), czasem Janina Konarska, narzeczona Wierzyńskiego, która ostatecznie wyszła za Słonimskiego. Poeci stali się wówczas żywą reklamą „Skamandra” i „Wiadomości Literackich”. Mimo to „Skamander” upadł, natomiast „Wiadomości Literackie” trwały. Redaktor Grydzewski przychodził z naręczem nowego numeru tygodnika i prezentował go kolegom. Czas, gdy poeci siadywali razem, był jednak bardzo krótki. Iwaszkiewicz i Lechoń wyjechali na placówki dyplomatyczne. Wierzyński po zdradzie Janiny nie chciał oglądać Antoniego, więc wyjechał z Polski. Przy stoliku widywano Boya, Ferdynanda Goetla, Irenę Krzywicką, a od 1930 r. Jana Parandowskiego.

Ziemiańska nie była jedyną popularną kawiarnią. Modna była Astoria, gdzie chadzał Kornel Makuszyński i gdzie Karol Szymanowski odkrył Zbigniewa Uniłowskiego. W latach 30. modne stały się inne kawiarnie: IPS czy Sztuka i Moda przy Królewskiej, a tuż przed

wybuchem wojny Zodiak przy Traugutta, gdzie miał swój stolik Gombrowicz.

Na początku lat 30. „Wiadomości Literackie” skrzyły mocno w lewo i wówczas Kazimierz Wierzyński założył konkurencyjny tygodnik. Nazywał się „Kultura”. Nie utrzymał się jednak na rynku. Monopol czasopisma Grydzewskiego został przełamany dopiero w 1933 r., kiedy zaczął wychodzić tygodnik „Pion”, a dwa lata później nacjonalistyczne „Prosto z Mostu”, z którym współpracowali m.in. Konstanty Ildefons Gałczyński, Jerzy Waldorff, Bolesław Miciński, Teodor Parnicki, Witold Gombrowicz.

Grydzewski uwielbiał Tuwima, natomiast lekcewał Gałczyńskiego i Leśmiana. Przez blisko 10 lat w „Wiadomościach Literackich” nie wydrukowano ani jednego wiersza tego ostatniego, chociaż Słonimski twierdził co innego. Pierwszy wiersz autora *Łąki* ukazał się dopiero wtedy, gdy Leśmiana powołano do Polskiej Akademii Literatury.

W wielu podręcznikach akademickich i publikacjach poświęconych literaturze dwudziestolecia międzywojennego wiele uwagi poświęcano grupom awangardowym, futurystom i awangardzie krakowskiej, które nie miały wpływu na rzeczywistość literacką. Nikogo nie obchodziła jednodniówka „Nuż w Bżuhu”. Mało kto czytał tomiki Juliana Przybosa czy Tadeusza Peipera. Nie czytano tym bardziej poetów komunistycznych, np. tomu *Trzy salwy* Broniewskiego, Standego i Wandurkiego, ale w każdym podręczniku o literaturze międzywojnia wydawanym w PRL była o tym wzmianka.

W okresie PRL lansowano tych pisarzy dwudziestolecia, którzy po wojnie poparli komunizm (Tuwima, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Przybosa), a pomniejszano i nie wydawano tych, którzy znaleźli się na Zachodzie i opowiedzieli przeciwko komunizmowi (Kazimierz Wierzyński, Marian Hemar, Ferdynand Goetel). Nie wznawiano książek z felietonami Kornela Makuszyńskiego i Adolfa Nowaczyńskiego. Nawet cenionego Stefana Żeromskiego oceniano. Nie wznawiono jego książki *Inter arma*, w której znalazł się reportaż *Na probostwie w Wyszku*, ani *Snobizmu i postępu*, gdzie Żeromski krytycznie odniósł się do awangardy, zarzucając jej wtórność. Dla Przybosa i Ważyka, po wojnie ulokowanych blisko władzy, był to kamień obrazy, więc książki nie wznawiano.

Lansowani w PRL skamandryci także padli ofiarą nożyczek cenzorskich. Niewielki tomik Jana Lechonia pt. *Karmazynowy poemat* przedrukowywano w wyborach wierszy bez jednego poematu – o tytule *Piłsudski*. Nigdy nie wznawiono tomu Kazimierza Wierzyńskiego *Wolność tragiczna*, bowiem poeta poświęcił ten zbiór Marszałkowi Piłsudskiemu.

W PRL zakazane były pisma Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Nie wznawiano powieści

Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego *Lenin* ani zbioru felietonów Makuszyńskiego, poświęconych wojnie 1919-1920 r. pt. *Radosne i smutne*. Cenzura nie pozwalała wznowić książki Juliusza Kadena-Bandrowskiego *Trzy wyprawy*. Zakazana była powieść *W polu* Stanisława Rembeka i *Pożoga* Zofii Kossak-Szczuckiej. Tak więc obraz literatury lat 1918-1939 był wypaczony.

Dla wielu literatów międzywojnia udział w I wojnie światowej i wojnie polsko-radzieckiej był doświadczeniem niezwykle istotnym. W okresie PRL nie przypomniano, że w wojnie 1920 r. ochotnikami byli: Wacław Borowy, Józef Czechowicz, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Mieczysław Jastrun (wtedy jeszcze Agatstein), Gustaw Morcinek, Julian Przyboś, Stanisław Rembek,



Tadeusz Żeleński Boy

Grafika okładki miesięcznika „Skamander” dostępna na Wikipedii



Stefan Żeromski

że w wojnie z bolszewikami walczyli Jan Lesman (późniejszy Brzechwa), Władysław Broniewski, Jarosław Iwaszkiewicz, Eugeniusz Małaczewski, Melchior Wańkowicz. Co może budzić zdziwienie, kilku z nich po wojnie opowiedziało się za nowym ustrojem, chociaż widzieli na własne oczy, co robili komuniści na ziemiach polskich. Taką metamorfozę przeszli Broniewski, Przyboś, Jastrun.

Wielu z pisarzy, dawnych legionistów i uczestników wojny z bolszewikami, miało osobiste kontakty z otoczeniem Marszałka Piłsudskiego. Do przyjaciół Komendanta należał Wacław Sieroszewski. Jednym z adiutantów Piłsudskiego był Juliusz Kaden-Bandrowski. Skamandryci przyjaźnili się z pułkownikiem, później generałem Bolesławem Wieniawą-Długoszewskim i wojewodą warszawskim Władysławem Jaroszewiczem, którego znał także z czasów młodości Bolesław Leśmian.

Za Piłsudskim opowiadał się Tadeusz Żeleński (Boy), który po zamachu majowym pisał w liście, że „od czasu tych przewrotów majowych, mimo wszystkiego, co w nich było bolesnego i tragicznego, powietrze zrobiło się lżejsze do oddychania”. Droga polityczna Boya była osobliwa: zaczynał w konserwatywnym „Czasie”, tłumaczył wtedy Pascala i Chateaubrianda, pisarzy katolickich. Po powrocie do Warszawy nawiązał współpracę z chadeckim dziennikiem „Rzeczpospolita”. Przyjaźnił się podówczas z Kornelem Makuszyńskim. W szkicach o pisarzach francuskich wyrażał swój sprzeciw wobec rewolucji bolszewickiej. W 1924 r. przeniósł się

do „Kuriera Porannego”, który płacił więcej niż czasopisma prawicowe. „Kurier” był gazetą wydawaną przez zwolenników Marszałka, który w tym czasie był „na wygnaniu” w Sulejówku. Po dojściu Piłsudskiego do władzy Boy zaczął wydawać książki z felietonami. Pierwszą były *Brewerie* wydane w 1926 r. Ostatnia, *Nieco mitologii*, ukazała się w roku śmierci Piłsudskiego (1935).

W latach 30. Boy ostro poszedł w lewo. Atakował wpływy Kościoła, promował „świadome macierzyństwo”, czyli aborcję. W 1939 r. wyjechał z Warszawy do Lwowa. Gdy miasto zajęły wojska radzieckie i zaczęły usuwać ślady polskości, Żeleński nawiązał współpracę z komunistycznym „Czerwonym Sztandarem” i „Nowymi Widnokręgami” Wandy Wasilewskiej (jak Przyboś).

Po wojnie był wydawany, chociaż – jak wszystko – jego książki także cenzurowano. W pismach Boya wydanych w latach 1956-1975 zabrakło felietonów *Teatr w Łucku*, w którym chwalił polską politykę kulturalną na Kresach. Nie przedrukowano szkicu *Gide’owskie problemy* ani recenzji z radzieckich sztuk socrealistycznych. Większość czytających zna dziś Boya ze *Słówek* i *Pieśń kobiet*. Nie ma wznowień *Brewerii*, *Pijanego dziecka we mgle* ani *Słów cienkich i grubych*. Z kolei *Mózg i płeć* (książka o pisarzach francuskich), ostatni raz wydano w 1956 r., w wersji zmienionej.

W PRL niektórych pisarzy wyklęto i obrzucono anatemą. Ferdynanda Goetla, byłego prezesa polskiego PEN-Clubu, prezesa Związku Zawodowego Literatów Polskich i członka Polskiej Akademii Literatury, oskarżono – bezpodstawnie – o kolaborację z Niemcami. Prawdziwym powodem oskarżenia było to, że napisał o zbrodni katyńskiej. Dopiero w 1989 r. polski PEN-Club wydał uchwałę, że oskarżenia nie miały żadnych podstaw.

Nie wznawiano utworów Herminii Naglerowej i Stefani Zahorskiej. Pisano nieprawdę o okoliczności i dacie śmierci poety Władysława Sebyły, który został zamordowany przez NKWD w 1940 r. pod Charkowem. Zakazem druku objęty był dramaturg Stefan Kiedrzyński. Można uznać, że literatura dwudziestolecia została zakłamaną, ocenianą, a więc pozostała zapoznana przez większość czytających. Kto czyta Goetla, Kiedrzyńskiego lub Małaczewskiego? Kto czyta felietony Adolfa Nowaczyńskiego? *Szkice o literaturze i kulturze* Ferdynanda Goetla wznawiano dopiero w 2020 r. Osobliwe jest, że po 35 latach od zniesienia cenzury nie wznawia się książek Makuszyńskiego *Po mlecznej drodze*; *Piąte przez dziesiątę*; *Żywot pani i inne świecidełka*; *Wycinanki*. Dopiero w 2024 r. ukazał się tom *Radosne i smutne*. Wydano także listy pisarza do drugiej żony.

Nie zdołano wydać bez cenzury dzienników Żeromskiego, mimo że wdowa po nim chciała, aby je wydano w całości. W podręcznikach można przeczytać, że Stefan Żeromski poślubił w 1913 r. Annę Zawadzką,

a przecież to nieprawda. Żona pisarza, Oktawia, żyła. Żeromski porzucił ją po śmierci ich syna Adama w 1918 r. i wtedy zamieszkał z kochanką. O rozwód nie wystąpił. Po śmierci pisarza wydawca Jakub Mortkowicz płacił honoraria autorskie... kochance Żeromskiego zamiast Oktawii Żeromskiej. Mimo to wdowa domagała się, aby wydano całą twórczość męża, łącznie z dziennikami. Kochanka nie zgadzała się na publikację dzienników. I w II RP dzienniki pisarza się nie ukazały. W okresie PRL dwukrotnie podjęto ich edycję. W latach 50. cenzura je zmasakrowała, wycinając fragmenty o orgiach ze szwaczkami i poglądy antyrosyjskie zapisywane przez młodego Żeromskiego. Druga edycja była bliższa rzeczywistości, chociaż także usuwano wszelkie antyrosyjskie akcenty. W XXI w. podjęto próbę wydania dzienników w całości. Niestety, śmierć prof. Zdzisława Jerzego Adamczyka zatrzymała prace edytorskie. Gdyby Mortkowicz posłuchał wdowy, a nie kochanki, to od stu lat znalibyśmy całość dzienników autora *Przedwiośnia*.

Kto był w okresie II RP naprawdę ceniony? Kogo naprawdę czytano? Wskazówką może być plebiscyt zorganizowany w „Wiadomościach Literackich” pt. *Kogo wybralibyśmy do akademii literatury polskiej?* We wrześniu 1925 r. tygodnik podał wyniki. O dziwo, nie wygrali poeci Skamandra, lansowani w każdym numerze czasopisma, lecz pisarze starszego pokolenia. Wygrał Żeromski, drugie miejsce zajął Reymont, potem *ex aequo* Kasproicz i Sieroszewski, na czwartym miejscu był Staff, a na piątym Stanisław Przybyszewski.

Jeszcze w tym samym roku Żeromski i Reymont zmarli, rok później Kasproicz, a w 1927 r. Przybyszewski. W 1930 r. Mieczysław Grydzewski powtórzył więc konkurs na pisarzy, którzy powinni się znaleźć



◀ Leopold Staff



Antoni Ferdynand Ossendowski ▶

w Akademii. Wyniki ogłoszono w styczniu 1931 r. Wygrał Boy, drugi był Staff, trzeci Kaden-Bandrowski, po nim znaleźli się Berent i Sieroszewski. Ze Skamandra najwyżej był Tuwim (na 10. miejscu). Miejsce 17. zajął Wierzyński, 21. Lechoń. Tak więc mimo lansowania młodych poetów na łamach „Wiadomości Literackich” zajęli oni odległe miejsca. Czytelnicy tygodnika głosowali na twórców starszego pokolenia.

Rok później ankietę na 10 najwybitniejszych Polaków ogłosił „Kurier Poranny”. W dziedzinie literatury zwyciężyli Leopold Staff i Wacław Berent, a dalsze miejsca zajęli w kolejności alfabetycznej:

Boy, Maria Dąbrowska, Ferdynand Goetel, Juliusz Kaden-Bandrowski, Stefan Kiedrzyński, Stefan Krzywoszewski, Bolesław Leśmian, Kornel Makuszyński, Karol Hubert Rostworowski, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Julian Tuwim. Po latach Anatol Stern ujawnił, że dopisał Leśmiana do listy laureatów. Dziś z perspektywy ok. 100 lat możemy uznać, że najwybitniejszym tomem poezji była *Ląka* Bolesława Leśmiana z 1920 r. Najbardziej oryginalną powieścią było *Pożegnanie jesieni* Stanisława



Ferdynand Goetel

Ignacego Witkiewicza z 1927 r. Wśród książek eseistycznych najciekawsza była niewznawiana w okresie PRL praca Floriana Znanieckiego *Upadek cywilizacji zachodniej*, ogłoszona w 1921 r.

A który z pisarzy najlepiej zarabiał? Kto żył z literatury? Tu pojawiają się zupełnie inne nazwiska niż w plebiscytach na akademików: Antoni Marczyński, autor *Przygody w Biarritz*, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, twórca *Profesora Wilczura* i *Kariery Nikodema Dyźmy*. Z przekładów żył Antoni Ferdynand Ossendowski. Świetnie zarabiał Kornel Makuszyński. Ze skeczów kabaretowych, a nie z poezji, utrzymywał się Julian Tuwim.

Byli też pisarze biedujący. W nędzy żył poeta i tłumacz Antoni Lange. Zofia Nałkowska zanotowała w dzienniku, że jednej z jej książek wydawca nie chciał opublikować i pisarka nie miała z czego żyć. Na pogrzebie Marszałka Piłsudskiego szła w dziurawym płaszczu, co zauważył Karol Irzykowski. On zarabiał jako stenograf w Sejmie.

Przez całe dwudziestolecie atmosferę w środowisku literackim psuł spór między narodowcami a piłsudczykami. „Myśl Narodowa” i inne czasopisma prawicowe atakowały poetów Skamandra. Za co? Za żydowskie pochodzenie, chociaż Lechoń, Wierzyński i Iwaszkiewicz nie byli Żydami. Słonimski i Tuwim odpłacali atakami na endeków. Antoni Słonimski w recenzjach książek nigdy nie pochwalił autora prawicowego, choćby stworzył arcydzieło, a o Nowaczyńskim pisał: „rudy do budy”.

Słonimski prowadził w „Wiadomościach Literackich” dział *Książki najgorsze*, w którym drwił z grafomanów. Atakował także Zenona Przesmyckiego za to, że kupione

Tadeusz Dołęga-Mostowicz



rękopisy Norwida Miriam trzyma u siebie w domu, zamiast je wydać. Zarzut był bezzasadny, ale Słonimski lubował się w atakach w rodzaju: „Miriam usnęła”.

Z kolei Adolf Nowaczyński był autorem paszkwili wymierzonych w literatów pochodzenia żydowskiego. Insynuował i tworzył kalambury. Prawda nie miała dla niego znaczenia. Przykład: w czasie obrony Warszawy w 1920 r. oskarżył Józefa Piłsudskiego o to, że uciekł ze stolicy i że jest agentem bolszewickim. Marszałek w tym czasie kierował kontrofensywą znad Wieprza. Nowaczyński nigdy za pomówienie nie przeprosił. Później wytykał nadużycia rządów sanacji. Piłsudskiego, nazywanego przez sympatyków Komendantem, Nowaczyński przezwiał Komediantem.

Za swą krytykę Nowaczyński został dwukrotnie napadnięty i pobity przez silnych ludzi z obozu władzy: w 1927 i w 1931 r. – za drugim razem w wyniku pobicia pisarz stracił oko. Szybko jednak wrócił do pisania pamfletów. Zaprzyjaźniony z Nowaczyńskim Kornel Makuszyński w liście do żony tak to oceniał: „Swędzi go drugie oko. [...] Nieposkromiona jest to cholera”.

Również Tadeusz Dołęga-Mostowicz został napadnięty i wywieziony z ulicy na warszawskiej Ochocie w stronę Janek. Tam poturbowanego felietonistę wyrzucono do rowu. Przypadkowy świadek zapamiętał numery rejestracyjne samochodu, z którego wypchnięto Dołęgę. Okazało się, że wóz należał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Mostowicz zemścił się na rządach sanacji, pisząc powieść *Kariera Nikodema Dyźmy*, w której obnażył kulisy karier politycznych.

Słonimski został spoliczkowany w Ziemiańskiej za wiersz *Dwie ojczyzny*. Boyowi odmawiano dostępu do sali, gdy jeździł po Polsce z odczytami. Atakowano go też w książkach i artykułach. Pisano, że głosi „boyszewizm”, a więc odmianę bolszewizmu. Kiedy ukazała się powieść Michała Choromańskiego *Zazdrość i medycyna*, w „Tygodniku Artystów” pojawiła się ostra recenzja pt. *Literatura choromaniaków*. Jarosław Iwaszkiewicz nie poznał się na talencie Leśmiana i pisał, że jego poezję „należy po prostu wykpić”.

Po publikacji wiersza *Do generałów* z Tuwimem zerwał Wieniawa-Długoszowski. Niebawem w prasie prawicowej pojawiły się wezwania do osadzenia w więzieniu Tuwima, Słonimskiego i Boya. Tuwim, przerażony nagonką, zapadł na chorobę nerwową i nie wychodził z domu.

W drugiej połowie lat 30. na łamach tygodnika „Prosto z Mostu” pojawiały się ataki na pisarzy pochodzenia żydowskiego. Było to głupie, bo zamiast cieszyć się, że polska kultura jest atrakcyjna, atakowano tych twórców, którzy pisali po polsku. W odpowiedzi Antoni Słonimski w swej *Kronice tygodniowej* przypominał redaktorowi Stanisławowi Piaseckiemu, że jest w połowie Żydem, bo ma matkę Żydówkę.



Wojewoda warszawski Włodzisław Jaroszewicz (z lewej)

Owe spory między endecją a piłsudczykami, między narodowcami i oenerowcami a skamandrytami nic nie wnosily do życia literackiego. Były jałowe. Nie chodziło o programy ani nawet o światopogląd. Były wyrazem osobistej niechęci. Nie spierano się, czy twórczość ma być elitarna czy dla mas, czy powinna się angażować w życie polityczne czy zajmować sprawami ogólnoludzkimi, czy być „sztuką dla sztuki”, czy pisarz ma popierać władzę czy być surowym sędzią, a może dystansować się od rzeczywistości. Nie dyskutowano o upadku Zachodu, „buncie mas” ani o zagrożeniu Polski przez ZSRR i Niemcy.

Polityczne i społeczne tematy podejmowali Juliusz Kaden-Bandrowski, Andrzej Strug. Wizje rewolucji nihilistycznej i dominacji Chin roztaczał Witkacy, reportaży o życiu Mazurów w Prusach Wschodnich napisał Melchior Wańkowicz. Wersję bez cenzury *Na tropie Smętka* wznowiono dopiero trzy lata temu.

Po wojnie Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Marian Hemar pozostali na emigracji. Jarosław Iwaszkiewicz i Julian Tuwim ponownie stali blisko władzy, tym razem komunistów. Tuwim pisał wiersze o Bie-rucie. Iwaszkiewicz został na lata prezesem Związku Literatów Polskich. Za uległość wobec władz PRL zachował dom w Stawisku. Julian Przyboś został posłem do komunistycznej Krajowej Rady Narodowej (jak Nałkowska), a następnie pojechał do Szwajcarii na placówkę dyplomatyczną. Antoni Słonimski został

dyrektorem Instytutu Polskiego w Londynie, potem na jedną kadencję prezesem ZLP. Dawny szczęściarz Makuszyński został pozbawiony możliwości druku [czyt. także w STOLICY nr 5-6/2025], Goetel po oskarżeniu o kolaborację uciekł na Zachód. A eksprawicowiec Gałczyński napisał pean o Stalinie i z komunistą „w jednym stali domu” – domu literatów przy alei Róż, gdzie mieszkali także Leon Kruczkowski i Antoni Słonimski. Witkacego przypomniano dopiero w 1957 r. i w latach 80. Cenzurę zlikwidowano w kwietniu 1990 r. i od tej pory mogą się ukazywać wznowienia książek bez ingerencji. Wydano pisma Witkacego, Żeromskiego. Wznowiono *Bolszewizm i bolszewików w Rosji* Parandowskiego, ale bez dedykacji dla pierwszej żony. Tak zwane dzieła wszystkie Leśmiana nie obejmują wszystkich tekstów poety, a wydane w 2016 r. *Kalendarium Leśmianowskie* woła o pomstę do nieba. Warto wydać rzetelny kalendarz życia i twórczości poety. Warto wznowić *Wolność tragiczną* Wierzyńskiego, pomijane książki z felietonami Boya, Makuszyńskiego, *Bicze z piasku* Żeromskiego, *Wspomnienia o pisarzach* Naglerowej, utwory pisarzy, których w PRL skazano na zapomnienie. ❁

Piotr Łopuszański – pisarz, autor 14 książek, w tym biografii Bolesława Leśmiana, Gustawa Holoubka, Mikołaja Kopernika, cyklu *Warszawa literacka*, książki *Sekrety życia pisarzy i artystów i in.*

Miasto w ekstazie

Warszawa
podczas Festiwalu
Młodzieży 1955 r.

Julia Majewska

Latem 1955 r. Warszawa na chwilę stała się innym miastem – rozświetlonym, kolorowym, radosnym. Festiwal Młodzieży zmienił nie tylko wygląd powojennych ulic, lecz i sposób myślenia mieszkańców o przestrzeni publicznej. Za fasadą propagandy krył się powiew nowoczesności i pierwszy, wizualny bunt przeciwko socrealizmowi. Warszawiacy zobaczyli, że świat może wyglądać inaczej. I wizji tej nie zapomnieli

„U palna pogoda, Wisła, co rzadkie – szafirowa. [...] Trybuny [stadionu – przyp. JM] szczelnie zapchane, zdawały się wyłożone kolorową mozaiką. A że oprócz letniej barwności szmatek wszystkim jako bilety wręczono kolorowe numerowane chustki i tymi chustkami wciąż powiewano – dawało to wrażenie, że ludzka mozaika mieni się i migocze w słońcu” – pisała Maria Dąbrowska w *Dziennikach powojennych*, a pewna młoda warszawianka, zachwycona różnorodnością kulturową, zapewniała: „Gdy tylko się da, uciekam [...] z domu pod byle pretekstem, którym przeważnie są bilety na występy. Barwny [...] wielojęzyczny tłum sprawia, że na ulicach

Warszawy mam do dyspozycji wiele stolic świata”. Podobnych opisów pozytywnych, czasem niemal ekstazy, wrażeń warszawiaków było więcej – wszystkie dotyczyły odbywającego się od 31 lipca do 15 sierpnia 1955 r. w Warszawie Festiwalu Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń.

Oficjalne idee, realne cele

Wydarzenie cykliczne, od 1947 r., realizowane z inicjatywy Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, miało promować ideę pokojowego współistnienia państw o odmiennych systemach politycznych. Postulowano zmianę konfrontacji na dialog między Zachodem i członkami NATO a Związkiem Radzieckim i państwami bloku wschodniego. W rzeczywistości głównym celem była prezentacja pozytywnego wizerunku systemu socjalistycznego i jego symbolicznej wyższości nad kapitalizmem. Choć w dokumentach jako organizatorzy wydarzenia w Polsce widniały Związek Młodzieży Polskiej i ŚFMD, rzeczywistą kontrolę nad Festiwalem sprawowały polskie władze państwowe – to one ustalały zasady organizacji imprezy oraz sposób, w jaki stolica miała się zaprezentować uczestnikom z różnych stron świata. Przygotowania do Festiwalu były więc skrupulatne i obejmowały kluczowe obszary życia publicznego.

◀ Skrzyżowanie Alej Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej w czasie Festiwalu, w tle otwarty w lipcu 1955 r. Pałac Kultury i Nauki, widok z dachu budynku przy ulicy Marszałkowskiej, 1955 r., fot. Zbyszko Siemaszko

Fragment fryzu dekorującego ulicę Marszałkowską, proj. Wojciech Fangor, Henryk Tomaszewski, 1955 r., fot. Zbyszko Siemaszko ▶

Za kulisami organizacji Festiwalu

Organizatorzy musieli się liczyć z przyjazdem ponad 150 tys. uczestników z Polski i ok. 25 tys. z zagranicy – głównie młodzieży – którym należało zapewnić zakwaterowanie, wyżywienie, transport, tłumaczy, opiekę medyczną, wreszcie – program rozrywkowy. Warszawa miała zostać zapamiętana jako „gościnna, piękna i czysta”. Przygotowania do stworzenia takiego obrazu miasta – szczególnie Śródmieścia – rozpoczęto kilka miesięcy wcześniej. Na polecenie władz miejską przestrzeń dostosowywano do wymogów wydarzenia – powstawały, jak pisał Błażej Brzostek, „malowane kulisy”: odnawiano budynki wzdłuż głównych tras, instalowano iluminacje świetlne, w tym oświetlenie mostu Poniatowskiego. Modernizowano sklepy, część z nich miała być otwarta do późnych godzin. Podczas imprezy nocami sprzedawano lody, zwiększono liczbę kiosków, wózków z napojami i kielbaskami oraz drobnym asortymentem. Prawdziwej radości dostarczały ogródki kawiarniane – element miejskiego krajobrazu dobrze znany z Warszawy lat 20. i 30., który dzięki Festiwalowi powrócił do przestrzeni publicznej, a prasa zapewniała, że „od lat marzyli o nich warszawiacy”.

Do obsługi zatrudniono setki dodatkowych pracowników – często z innych miast i mniejszych miejscowości – odpowiedzialnych za utrzymanie czystości. Sprowadzono polewaczki i wzmocniono nadzór nad porządkiem. Na czas Festiwalu nakazano zmianę „oblicza społecznego” miasta. „Express Wieczorny” donosił: „Warszawa pozbywa się chuliganów i pasożytów”. prostytutki zniknęły z przestrzeni miasta na niemal miesiąc, a po zmroku zwiększono liczbę patroli milicyjnych, zwłaszcza w słabiej oświetlonych rejonach.

Milicja, jak wynika z dokumentów źródłowych przechowywanych w Archiwum Akt Nowych, zwróciła się do





Zagraniczne delegatki przechodzące obok Pałacu Kultury i Nauki od strony ulicy Emilii Plater, 1955 r., fot. Zbyszko Siemaszko

Komitetu Festiwalowego o 40 dodatkowych motocykli. Równolegle sprowadzono do stolicy 1300 ciężarówek i 450 autobusów – głównie z ZSRR i Czechosłowacji. Tabor tramwajowy, trolejbusowy i autobusowy myto, malowano i remontowano. Wprowadzono nowe rozkłady – tylko 31 lipca na ulice miało wyjechać o połowę więcej autobusów niż w niedzielę zwykłą. Kierowcy ściągnięci z innych miast gubili się w nieznanym terenie i – jak pisano w czasopiśmie „Motoryzacja” – „tracili głowy”.

Nie tylko dla przybyłych z zagranicy uczestników Festiwalu, lecz także dla warszawiaków była to sytuacja nowa. Miasto zmieniało się na ich oczach, przechodziło metamorfozę – inną niż ta, która towarzyszyła powojennej odbudowie. Odgórnie narzucany entuzjazm odbudowy stolicy po zniszczeniach wojennych ustąpił miejsca atmosferze ekscytacji i oczekiwania – zapowiedzi pachnących nowoczesnością zmian i sugestii nadejścia „lepszyc czasów”, wolności, rozprężenia żelaznego uścisku władzy oraz odchodzącego w cień stalinizmu.

Rewolucja wizualna

Wizualna oprawa Festiwalu w formie wielkoformatowych dekoracji w przestrzeni miejskiej została szczegółowo zaplanowana. Pokazywana sztuka miała nieść określony przekaz i promować Warszawę jako miasto pokoju, swobody i dobrobytu. Po raz pierwszy od wojny artystyczne realizacje w przestrzeni publicznej

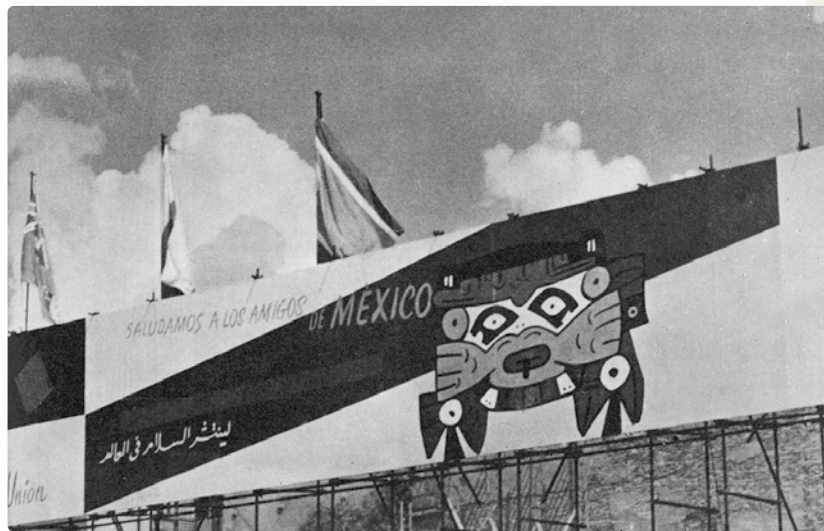
wykraczały poza dotychczasowe schematy – sloganowe hasła i portrety. Festiwalowe dekoracje można określić jako socjalistyczne w treści, ale nowoczesne w formie. To właśnie formalna innowacyjność decydowała o ich przełomowym charakterze i sukcesie oraz o wpływie na późniejszą sztukę w przestrzeni publicznej.

Na czas Festiwalu zarządzono usunięcie propagandowych haseł *sensu stricto* i zastąpienie ich łagodniejszymi, adresowanymi do młodzieży. Zmiana ta nie ograniczyła się tylko do czasu trwania imprezy – w kolejnych miesiącach, zwłaszcza po przełomie październikowym 1956 r., z krajobrazu miasta niemal całkowicie zniknęły jawnie ideologiczne slogany, ustępując miejsca bardziej przystępnym w odbiorze formom perswazji wizualnej. Dobitym przykładem była wskazówka sekretarza Komitetu Warszawskiego PZPR, by usunąć „radzieckie dekoracje” z oddalonych od centrum zakładów pracy, aby „nie mówiono, że Polska jest 17. republiką”. Użyty język artystyczny wyraźnie odbiegał od obowiązującej wcześniej estetyki socrealizmu. Warstwa ideowa dekoracji pozostawała zgodna z założeniami socjalizmu, forma jednak ewoluowała, w niektórych przypadkach przyjmując nawet abstrakcyjny charakter, objawiający się odejściem od realizmu, zniekształceniami, wielobarwnością.

W dekoracjach festiwalowych dominowały motywy internacjonalizmu i pokoju. Na głównych ulicach Warszawy pojawiły się barwne banery i wielkoformatowe plakaty z hasłami zapisanymi w różnych językach: „Jesteśmy radośni”, „Jest wesoło!”, „Czy zatańczysz?”, „Przyjaźń nie zna granic”, „Kocham”. Towarzyszyły im graficzne przedstawienia serca przebitego strzałą, ust czy kwiatów. W przestrzeni miejskiej umieszczano również dekoracje w formie uśmiechniętych słoneczników, słońc, księżyców, a także słoni, małpek, chińskich smoków czy lwów – będących wyraźnym ukłonem w stronę odmiennych kultur i symboliki innych regionów świata.

Jednym z najczęściej powtarzanych motywów – silnie związanym z ideowym przesłaniem Festiwalu – był wizerunek gołąbka pokoju. Choć niósł jednoznaczny przekaz polityczny, osadzony w socjalistycznym rozumieniu pokoju i przyjaźni między narodami, jego forma plastyczna odbiegała od konwencji socrealizmu. Stylizowane przedstawienia gołębia nawiązywały raczej do syntetycznego, niemal Picassowskiego ujęcia. Takie przedstawienie gołąbka pokoju pojawiło się w oficjalnym logotypie Festiwalu.

Proces zmiany języka wizualnego dobrze ilustruje festiwalowy plakat autorstwa Wojciecha Fangora i Jerzego Tchorzewskiego, wydany w kilku wersjach językowych. Ukazywał młodą dziewczynę na tle nieba – naszyjnik z flag państw uczestniczących w Festiwalu i gołąbek pokoju na jej ramieniu dopełniały symbolicznego przekazu. Choć kompozycja czerpała z estetyki socrealizmu – monumentalna postać, żabia perspektywa, rzeźbiarskość – to jednocześnie zawierała elementy nowego



▲ Fragment fryzu dekorującego ulicę Marszałkowską, 1955 r., proj. Wojciech Fangor, Henryk Tomaszewski

myślenia o formie. Uproszczona sylwetka gołębia, jego kubistyczny zarys, płaskość i syntetyzm wprowadzały lekkość i odwoływały się do języka abstrakcji. Podobnych środków wyrazu użył zespół Zbigniewa Maleszewskiego w malarskiej dekoracji ściany szczytowej zrujnowanego budynku na Powiślu. Dominującym elementem był konturowy wizerunek gołąbka pokoju z rozpostartymi skrzydłami – rozpoznawalny w formie, ale bliski geometrycznej abstrakcji. Korpus ptaka zbudowano z prostych figur i wpisano w barwną kratę przypominającą rozwiązania neoplastycyzmu, co stanowiło wyraźne nawiązanie do tradycji De Stijl. Kompozycję dopełniały monumentalne napisy „pokój” w różnych językach, rozproszone na całej powierzchni ściany.

Festiwalowe przestrzenie

Dekoracje skupiono w dwóch głównych obszarach Warszawy, wyznaczając tymczasowe szlaki plastyczne – wzdłuż ulicy Marszałkowskiej oraz w okolicach Nowego Świata i Alej Ujazdowskich (wówczas alei Stalina).

Wzdłuż Marszałkowskiej wyróżniały się trzy zespoły dekoracji. Pierwszy, rozpoczynający się przy Ogrodzie Saskim, otwierał maszt z gołąbką pokoju. Po obu stronach ulicy ustawiono plansze z grafikami o tematyce antywojennej i naukowej, odwołującymi się m.in. do pokojowego wykorzystania atomu i tzw. apelu wiedeńskiego (był to ogólnokrajowy, komunistyczny protest przeciwko używaniu broni atomowej w konfliktach zbrojnych, podpisany 16-17 kwietnia 1955 r.; w tamtym czasie część Wiednia wciąż pozostawała pod okupacją sowiecką). Prace te przeplatały się z hasłami i powiększonymi fotografiami, tworzyły wizualną narrację o postępie nauki w służbie ludzkości i pokoju. Po drugiej stronie ulicy ustawiono tryptyk *Przeciw wojnie*, zaprojektowany przez Jerzego Hryniewieckiego. Znalazły się w nim dobrze znane antywojenne dzieła – *Guernica* i *Masakra w Korei* Pabla Picassa oraz *Warszawa oskarża*



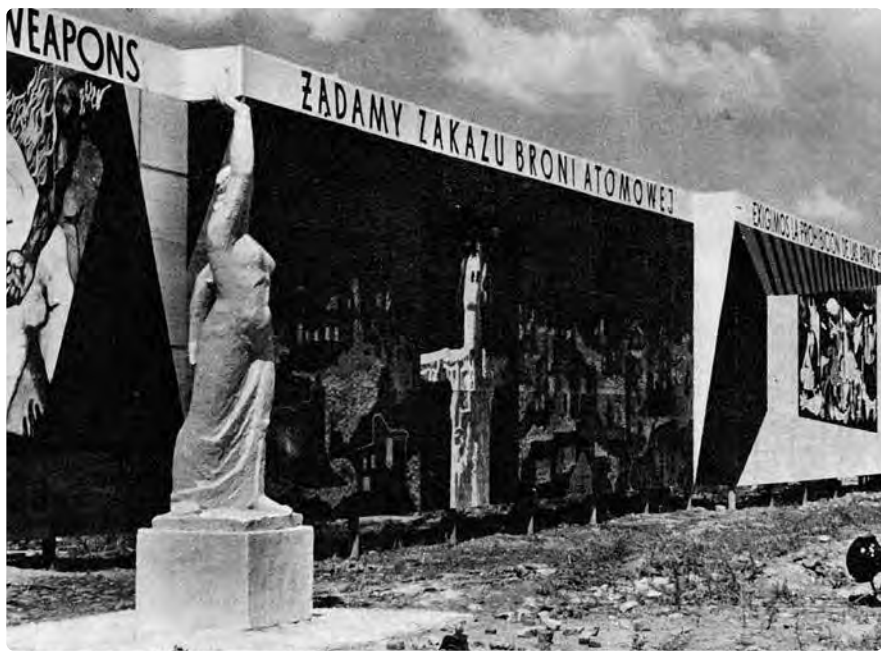
▲ Plakat z przedstawieniem głowy młodzieńca na budynku naprzeciw Muzeum Narodowego, 1955 r.



▲ Dekoracja malarska *Nous sommes joyeux* zniszczonego budynku przy ulicy Marszałkowskiej, 1955 r., proj. Jolanta Bieguszevska i Jacek Sempoliński

WYRAZ SPRZECIWU PLASTYKÓW WOBEC NARZUCONEJ ESTETYKI SOCREALIZMU

zbiegł się z ogólną przemianą środowiska artystycznego – widoczną m.in. podczas otwartej 21 lipca Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Plastyki *Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi*. Stała się ona pokoleniową manifestacją artystów pod hasłem „ani soc, ani sos”. Wśród twórców byli m.in.: Witold Damasiewicz, Stefan Gierowski, Jan Lebenstein, Jan Lenica, Franciszek Starowieyski, Jerzy Tchorzewski, Alina Szapocznikow, Maria Pinińska-Bereś, Andrzej Wróblewski. Ich prace cechowały się ekspresją, uproszczeniami, deformacją, kontrastową paletą, różnorodnością faktur. Rewolucja estetyczna toczyła się także w miejskim pejzażu. Jednocześnie ta formalna zmiana została przez władzę w pewien sposób zawłaszczona: nowa forma stała się nośnikiem starych treści. Estetyka nowoczesności okazała się politycznie użyteczna – zyskała status wizualnego dowodu na postęp i modernizację, wpisując się w propagandową narrację. Co istotne, projektowanie i realizację dekoracji powierzono profesjonalnym artystom. Ich warsztat i świadomość estetyczna sprawiły, że efekt był nie tylko skuteczny propagandowo, lecz i prawdziwie artystyczny.



Tu i poniżej: tryptyk *Żądamy zakazu broni atomowej* z kopią obrazu *Guernica* Pabla Picassa, ulica Marszałkowska, 1955 r., założenia plastyczne: Jerzy Hryniewicz

świata, splecione z symbolami kultur państw uczestniczących w Festiwalu. Kompozycję dopełniały powtarzające się w wielu językach hasła, m.in. *Pokój na świecie; Witamy naszych przyjaciół; Witamy budowniczych socjalizmu*. Kształt i plastyka fryzu miały duży wpływ na zmianę wyglądu tej części Marszałkowskiej, która dotychczas była zaniedbana, zrujnowana i opustoszała. Ostatni odcinek Marszałkowskiej zdobiły malowidła autorstwa Jolanty Bieguszewskiej i Jacka Sempolińskiego. Na zniszczonym murze pojawił się wielki napis *Nous sommes joyeux (Jesteśmy szczęśliwi)*, otoczony uproszczonymi wizerunkami wiatraka z tańczącymi postaciami, Picassowskim gołębkiem i uśmiechniętym słońcem.

Drugi szlak dekoracji był wyznaczony przez kolorowy pułap chorągiewek nad Nowym Światem, zaprojektowany przez Marię i Kazimierza Piechotków. Girlandy z wielobarwnych chust uzupeł-

niono grafikami Henryka Tomaszewskiego, Jana Lenicy i Józefa Mroczaka, odnoszącymi się do internacjonalizmu, wielokulturowości, muzyki, tańca i miłości. Istotnymi punktami były także uproszczone, graficzne wizerunki Newtona i Einsteina oraz przedstawienie galaktyki na bocznej ścianie jednego z budynków



Dekoracja malarska odsłoniętej ściany szczytowej jednego ze zrujnowanych budynków na Powiślu, 1955 r., proj. i wyk. zespół Zbigniewa Maleszewskiego

przy siedzibie Polskiej Akademii Nauk, zaprojektowane przez Piechotków.

Wspomnienia wymaga także dobrej jakości powiększony plakat Jana Młodożeńca na przeciwległym do gmachu Muzeum Narodowego budynku. Przedstawiał on głowę młodego mężczyzny wśród zieleni, białego gołąbka oraz napis *POKÓJ*. Pozostałą część Alej Jerozolimskich ozdobiło kolorowymi, regionalnymi wstęgami rozwieszonymi między drzewami – wizualnie nawiązującymi do chust dekorujących Nowy Świat. W różnych częściach Warszawy rozmieszczono ponadto drobne elementy akcentujące wartości wydarzenia: pokój, wspólnotę i radość. Na Mariensztacie stanęła plan-sza z przedstawieniem tańca wolności, a w Centralnym Parku Kultury na Solcu – słomiane kukły w tradycyjnych strojach narodowych. Ważnym elementem była obecność w dekoracjach motywów ludowych, przetworzonych przez nowoczesne środki wyrazu – geometryzację, uproszczenie formy. Całe miasto przystrojono flagami, uczestnikom rozdawano kolorowe mycki i spódnice.

Za projekty odpowiadali artyści różnych dziedzin: architekci, malarze, graficy. Dzięki ich udziałowi dekoracje miały wysoki poziom artystyczny, zrywający z konwencją socrealizmu. Festiwalowe kompozycje przecierały szlaki dla nowej, abstrakcyjnej estetyki.

Festiwal nowoczesności

Miasto zmieniło się na czas Festiwalu, stał się on momentem przełomowym. W kontekście sztuki symbolicznie oznaczał koniec doktryny socrealizmu w Polsce – festiwalowe dekoracje, choć nacechowane ideologicznie, pod względem plastycznym niosły wyraźną zmianę estetyczną, zrywały z socrealizmem. Festiwal stał się ważnym wydarzeniem tak pod względem artystycznym, jak społecznym – zmienił sposób myślenia o mieście i jego kształcie, o tym, jak mogłoby w przyszłości wyglądać.



Przeskalowana interpretacja plakatu *Nie!* Tadeusza Trepkowskiego na gmachu PKO u zbiegu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej, 1955 r.

Rzeczywistość zweryfikowała założenia organizatorów – Festiwal odniósł ogromny sukces, ale jego efekty zaskoczyły władzę. Nowa sytuacja pociągnęła za sobą wielofalowe zmiany, unaoczniały mieszkańcom, że świat oferuje więcej, niż dotąd myślano. Warszawiacy patrzyli na zmieniającą się wokół nich przestrzeń z nową ciekawością. Po latach wojny i stalinowskiego ucisku nadchodziła zmiana – przełom kształtujący nową rzeczywistość.

Festiwal był pierwszym powojennym momentem, w którym władze komunistyczne uchyliły żelazną kurtynę. Był szczeliną, przez którą do systemu przedostało się „nowe”. Jednocześnie jego destrukcyjne znaczenie dla systemu można dostrzec i ocenić dopiero z perspektywy czasu. Latem 1955 r. wydawało się, że jest to święto „postępowej” młodzieży z całego świata i zarazem wielki sukces władzy komunistycznej. Z relacji świadków wyłania się obraz niezwykłości wydarzenia: feeria barw, powiew wolności, nowoczesność, radość i rozmach. Miasto – wraz z festiwalowym tłumem, muzyką, dekoracjami – zmieniło się na chwilę w egzotyczny, nieopowtarzalny kombinat – zapowiedź przyszłości.

Do wody!

Tatiana Hardej

Basen to prestiż, charakter, pokaz mody, a przy okazji – woda i plaża. Traktowanie kąpielisk w dawnej Warszawie po prostu jako miejsc do pływania byłoby nieporozumieniem. Basen to zjawisko obyczajowe – pisała Agnieszka Osiecka. A w stolicy tych zjawisk było sporo

Legia, Gwardia, Warszawianka, Skra, Arkadia, Maristo... to nazwy budzące wiele wspomnień – ciepłych nie tylko dlatego, że związanych z latem i ze słońcem. Odkryte baseny określano różnie: miejscem spotkań śmietanki towarzyskiej, letnim salonem Warszawy i targowiskiem próżności. Dla jednych oznaczały „wodę i wolność”, dla innych – najlepszą okazję do podrywu albo idealne miejsce załatwiania interesów. Bywały „kultowe”, „magiczne”, „cudowne” – a zatem pod każdym względem wyjątkowe, zwłaszcza dla tych, którzy mieli tzw. instynkt towarzyski.

Złote rybki na Łazienkowskiej

Ta historia zaczęła się długo przed II wojną. „W środę 14 listopada odbyła się mała uroczystość pierwszego nalania wody do basenu. Dyrektor Państwowego Urzędu W. F. i P. W., płk Ulrych, którego zasługą w znacznej mierze jest wybudowanie pływalni, przeciął wstęgę [...]. A więc wreszcie legenda o pływalni w Warszawie ziściła się. Stolica Polski nie potrzebuje się wstydzić najmniejszych miasteczek niemieckich czy amerykańskich” – pisał z dumą „Przegląd Sportowy” w 1928 r.

Basen Legii przy ul. Łazienkowskiej 1 był nie tylko pierwszy, lecz także ultranowoczesny. W kompleksie przewidziano część sportową o wymiarach olimpijskich, której głębokość pod wieżą do skoków osiągała imponujące 4,5 m. Całość powstała z szarego betonu,

a „wodoszczelność ścian uzyskano drogą odpowiedniego doboru składników” – wyjaśniała „Architektura i Budownictwo”. Woda była filtrowana, napowietrzana, chlorowana, przewidziano także jej podgrzewanie. Ze względów higienicznych wejście było możliwe tylko „przez natryski i nożne brody”, a w usuwaniu zanieczyszczeń liczone na... złote rybki, które razem z karasiami zamierzano w tym celu wpuścić do basenu. Specjalna konstrukcja ścian umożliwiała pozostawianie wody na zimę, pod warstwą lodu i śniegu. Projekt Aleksandra Kodelskiego przewidywał także „basen dla niepływających” oraz basenik dla dzieci „wraz z koniecznymi budynkami i urządzeniami dla kąpiących się i widzów w połączeniu z boiskami i plażami dla kąpiei powietrznych”.

Najbardziej wyjątkowa była trampolina. Ta imponująca konstrukcja składała się z kilku platform, z których najwyższa znajdowała się na wysokości 10 m! „Na trampolinie było pusto – wspominała Agnieszka Osiecka w *Szpetnych czterdziestoletnich*. – Czasem zawiruszył się jakiś skoczek, [...] a czasem – przyplątała się jakaś nowa. Nową można było poznać właśnie po tym, że gramoliła się z kocem, koszykiem i całoscią na wieżę właśnie. Ledwo taka wygodnie się rozłożyła, już się tam leciało i skakało się jej przez głowę do wody. Niech się oślica dowie, do czego jest wieża”.

Chociaż basen w latach 20. zaskakiwał rozwiązaniami technicznymi, jak zawsze znaleźli się krytycy.

Tu i na stronie obok: basen Legii



NAC

Wspomniany już „Przegląd Sportowy” trochę narzekał: „Ostatecznie więc zamiast wielkiej budowli w stylu Piscinae des Tourelles w Paryżu czy Pischina dei Littoriale w Bolonii zaprojektowano tylko basen żelbetonowy, o wymiarach 25 x 50 m i w pobliżu niego niewielki również żelazobetonowy budynek”. Warszawiacy nie odczuwali jednak żadnego rozgoryczenia z tego powodu i za Legię po prostu przepadali.

Zawody obyczajowo-towarzyskie

Zresztą przed- i powojenna Legia to nie tylko 10 torów, 10 słupków startowych, 6 mosiężnych drabinek i szyb-kobieźne filtry, ale przede wszystkim miejsce, którego popularności nie da się chyba przecenić. „Jeżeli na rozprężonych letnim słońcem ulicach [...] padało słowo «basen» – można było iść o zakład, że chodzi tu o niezawodną Legię” – pisała „Stolica” w 1964 r. Miejskie życie toczyło się tam własnym rytmem i według sobie znanych zasad. Porządkował je niepisany podział na strefy. Stali bywalcy wiedzieli doskonale, gdzie przesiadują najpiękniejsze dziewczyny, gdzie się załatwia interesy albo po czym poznać zawodników Legii (po szlafroku). Ci ostatni tworzyli grupę z uporem podkreślającą własną odrębność: „Do dobrego fasonu – pisała Agnieszka Osiecka – należało nie tylko ponure włóczenie się

w przemokniętym szlafroku, ale również wydawanie z siebie, od czasu do czasu, gruzliczego kaszlu”.

Najważniejszą częścią kąpieliska była oczywiście trawiasta plaża. Najbliżej męskiej szatni miały swoje stanowisko „bezpretensjonalne sikorki warszawskie”: „Wypożyczały sobie leżaczki, ścisnęły się w ciasne kupki, smarowały rączki, przykładły listki do nosków i lypały sobie oczkiem to tu, to tam” – zwłaszcza w kierunku siedzących niedaleko chłopaków. Kolejną strefę zajmowały „królowe nocy” – ale to nie one przyciągały najwięcej uwagi. Na samym końcu, pod parkanem miały swój rewir najładniejsze, najbardziej popularne na Legii dziewczyny: „Były wśród nich te, które «chcą być same», te, które «chcą przeczytać ciekawą książkę», a także te, które wiedzą, że i tak będą poderwane”.

Na Łazienkowską przychodzili ludzie o różnym statusie społecznym i zasobności portfela – od dzieciaków po starsze panie pływające w czepkach w poprzek

Z lewej basen KRS Skra (1976 r.), z prawej basen Legii



▲ Słońce, leżaki i płotki na basenie Legii, I. 1958-1968

basenu, od studentów bez pieniędzy po biznesmenów. Do wody wchodził tylko niektórzy. Prawdziwe życie toczyło się na plaży – i w solarium, czyli na dachu jednego z budynków, na którym projektanci przewidzieli strefę dla opalających się, a więc miejsce na „pokaz mody i golizny”. I chociaż po wojnie w Warszawie powstawały kolejne kąpieliska, Legia zachowała status tego, na którym szpan był największy.

Pływanie przede wszystkim

„Sport odciąga liczne rzesze od nadużyć, od alkoholu, od potwornego «zabijania czasu». [...] Ze sportów wodnych na pierwszym miejscu należy postawić pływanie” – pisała „Stolica” w 1947 r., „Życie Warszawy” chwaliło zaś wolskich kolejarzy, którzy zorganizowali basen w zbiorniku przeciwpożarowym dla „działwy dzielnicy robotniczej”. Prasa informowała o planowanych inwestycjach i faktycznie z dekady na dekadę przybywało w stolicy betonowych kąpielisk.

W latach 60. powstała Arkadia na Szczęśliwicach i baseny przy ulicy Inflanckiej. Woda pobierana z elektrociepłowni umożliwiała korzystanie z ośrodka przez cały rok, niezależnie od pogody. Pomyślano nawet o tzw. ciepłych chodnikach prowadzących do szatni. Najbardziej niezwykle rozwiązanie prezentował jednak Maristo na Czerniakowie, przy ulicy Żurawieckiej. „Żołnierze z KBW przepracowali przy jego budowie

ponad 50 tys. roboczogodzin”, ale basen powstał w trzy miesiące. Konstrukcję z betonu i drewna zanurzono po prostu w Wiśle. Wartki nurt pomagał w pływaniu (w jedną stronę), a na plaży można było spędzać całe dnie, zwłaszcza że tuż obok znajdowały się bar i kąpielisko dla dzieci. Klientela bywała wyjątkowa – przychodziła tam podobno pewna pani, która miała poniżej pępka tatuaż: „To należy do Stacha”.

W 1972 r. „Stolica” martwiła się nadal: „Jeśli chodzi o kąpieliska i baseny odkryte, osiągnięto zaspokojenie potrzeb w 24%”. Wkrótce miało być lepiej. Powstały: Gwardia przy Raławickiej, Warszawianka na Mokotowie i Skra przy Wawelskiej. Każda pływalnia miała swoich zwolenników – i swój charakter. Gwardia była ośrodkiem milicyjnym, ale otwartym dla warszawiaków. Jej największy atut stanowiły wieża do skoków oraz tzw. solarium, czyli miejsce, gdzie dziewczyny opalały się topless. Podobno powodowało to wiele stłuczek na Raławickiej; podobno kiedyś nad basenem zawisł wojskowy śmigłowiec, z którego podglądano dziewczyny przez lornetkę; podobno z tutejszej wieży skakał porucznik Borewicz w jednym z odcinków 07 zgłoś się; podobno woda była tu czystsza niż na Legii...

Kompleks sportowy Warszawianka słynął natomiast z porządku, dobrego bufetu i świetnej architektury. Zaprojektowany przez Jerzego Sołtana i Zbigniewa Ihnatowicza, w 1972 r. zdobył prestiżowy tytuł Mistera



Warszawy. „Jury konkursu kierowało się surowym regulaminem – przypominała Polska Kronika Filmowa. – Laureat musi być przystojny, praktyczny i rozsądny”. Warszawianka dokładnie taka była – elegancka, dopasowana do potrzeb małych i dużych pływaków. W najlepszych czasach odwiedzało ją 7 tys. osób dziennie. Na opalanie topless decydowały się podobno tylko dziewczyny ratowników.

Byli też tacy, którzy uważali, że najlepsze baseny są na Skrze, w kompleksie zaprojektowanym przez Mikołaja Kokozowa i Jerzego Wasilewskiego. Decyzje warszawiaków w tym zakresie okazywały się wolne, demokratyczne i dość często zależne po prostu od miejsca zamieszkania. A do wyboru były jeszcze pływalnie na Moczydle, Polu Mokotowskim, w Powsinie...

Praga pływa

W latach 70. baseny zaczęły wyrastać także na praskim brzegu. I to dosłownie na brzegu – Warszawski Ośrodek Turystyki i Wypoczynku Wisła otworzył kąpielisko między Walem Miedzeszyńskim a rzeką. Nie brakowało mu rozmachu. Na plaży mogło się zmieścić 10 tys. osób, w barze szybkiej obsługi – 500, w kawiarni z dansingiem I kategorii – 300. Oprócz brodzika dla dzieci baseny były dwa, o maksymalnej głębokości 1,8 m. Bonus stanowiły widoki – Wisła znajdowała się tuż za ogrodzeniem. W upalne dni z powodu tłumów

nie dało się rozłożyć leżaka, mimo że można go było na miejscu wypożyczyć.

A był to dopiero początek budowania pływalni na Pradze. „Warszawie przybędzie także nowy ośrodek rekreacyjny przy ul. Namysłowskiej – informowała „Stolica” w 1974 r. – W tym roku do użytku mieszkańców stolicy zostanie tam przekazany 15-hektarowy teren plaży trawiastej, 3 pawilony szatniowe, pawilon gastronomiczny oraz basen dla dorosłych o wymiarach 50 x 25 i brodzik dla dzieci”. Kompleks projektu Danuty Bredy-Brzechowskiej, otwarty co prawda z pewnym opóźnieniem, został wkrótce powiększony o pływalnię całoroczną. Zyskał ogromną popularność po tej stronie Wisły. Praskie klimaty bywały jednak dla niektórych kontrowersyjne: „Przemieszczenie zupełne – pisała „Stolica”. – [...] Mowa staranna graniczy z grypsersą lub żargonem, nie mówiąc o «łacinie». I tak wszystkim basen dobrze służy”. Woda była podobno bardzo zimna, ale plaża w środku miasta jakoś ten kłopot równoważyła. W ostateczności pomocny okazywał się basenowy barek – wszak „w kawiarnianym ogródku można się ochłodzić orzeźwiającym napojem bez konieczności zmiany plażowego stroju”.

A dzisiaj?

Losy warszawskich kąpielisk nie potoczyły się jednakowo. Część od lat popada w ruinę. Po kilku praktycznie



Franciszek Starowieyski (w ręczniku na głowie) gra w karty na terenie ośrodka Legii, l. 1958-1968

▼ Baseny Legii, 1936 r.



nie ma już śladu. Niektóre zyskały drugie życie i awansowały na aquaparki.

Pierwsza była Warszawianka. W latach 90. kompletnie przebudowano cały obiekt, zamieniając go w park wodny, wówczas najnowocześniejszy w mieście. Znalazły się tu zjeżdżalnie, sauny, basen kąpielowy z podgrzewaną wodą, biczami wodnymi, rwącą rzeką i jacuzzi, a chętni mogli sobie na miejscu zorganizować np. imprezę urodzinową. Śladem po dawnym kąpielisku na skarpie był tylko niewielkich rozmiarów basen zewnętrzny.

Nieźle trzymają się baseny nad Wisłą, mimo że kilka lat temu przestała działać część położona bliżej mostu Poniatowskiego. „Znane są historie, już z lat 90., o uczęszczających tam dresiarzach i lokalnych gangsterach, którzy na fali rywalizacji między dzielnicami przychodzili na basen grupą około 15 osób i zdobywali cały obiekt na resztę dnia dla siebie. Sygnałem przejęcia był zazwyczaj okrzyk jednego z wyższych rangą członków bandy [...]: „Wy***łać z basenu, teraz kąpie się Praga!” – pisała „Gazeta Wyborcza”. Pływalnia, dziś nosząca nazwę Kora, przeszła lifting. Nie oferuje już jednak widoku na Wisłę – brzeg zarósł, a rzeka jakby się oddaliła.

Los na loterii wygrało Moczydło, które awansowało na park wodny z najbardziej spektakularnymi zjeżdżalniami w mieście. Generalny remont przeszły baseny

na Inflanckiej, los sprzyja także kąpielisku w parku Szczęśliwickim.

Nic nie zostało z najbardziej niegdyś celebryckiego i prestiżowego basenu Legii. Popularny wśród kibiców wiadomego klubu piłkarskiego, działał do 1987 r., a kolejne 20 lat czekał na rozbiórkę. Mimo pewnych prób reanimacji nie istnieje Gwardia ani baseny na Polu Mokotowskim. Na wskrzeszenie czekają Skra oraz baseny przy Namysłowskiej. Te ostatnie powoli tracą nadzieję: „Czego tu miało nie być... Nowy kompleks basenów, lunapark, a jest syf i nic więcej” – komentują internauci. Plany obejmują na razie remont pływalni krytej. Pozostałości kąpieliska zewnętrznego ożywają tylko w weekendy, kiedy odbywa się tam giełda wszystkiego.

„A co jutro? – zastanawiała się „Stolica” w 1974 r. – [...] O planach na dalsze lata jeszcze napiszemy. Już dziś jednak wiadomo, że zarówno w tym roku, jak i w latach następnych wypoczynek w naszym mieście będzie o wiele lepszy niż w latach minionych”. I tego właśnie życzymy sobie na wakacje. 🍷

Cytaty za: „Życie Warszawy”, 1947, nr 196; „Architektura i Budownictwo”, 1929, nr 8; „Przegląd Sportowy”, 1928 z 24 listopada; „Gazeta Wyborcza”, 2018 z 4 lipca; archiwalne

U Marszałka w Sulejówku

W tym roku obchodzimy 90. rocznicę śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Poświęcone Naczelnikowi Muzeum w Sulejówku działa już kilka lat. W 2020 r. siedziba placówki została rozbudowana, rozszerzono także zakres wystawy. Z Krzysztofem Jaraczewskim, wnukiem Józefa Piłsudskiego i jednym z autorów koncepcji architektonicznej Muzeum, rozmawia Mateusz Kaczyński



Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, fragment wystawy stałej

Jak wygląda dziś sulejowskie Muzeum?

Zacznę od tego, że ideą Muzeum jest zachęta, by wybrać się do Sulejówka. Nie odtworzono tu placówki, która działała przed wojną w Belwederze. Zdecydowano, że będzie się ona mieścić przy domu rodzinnym Marszałka – trochę na uboczu i z dala od centrum wydarzeń w stolicy. Daje to szansę, aby podejść do Piłsudskiego bardziej osobiście. Dworek to spokojne miejsce, w którym żył z żoną i dziećmi przez kilka lat. Tu pisał i prowadził życie – dla wielu z nas być może nawet bliższe niż wydarzenia, które doprowadziły do odzyskania niepodległości i odbudowy państwa.

Były to wydarzenia epokowe, o niewiarygodnej skali.

Powiedziałbym, że stanowią one dla nas jako Polaków węzeł egzystencjalny. Był to kluczowy czas w istnieniu narodu. Ale później, od śmierci Marszałka, także wiele się wydarzyło: mieliśmy II wojnę światową, komunizm, Jana Pawła II, „Solidarność” i transformację. Historia niewielu krajów obfituje w tyle wielkich zmian w tak krótkim czasie.

Dziś możemy wsiąść w Szybką Kolej Miejską, przejechać kilka przystanków od centrum miasta i znaleźć się w zupełnie innej przestrzeni. Sulejówek był w pewnym sensie miejscem wytchnienia Józefa Piłsudskiego. Tak, mój Dziadek odpoczywał tam. Oddaje to nastrój dworku, który jest sercem tego miejsca. Muzeum zostało zbudowane obok, konserwator zabronił stawiania na pierwotnym terenie czegokolwiek nowego, zmiany były dopuszczalne tylko obok. Jestem mu bardzo wdzięczny, mimo że dało to nam dużo dodatkowej pracy. Moja siostra marzyła o tym, żeby Muzeum w Sulejówku było miejscem, które nie zobowiązuje. Takim, w którym kierowca przybywający z daleka może odpocząć przy kawie i ciastku, dzieci mogą się pobawić, a ktoś inny może pozwiedzać. Nie ma tu żadnego przymusu i robienia czegokolwiek na siłę. Dlatego właśnie wystawa główna (na marginesie – bardzo ciekawa) znalazła się w podziemiu – to nie przytłacza dworku i nie wprowadza obowiązku zwiedzania. Mówimy tu o dziedzictwie, a nie o naukowej historii, którą każdy z nas musi zapamiętać i przyswoić.



Czyli nie patrzymy tu na postać Marszałka tylko z pomnikowego punktu widzenia i jego poświęceń dla kraju, ale skupiamy się na aspekcie osobistym. Jego historia jest pokazana poprzez osobiste przedmioty i poszczególne etapy życia. To ciekawy sposób na zmierzenie się z historią postaci, która jest nierozdzielnie związana ze wspomnianym węzłem egzystencjalnym, a z drugiej strony nadal wzbudza kontrowersje.

Ta forma ścierania się wizji jest bardzo dobrą rzeczą. Kiedy Muzeum powstawało, to Fundacja Rodziny Józefa Piłsudskiego przekazała mu dworek, drewniak – które są dzisiaj oficjalnie Pomnikami Historii – oraz liczne pamiątki. Całość powstała w partnerstwie z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Państwo polskie włożyło w to przedsięwzięcie gigantyczny wysiłek. Dzięki temu jest to wyjątkowe Muzeum, skupia się na nowym spojrzeniu na historię. Istotne jest, jak do niej podchodzimy, w jaki sposób interpretujemy fakty i jak możemy je dziś wykorzystać. To Muzeum szuka dialogu. W życiu Józefa

Piłsudskiego były kontrowersyjne momenty. To dla nas dzisiaj nie powinny być punkty sporne, lecz przedmiot dyskusji, który służy wyciągnięciu wniosków. Możemy się przyjrzeć konkretnym wydarzeniom i zastanowić, co byśmy zrobili, gdybyśmy sami znaleźli się w tamtych czasach i musieli samodzielnie podejmować decyzje. Czy postąpilibyśmy w zgodzie ze swoimi wartościami? Odpowiednie pokazanie

Tu i powyżej: Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, teren historyczny



Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, dworek Marszałka

historii jest po to, aby budować wzajemny zrozumienie i szacunek, nasze poczucie obywatelstwa, stosunek do kraju i służbę dla państwa – czyli to, z czym mierzył się za życia Marszałek.

W jaki sposób odnosi się do tego architektura Muzeum? Umieszczenie głównej części wystawy pod ziemią to ciekawy zabieg. Jak narodził się ten pomysł?

Nowoczesne muzea narracyjne – czyli większość muzeów historycznych – opowiadają o historii poprzez swoje zbiory, które są jej świadkami. Dają historii całą jej wiarygodność i pokazują rzetelność opracowania historycznego. Trudno nam było stworzyć taką placówkę, bo po wojnie i okresie komunizmu zostało stosunkowo mało pamiątek po Marszałku. Sporo z nich to delikatne dokumenty i papiery, które źle znoszą światło dzienne. Wielu projektantów wystaw nie chce w budynkach okien. Siłą rzeczy bryła, która znalazłaby się nad ziemią, byłaby hangarem. To byłoby tragiczne dla dworku, który dziś jest sercem Sulejówki.

Drugim sercem jest wystawa. Mielibyśmy zgrzyt, więc wspólnie z Radosławem Kacprzakiem, współautorem koncepcji architektonicznej Muzeum, zdecydowaliśmy się umieścić całość pod ziemią. W ten sposób udało się zachować powierzchnię i odpowiednią kubaturę, bo sala wystawowa jest wysoka. Jednocześnie nie zniszczyliśmy skali dworku. Wolałbym nawet, żeby budynek był ciut mniejszy na zewnątrz.

Dialog między przeszłością a teraźniejszością przebiega nie tylko w architekturze. Chciałbym zapytać o ogród użytkowy przed dworkiem – są tam uprawiane takie rośliny jak w dwudziestolecie międzywojennym przez Marszałkową. To bezpośrednia łączność z czasami, gdy mieszkał tu Marszałek. Możemy też zobaczyć, co pojawiało się u niego na talerzu.

W czasach, kiedy żyli tu Piłsudscy, nie było tylu sklepów, a Sulejówek był o wiele mniejszy. Dochody mojego Dziadka były niewielkie, a część z nich i tak przekazywał na Uniwersytet Batorego w Wilnie. Ogród był po



Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, nowy budynek

prostu kwestią utrzymania się, życia z pochodzących z niego roślin. Znalazła się w nim też pasieka, którą opiekowała się Babcia. Dzięki darom pojawiły się tu także krowa, kozy i kury. W ten sposób Dziadkowie mogli tu spokojnie żyć z gospodarstwa. Dookoła było więcej lasów, więc Sulejówkę należał raczej do cichych miejscowości. Po sąsiedztwie mieszkała rodzina Moraczewskiego, dawnego premiera Rzeczypospolitej, który wraz z Piłsudskim, jeszcze przed pierwszymi wyborami, wprowadzał podwaliny państwowości, jak wolne wybory czy prawo głosu dla kobiet... Był płot, przy którym stali i rozmawiali. Miejsce i budynek muzealny, który powinien być choć trochę monumentalny, bo odnosi się do historii i postaci tej skali, trzeba było jakoś zgrać w całość. Efektem jest to, że zeszliśmy pod ziemię – i osobiście się z tego cieszę.

Mamy więc świadomość skali wydarzeń historycznych oraz zwyczajne życie, w którym Józef Piłsudski podchodził do płotu, by porozmawiać z sąsiadem, notabene także politykiem. Poprzez takie przykłady historię da się odbrać.

Tym m.in. kierowaliśmy się podczas tworzenia Muzeum. Wiedzieliśmy, że większość z nas nie ma odpowiednich narzędzi, żeby podejść do wielkiej historii. Szukaliśmy sposobu – i dlatego wystawę podzieliliśmy na sześć części. Opowiada ona o „sześciu różnych” Marszałkach, na różnych etapach „ich” życia i naszej historii. Na początku jest Ziuk – dziecko i młody człowiek, idealista. Potem jest Wiktor – buntownik i rewolucjonista z PPS-u. Następnie komendant i legiony – a zatem powstaniec. Później Naczelnik jako głowa państwa – to państwo-wiec – i wreszcie Marszałek – mąż stanu. Te wszystkie

osoby to oblicza Dziadka, które symbolizują różnorodną spuściznę. Chcieliśmy, aby każdy odwiedzający znalazł jakiś fragment jego historii, do której będzie mógł się osobiście odnieść.

Takie podejście z pewnością pozwala lepiej poznać losy Marszałka. Dla Pana to także historia rodzinna. Czy jako wnuk Marszałka ma Pan jakiś ulubiony eksponat? Jest jedna rzecz, ale to nie eksponat, bo nie ma jej w namacalnym sensie. To jest tekst. Historycy nazywają go depeszą notyfikacyjną, a dla mnie to nasza deklaracja niepodległości, która została nadana kodem Morse’a w eter. To jest dla mnie najpiękniejsze – że w 1918 r., mimo wszystkich trudności związanych z odbudową państwa, w połowie listopada wysłano w świat sygnał, że powróciliśmy. Sami poinformowaliśmy kraje dookoła, że jesteśmy. Była to deklaracja, którą krok po kroku realizowaliśmy. To krótka, ale piękna i mocna rzecz.

Wiadomość wyszła w świat i z nienamacalnej stała się rzeczywistością.

W pewnym sensie można tej deklaracji dotknąć. Niedawno byłem w Rumunii, gdzie na wystawie widziałem transkrypt tej depeszy.

Inne państwo potwierdziło odbiór depeszy, a zarazem naszą niepodległość. Nie było wtedy Internetu, a telefony należały do rzadkości.

Ta historia mnie najbardziej porusza, bo w niej zawiera się sedno wszystkiego, także tego Muzeum. Można opowiadać o wielu wydarzeniach, ale ta depesza była podpisana przez Piłsudskiego i Filipowicza. To mówi za nas wszystkich. 🇵🇱

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Muzyka fortepianowa na Ujazdowie

Przed nami trzecia edycja festiwalu *Paderewski na Ujazdowie*. W każdą sobotę **od 21 czerwca do 26 września** w parku Ujazdowskim można posłuchać muzyki fortepianowej – i nie tylko – w wykonaniu uznanych artystów z Polski i zagranicy. Podczas 12 plenerowych koncertów zagrają dla nas: Beata Bilińska (21.06), Michał Szymanowski (28.06), Hyo Lee z Korei Południowej (5.07), Michał Mossakowski (12.07), Piotr Pawlak (19.07), Artur Dutkiewicz (26.07), duet Ola & Agnieszka Świgut (2.08), Joanna Marcinkowska (9.08), duet Paweł Wakarecy & Aleksandra Soboń-Wakarecy (16.08), Trio Animato – zespół harmonijek ustnych (23.08), Eva Kulikowska – fortepian i Katarzyna Tereza – skrzypce z Ukrainy (30.08) oraz Tasten Duo: Bartosz Kołsut – akordeon i Juliusz Goniarski – fortepian (6.09). Koncerty są prowadzone przez Wiesława Dąbrowskiego, dyrektora Festiwalu, komentarz muzyczny zapewni Karol Furtak – muzykolog i dziennikarz radiowej Dwójki, który wprowadzi nas w fascynujący świat fortepianowej muzyki. Organizatorem III Festiwalu Paderewski na Ujazdowie jest Fundacja Ave Arte. Każdy koncert zaczyna się o godz. 16. Wstęp na wszystkie wydarzenia festiwalowe jest bezpłatny. ●



Muzyka w Otwocku Wielkim

Kto ma ochotę na posłuchanie muzyki klasycznej w niezwykłym miejscu? Niebawem nadarzy się okazja! Przed nami nowy letni festiwal muzyczny *Break in Classic* w Muzeum Wnętrz w Otwocku Wielkim oddziale Muzeum Narodowego w Warszawie. To trzydniowe wydarzenie połączy muzykę klasyczną, nowoczesną estetykę i wyjątkową przestrzeń barokowego pałacu nad jeziorem Rokola. Dyrektorami artystycznymi projektu i autorami programu festiwalu są Jakub Józef Orliński, kontratenor światowej sławy, oraz Aleksander Dębicz, innowacyjny pianista i kompozytor. Będzie klasycznie, a jednocześnie na luzie. Szykujcie się na zabawę wieloma różnymi gatunkami muzycznymi i już rezerwujcie czas i bilety – liczba miejsc jest ograniczona! Festiwal odbędzie się **15-17 sierpnia**. ●

📌 Jak widziano dzisiejszą Warszawę 100 lat temu, a jak widzimy ją dziś i jaka będzie Warszawa przyszłości? Sto lat temu Benedykt Hertz i Aleksander Świdwiński stworzyli komiks *Warszawa w roku 2025*. Muzeum Karykatury konfrontuje dawne wyobrażenia z przedstawieniami stolicy w pracach współczesnych artystów komiksu, rysunku satyrycznego i ilustracji, m.in. Edyty Kranc, Wojciecha Stefańca, Rafy Janko, Jakuba Topora, Beaty Pytko, Marcina Podolca i Anny Krzoń. Wystawa pt. *Warszawa w roku 2025. Jak sto lat temu wyobrażano sobie przyszłość stolicy* potrwa **do 12 października**.

📌 Na wakacyjne szlaki nadmorskie i do kultury. Z biletem na przejazd pociągiem „Słonecznym” wejdziemy do Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku z 20% rabatem! Pociąg „Słoneczny” jeździ na trasie Warszawa-Ustka-Warszawa. Dodatkowo w weekendy kursuje „Słoneczny BIS” relacji Warszawa-Gdynia-Warszawa. Ceny biletów są takie same jak rok temu, tj. 75 zł do Ustki i 60 zł do Gdyni. Pociągi będą kursować do 31 sierpnia.

📌 Fundacja Centrum Architektury zaprasza na Festiwal MDM. Do października na terenach Warszawskiej Dzielnicy Mieszkaniowej odbywać się będą spacer, a w galeriach, klubach i bibliotekach – wykłady, dyskusje, wystawy, pokazy filmów.

📌 Niegdyś basista i wokalista Deep Purple, a dziś frontman grupy rockowej Black Country Communion – Glenn Hughes – wystąpi **10 września** w Progresji! Usłyszymy kawalki, które napisał wraz z innymi muzykami m.in. dla Deep Purple, Black Sabbath, Trapeze, Iommi, Hughes/Thrall i Black Country Communion. Zaprezentuje też nową muzykę ze swego solowego albumu, którego premiera zaplanowana jest na lato 2025 r. Glenn Hughes jest członkiem Rock and Roll Hall of Fame.

► Pionierzy black metalu na jednym koncercie w Polsce w tym roku – **10 sierpnia** na Letniej Scenie Progresji wystąpi norweska grupa Mayhem. Usłyszymy kawałki z 40-lecia działalności kapeli.

► Również na Letniej Scenie Progresji odbędą się tegoroczne Juwenalia. Podczas dwóch dni, **26 i 27 września**, zagrają dla nas m.in. Kayah, Kinny Zimmer, Enej, Modelki, PlanBe, Miętha, BSK czy Julia Pośnik. Prócz koncertów będą animacje, konkursy, strefa chill-out i... afterparty do białego rana.

► W lipcowe i sierpniowe soboty o godz. 17 warto się wybrać do mokotowskiego parku im. gen. Gustawa Orlicz-Dreszera na koncerty w ramach cyklu *Dreszer Jazz*, które już wpisały się muzyczną tradycję Mokotowa. Wystąpią m.in.: 12 lipca – Dixie Fellows, 19 lipca – Zubek, Pentz, Świątkowski – *Sinatra: Out of Lights*, 26 lipca – Warsaw-Berlin Tango Express, 2 sierpnia – Sibel Köse i Wojciech Pulcyn Trio, 9 sierpnia – Tomek Bielski Jazz Orchester, 16 sierpnia – Katarzyna Dąbrowska – *Feeling Good, czyli Radość w Standardzie*, 23 sierpnia – Wojciech Myrczek (wokal), Bogusław Kaczmar (fortepian) – *Jazz Meeting*, 30 sierpnia – Joanna Morea z zespołem. Wydarzenie jest dofinansowane ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego.

► W tym roku Filmowa Stolica Łata obchodzi swoje 20-lecie. W ramach cyklu w 20 różnych miejscach odbywa się blisko 150 darmowych projekcji. W programie znalazły się zarówno kinowe hity ostatnich lat, jak i ambitne filmy dla miłośników kina. Dodatkowo organizatorzy zapraszają na darmowy popcorn, lemoniadę i liczne konkursy. Na stronie *Filmowa Stolica Łata* można znaleźć mapę miejsc i program plenerowych seansów. Projekt odbywa się pod honorowym patronatem prezydenta Warszawy. ●

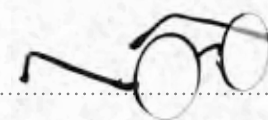


Urodziny Starówki

Ponad 100 wydarzeń przygotowanych przez 30 instytucji – a wszystko w ciągu jednego weekendu **18-19 lipca**! Okazja? Niebagatelna – 72. rocznica otwarcia odbudowanego Rynku Starego Miasta! Przez te dwa lipcowe dni Starówka będzie rozbrzmiewać rytmami jazzu, muzyki fortepianowej, rapu i silent disco. Będą koncerty, potańcówki, warsztaty, spacer i gry miejskie. Z oprowadzającymi wejdziemy do miejsc nieznanych szerszej publiczności – szczególną atrakcją będzie możliwość zajrzenia do pracowni artystycznych znajdujących się pod opieką Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków czy zwiedzenia niedostępnych na co dzień podwórek i piwnic. Chętni będą mogli odcisnąć swoją dłoń na płótnie i przesłać *Pozdrowienia z warszawskiej Starówki* – płótno będące symbolem pamięci i solidarności z przedsięwzięciem odbudowy miasta zostanie następnie wywieszone w Starej Prochowni SCEK. Jak obiecują organizatorzy, w ten szczególnie wakacyjny weekend odkryjemy warszawskie Stare Miasto na nowo! Szczegółowy program wydarzenia Starówka (od)NOWA na: grupastarowka.pl ●

Przestrzennie w Zachęcie

Fenomen tzw. sztuki *environment*, należącej do najważniejszych i najbardziej nowatorskich nurtów artystycznych drugiej połowy XX w., na wystawie pt. *Przestrzenie w Zachęcie*. Zobaczymy realizacje klasyków polskiej sztuki współczesnej, m.in. Magdaleny Abakanowicz, Wojciecha Fangora, Henryka Stażewskiego czy Marii Pinińskiej-Bereś, które miały fundamentalny wpływ na myślenie o przestrzeni, widzu i prezentacji dzieł sztuki. Prace nurtu *environment* angażują zwiedzającego fizycznie i wielozmysłowo – są pomyślane w taki sposób, by można było do nich wejść i doświadczyć ich różnymi zmysłami – poprzez dotyk, dźwięk, kolor, rytm etc. Artefakty tego nurtu łączą malarstwo, rzeźbę, architekturę i happening. Za pierwsze dzieło *environment* w Polsce uważane jest *Studium przestrzeni* Wojciecha Fangora i Stanisława Zamecznika z 1958 r. W ramach wystawy w Zachęcie obejrzymy pięć rekonstrukcji realizacji *environment* – trzy z nich pokazywane są po raz pierwszy od chwili ich powstania. Zobaczymy też dokumentację twórczości różnych artystów, jak Włodzimierz Borowski, Józef Szajna, Zbigniew Dłubak, Edward Krasiński, Zbigniew Gostomski i Zygmunt Targowski. **Do 21 września** ●



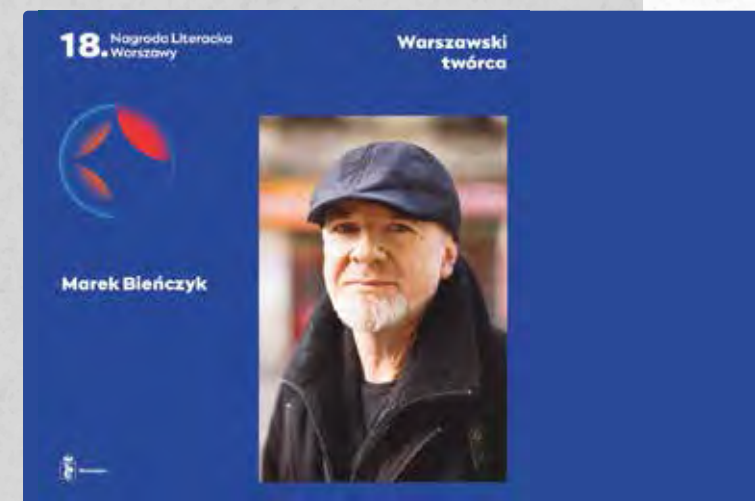
Warszawski Twórca AD 2025

Marek Bieńczyk

Tegoroczny laureat Nagrody Literackiej m.st. Warszawy w kategorii Warszawski Twórca, przyznawanej za całokształt prac, 13 lat temu zdobył Nike za *Książkę twarzy* z 2011 r. Ile twarzy ma Marek Bieńczyk? Z wykształcenia romanista, tłumaczył z francuskiego książki Kundery, Ciorana i Barthesa. Pracuje w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, jego naukowym debiutem była książka o Zygmuncie Krasińskim, pracę habilitacyjną poświęcił melancholii romantycznej. Opublikował dwie książeczki dla dzieci, a dla dorosłych jako enolog amator kilka tomów swoich *Kronik wina*. Nagrodę otrzymał jednak za eseje i prozy. Choć akcja jego pierwszej powieści *Terminal* z 1994 r. ułożona była we Francji, to już fantasmagorycznie mocno *Tworci* z 1999 r. (Paszport „Polityki”) mają w tle okupacyjną Warszawę: 21-letni Jurek z Ulrychowa zatrudnia się w administracji podmiejskiego zakładu psychiatrycznego, gdzie ukrywali się Żydzi – po ich zniknięciu w 1943 r. prowadzi poszukiwania m.in. w Hotelu Polskim na Długiej.

Co prawda Marek Bieńczyk urodził się w 1956 r. w Milanówku, ale przez pół wieku mieszkał na Grochowie, który opisywał jako swoją małą ojczyznę. W *Melancholii* (1998) cytuje esej zmyślonego Jana Jo Rabendy, wypowiadającego się o prawobrzeżnej Warszawie, że „nawet wojna raczej ją oszczędziła” – co ma być argumentem na rzecz gorszości Pragi wobec lewobrzeżnej części miasta. Literat i znawca win Rabenda, będący *alter ego* Bieńczyka, ujawnia się także jako zapalony futbolista w stylizowanym na reportaż opowiadaniu tegoż autora pt. *Ostatni karny* z antologii *Dryblując przez granice. Polsko-ukraińskie Euro 2012* (2012) – prawie do pięćdziesiątki lubił pokopać w piłkę z kumplem na stadionie Orła przy Dwernickiego, wspomina tam też dawny Stadion Dziesięciolecia. Bieńczyk pisze o Orle również w eseju *Światło bramki* z *Książki twarzy*. W tekście *Stawiam na Ciamciarę* z tomu *Jabłko Olgi, stopy Dawida* (2015) przywołuje dziecięce dochodzenie prowadzone pod wpływem *Stawiam na Tolka Banana* Adama Bahdaja – z kolegą Maćkiem śledził po Grochowie Elegancika – niewinnego bywalca Zagłoby i Osiedlanki, chodzącego stale w błękitnym garniturze, co wydawało się im podejrzanym.

Jednak prawdziwym grochowskim *opus magnum* Bieńczyka jest wydane pół roku temu *Rondo Wiatraczna* – pisaliśmy o nim w artykule *Dzielnicy w STOLICY* nr 3-4/2025. W rozmowie zatytułowanej *To nie opowieść*,



to *aerazol* opublikowanej w internetowym „Dwutygodniku”, prowadzonym przez Dom Spotkań z Historią, Marek Bieńczyk stwierdził, że dla Grochowa to rondo jest jaskinią lwa, „Okiem czy oczodołem Opatrzności. A mnie dodatkowo dobrze pasuje do celów alegorycznych. Bo jest jednocześnie i rondo, i rondeau figurą geometryczną i poetycką, także muzyczną. Poza tym jeszcze ten wiatr w nazwie, również podatny na metafory. Potrzebowałem takiego miejsca i takiej jego nazwy, bo książka jest co najmniej dwoista – alegoryczna i konkretna jednocześnie”. Narrator *Ronda* miesza wspomnienia – piekarni Reicherta, rurek z kremem z pobliskiej cukierni, bazaru przy placu Szembeka, restauracji Astoria i dźwięków szlifierki wędrownego ostrzyciela noży – z konfabulacjami. Utrzymuje, że ma kilka matek, nieznanych ojców, a od dzieciństwa mieszka samotnie – za każdym razem podaje inny rok, od którego tak się dzieje. Bieńczyk w narrację wplata również pastisze, np. neobarokowych wierszy Jarosława Marka Rymkiewicza. Autorski program można odnaleźć w słowach pojawiających się pod koniec książki: „Pytają państwo Aniołowie o ewentualne traumy rodzicielskie albo o ilość pieniędzy do końca miesiąca i co z tego wynikało [...] Ale dlaczego nie pytają Państwo o architekturę budynku, w którym mieszkalem? [...] Mój pokój istniejący między dwoma odrębnymi domami, nienależący wizualnie ani do jednego, ani do drugiego, zawieszony w powietrzu, dryfujący w pustce, ni to, ni sio”. Bieńczyk przestrzega zarazem w *Rondzie Wiatraczna* przed nostalgią, „bo to kiepski kompan, cinkciarz od sprytnego przekrętu”. ●

PDW



Warszawski poeta z Lublina

Rafał Skąpski

Ukazał się właśnie nakładem Muzeum Niepodległości wybór wierszy Józefa Czechowicza w redakcji Tadeusza Skoczka. Poeta ten wciąż jest znany niewielkiej części czytelników, a szkoda.

Józef Czechowicz zaistniał w mojej świadomości stosunkowo późno, w 1969 r. Usłyszałem o nim w Polskim Radiu, przypuszczam teraz, że była to audycja z okazji 30. rocznicy Jego śmierci, a więc początek września. Zapamiętałem, że mowa była o poecie, że z Lublina, że zginął tragicznie w pierwszych dniach wojny w tymże mieście. Zapewne sięgnąłem wówczas, 18-letni student, po jakieś wiersze Czechowicza, choć nie było to tak łatwe jak dziś, kiedy po wpisaniu w wyszukiwarkę jego nazwiska otrzymujemy wgląd w niemal całą jego twórczość. Jeśli wówczas poznałem jego poezję, to przyznaję, nie przemówiła jeszcze do mnie. Zafascynowanego od czasów licealnych Gałczyńskim, Tuwimem, Leśmianem, Staffem czy Błokiem (w oryginale) poezja Czechowicza nie zdołała do siebie przekonać. Musiały minąć lata, podczas których co jakiś czas, najczęściej w rytmie rocznicowym, media przypominały o twórczości i postaci Czechowicza, utrwalając jednak nadal ów schematyczny skrót: „poeta, Lublin, tragiczna przedwczesna śmierć”. Jakże fałszywy, jakże uproszczony i krzywdzący poeta. W Posłowie dr. Tadeusza Skoczka odnajdzie czytelnik fakty z życia poety przeczące temu schematowi.

Myszę, że dopiero kiedy kierowałem PIW-em, poznałem bliżej tak twórczość, jak i życiorys Józefa Czechowicza. Śmiem twierdzić, że nie byłem wyjątkiem wśród tych, którzy uznają się za czytanych i mają nierzadki kontakt z literaturą, z poezją. Zrozumieć Czechowicza, odkryć zalety jego poezji, przeżywać z autorem jego twórczość – tego trzeba się nauczyć. Ale gdy już się to stanie, pocujemy się lepsi, wzbogaceni, wyniesieni na wyższy poziom emocji i wyobraźni.

Mimo tak wielu publikacji utworów poety, mimo tak wielu artykułów o nim i o jego twórczości Czechowicz w powszechnej świadomości istnieje w stopniu

Józef Czechowicz,
Wojenne echo
[antologia wierszy],
zestawił Tadeusz Skoczek,
wyd. Muzeum Niepodległości,
Warszawa 2025



niewielkim i szalenie uproszczonym. A przecież książka zawiera obszerną bibliografię poety: 89 książek, 39 opracowań o poecie, 113 artykułów. Do tego dodać trzeba dziewięciotomową edycję *Pism zebranych*. To niemało – jak na sumę dorobku 36 lat życia twórcy i, licząc od daty debiutu w prasie, nie więcej niż 16 lat tworzenia. Już samo to powinno przekonać tych, którzy nie mieli kontaktu z poezją Józefa Czechowicza, że koniecznie trzeba ją poznać. Moje doświadczenie podpowiada, że twórczość tego autora wymaga pewnego przygotowania, wcześniejszego obcowania z poezją innych autorów, poznania ocen i opinii krytyki literackiej.

Odwołam się znowu do Polskiego Radia, bo właśnie na radiowych antenach usłyszałem przed laty Artura Sandauera odnoszącego się z uznaniem do twórczości Czechowicza. Sandauer – swego czasu traktowany jak wyrocznia krytyki literackiej, wydający bezkompromisowe, często druzgocące dla autora osady – tym razem odnosił się do poezji Czechowicza z wyczuwalnym uznaniem. Jakiś czas później usłyszałem wspomnienie Julii Hartwig o Czechowiczu i pierwszych z nim kontaktach. W słowach poetki, znanej ze swej delikatności, tak w utworach, jak i w postępowaniu, wyczułem jej dziewczęcą fascynację zarówno twórczością Czechowicza, jak i nim samym. Potem zanotowałem w pamięci krótką, ale jakże serdeczną wypowiedź Czesława Miłosza o Czechowiczu jako twórcy, ale i przyjacielu. Słowa tych osób skłoniły mnie, bym – dojrzały już odbiorca poezji i prozy – zagłębił się w treść i atmosferę urokliwej, jakże różnorodnej i nieoczywistej poezji Czechowicza. Dopełnieniem tych rekomendacji był fakt, iż Tadeusz Różewicz

pod dworcem głównym w warszawie

z okiem bryzgało blaskiem
królowa w nikłach bufet
biły pod sufit płaski
fontanny kwiatów kruche

są tam firanki płyną
dają tło ceniom sytych
czy to nocną godziną
czy szronowym przedświtem

alkoholu symfonie
fugi jarzyn i mięsa
ciszej grajcie w agonii
żywy głód się wałęsa

jeden głód kaszle szczeka
drugi głód palce łamie
na cóż trzeci głód czeka
drżąc we wnęce przy bramie

wielookie zarosło
twarze głodów człowieczych
to są biedne księżycy
spustoszałych wszechrzeczy

dyszą kaszlą w runo
wytartego szalika

mówię wam przez nie runą
mocne twierdze jerycha

Józef Czechowicz
z tomu *Wojenne Echo*

w rozmowach ze mną często z uznaniem nawiązywał do Czechowicza i jego przyjaźni z bratem Januszem. Nadto właśnie Różewicz dokonał swego czasu wyboru wierszy Czechowicza i tomik ten opatrzył swoim wstępem. Czyż mogłem pozostać obojętnym na poezję Czechowicza?

Czechowicz urodził się w 1903 r. w Lublinie, tam ukończył liceum i tam stawiał się ochotniczo do udziału w wojnie 1920 r. Studiował w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, po czym pracował do 1932 r. jako nauczyciel na Wileńszczyźnie we Włodzimierzu Wołyńskim i w Lublinie.

W 1923 r. współtworzył czasopismo literackie „Reflektor”, w którym debiutował utworem *Opowieść o papierowej koronie*. W 1927 r. ukazał się drukiem pierwszy tomik utworów poety pt. *Kamień*. Został wysoko oceniony przez krytykę. W 1930 r. autor otrzymał z Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego

stypendium na wyjazd do Francji. Po powrocie został redaktorem dodatku literackiego do „Ziemi Lubelskiej”. W 1932 r. wydawał własny dziennik pt. „Kurier Lubelski” – ukazywał się on przez cztery miesiące.

W 1933 r. Czechowicz przeprowadził się do Warszawy. Tu m.in. redagował *Kolumnę literacką* w dwutygodniku „Zet”, czasopisma dla dzieci „Płomyk” i „Płomyczek”, współpracował z „Głosem Nauczycielskim”, „Pionem” i „Kamienią”, a także pracował w dziale literackim Polskiego Radia. W latach 1938-1939 wydawał kwartalnik „Pióro”.

Po wybuchu II wojny światowej powrócił do rodzinnego miasta wraz z ewakuującymi się pracownikami Polskiego Radia. Tu zginął 9 września 1939 r., w czasie niemieckiego nalotu.

Na koniec, by wzmocnić moje słowa, dwie opinie o Czechowiczu pochodzące z ust – lub spod pióra – niewątpliwych autorytetów:

Czechowicz nie był poetą wielkiego miasta, nie był trybunem, nie był poetą politycznym ani „dworskim” [...] Czechowicz prawie nigdy nie „podnosi głosu”, można powiedzieć, że krzyczy swój dramat szeptem. Czechowicz z natury jest cichy, jest sielski. Jest jak jesienny deszcz, jak opadanie liści. Nie znaczy to, że jest niewidomy i głuchy. Czechowicz cały jest oczekiwaniem. Jest napięty jak krajobraz przed burzą. Cały jest w tym nasłuchiwanie idącej burzy. Czeką na burzę, na grom, na błyskawicę. Czeką na śmierć, miłość, sławę... Czechowicz cały jest z prowincji, cały ze snu [...]. Nie miejski i nie wiejski. Poeta pogranicza [...] wśród poetów to zakorzenienie się w krajobrazie rodzinnym jest częstym zjawiskiem. [...] Można żyć i działać w Warszawie i pozostać poetą Włodzimierza i Lublina.

[Tadeusz Różewicz]

Byłam dziewczyną, która próbowała pisać wiersze, więc urok samego nazwiska Czechowicza, także jego wiersze, był przemożny. Po prostu ten, kto w Lublinie zaczynał pisać, nie mógł nie zetknąć się z nazwiskiem Czechowicza. W każdym razie u mnie był jakiś rodzaj właśnie uwielbienia dla Czechowicza. Był człowiekiem, który miał wielką dyscyplinę poetycką. Doskonale – poza tym, że wiedział, co chce napisać i co chce powiedzieć – doskonale wiedział, jak chce to zrobić. I wykonywał swoje wiersze z jakimś ogromnym pietyzmem.

[Julia Hartwig] ●



Depresje na Pięknym Brzegu

Paweł Dunin-Wąsowicz

Przez kilkanaście lat wybudowała się cała młoda dzielnica od placu Niemena wzdłuż Powązkowskiej i Rydygiera, a literaty nie o niej, tylko ciągle o Starym Żoliborzu piszą! No i o starzeniu się i doławianiu tam właśnie. Co ciekawe, w odróżnieniu od książek opisywanych w *Dzielnicy* w STOLICY nr 3-4/2025 nikt z autorów odnotowywanych tym razem powieści tam się nie wychował!

Bezdzietny 50-letni rozwodnik Wojciech Borsuk po „uwolnieniu się” od żony artystki Elwiry wygłasza w powieści Krzysztofa Vargi *Śmiejący się pies* swój wielki monolog do ciągniętego na smyczy Ziutka. Opowiada mu o swoim przyjacielu Tomaszu, który zamiast jak on pogodzić się z życiem jakie jest, wyprowadza się od żony i syna w nadziei na uwicie nowego gniazda z młodą śpiewaczką Zosią.

Aktorka Jaga Babażyna jako samotna wdowa w *Urodzinach* Weroniki Murek przeżywa załamanie nerwowe, wypalenie, traci pamięć i zawodowe szanse, pozostając już tylko role w nagraniach słuchowisk i audiobooków, skąd też jest wypierana przez młodsze i tańsze stażystki.

Narrator *Prowincji/Warszawy* Waldemara Bawółka, z szóstym krzyżykiem na karku, o wieku i imieniu zbieżnym z autorem, od roku mieszka zupełnie sam, rzadko odwiedza go córka z wnukiem. Do Warszawy przybywa z małopolskiej osady na trzy miesiące, także aby solidnej się przebadac – przeżył zawał, którego w ogóle nie zauważył. „Im jestem starszy, tym lepiej zdaję sobie sprawę, że marzenia pozostają tylko marzeniami, co czyni je pięknymi” – uważa i wyznaje, że nigdy nie pragnął wiele: „Renta, może za kilka lat emerytura, jak dożyję”.

Wojciech jest przekonany, że „relanium i hydroksyzyna to najlepsze”, co go spotkało w ostatnich latach, do tego stopnia, że najlepszym dzieli się z Ziutkiem (który, jak wynika z tytułu książki, także dzięki farmaceutykom radzi sobie z depresją). Jagę prześladają duchy, do których coraz to wzywa policję. Od lekarki nie spodziewa się sugerowanej terapii, tylko leków nasennych, dzięki którym mogłaby doraźnie funkcjonować. Waldek nawet do knajpy w rodzinnej miejscowości chodzi już po łyknięciu czegoś w domu („opijam serce”). Zaliczywszy w Warszawie gościnę na Dolnym Mokotowie i Saskiej Kępie i przypomniałszy sobie Starówkę, trafia do geja tłumacza w średnim wieku, mieszkającego na Żoliborzu w kawalerce przy Słowackiego – tam znów wpada w ciąg pijacki, po którym wychodzenie z zatrucia trwa dłużej niż samo picie. Liczne żoliborskie winiarnie ułatwiają



Waldemar Bawółka,
Prowincja/Warszawa,
wyd. Nisza,
Warszawa 2024

Krzysztof Varga,
Śmiejący się pies,
wyd. Czarne,
Wołowiec 2025

Weronika Murek,
Urodziny,
wyd. Czarne,
Wołowiec 2005

Tomaszowi popadnięcie w pijaństwo, szczególnie małopolskimi winami, które sobie upodobał w przypływie snobizmu po tym, jak nie wypaliło z Zosią, dla romansu z którą osiedlił się na placu Inwalidów i dla której – by podtrzymać swoją atrakcyjność – uprawiał jogging na Kępie Potockiej.

Jeśli chodzi o żoliborskie realia, Varga jest skądinąd najlepszy spośród tych trojga równo przynudzających autorów. Jego narrator spotyka się z Tomaszem w kawiarni Prochownia w parku Żeromskiego, sam zresztą marząc o osiedleniu się na Żoliborzu po ewentualnym wzbogaceniu: „Každy, kto tam mieszkał, natychmiast zaczynał mi się jawić jako inteligent od co najmniej trzech pokoleń, wnikliwy czytelnik zamknięty w wielkiej bibliotece [...] przechadzający się po okolicach Cytadeli i w myślach prowadzący z samym sobą spory w kwestiach ontologicznych”. Tomasz nękał młody kochanek Zosi, obserwując go z konara drzewa rosnącego przed jego oknem. Jagę nękają wspomniane duchy – mieszka sama w odziedziczonej po mężu willi na Żoliborzu Oficerskim. Śmieszny jednak w *Urodzinach* Murek fraza o „wypadzie” na targ śniadaniowy, użyta tak, jakby chodziło o wielką wyprawę w miejsce, gdzie w rzeczywistości ze Śmiałej można dojść w kapciach, a jeszcze bardziej bawią obawy o środki na życie dręczące właścicielkę posesji wartej co najmniej 5 mln.

Wygląda na to, że nawet tak piękny i pożądaný Stary Żoliborz w tym sezonie literackim jawi się jako rezerwat osamotnienia, starzenia się i nieszczęścia.

PS. A gdzież mieszkają teściowie prezydenta w wydanej w przeddzień tegorocznych wyborów powieści Jakuba Żulczyka *Kandydat*? W modernistycznym Szklanym Domu (ul. Mickiewicza 34/36) – w odróżnieniu od poprzednich jego książek, jak *Informacja zwrotna* i *Dawno temu w Warszawie*, stolica jest tu jednak ledwie naszkicowana. ●



Cała naprzód

Przemysław Śmiech

Szłem sobie wczoraj do sklepu z rozkazami..., pardons, na prośbę małżonki, gdy oto ujrzałem namacalnie mego sąsiada, pana Ambrożego Keksza. Stał akurat naprzeciwko witryny sklepu z mapami oraz z globusami. Placówka ta egzystuje na Grochoskiej ulicy. Też lubie sobie tam postać i pomarzyć o ciepłych krajach... Gdzie jest cieplutko, krugom się wtrącały ananasy, klawe facetki w samem kibini chodzą...

– Serwus sąsiedzie! Co się pan tak gawronisz na te szyby? Chcesz pan żeglować po morzach i oceanach? – zapytałem.

– Kanikuła się zbliża, trzeba miejsce nieaktywnego wypoczynku wybrać – odpowiedział pan Ambrożo.

– I wybrałeś pan już?

– Się waham.

– Pomiędzy?

– Góry lub też lasy – powiedział pan Ambrożo i ponownie zatopił się w planach wakacyjnych. Chwile nic nie mówiłem, po czym nawiązałem nić dialogu:

– A góry to wntualnie jakie, panie Ambrożo? Tatry niebotyczne?

– Nie. Za duże – powiedział mój sąsiad.

– A puszcza jaka? Białowieszczańska?

– Za zielona...

– Trudny z pana klejent, panie Ambrożo... A nad morze?

– Nad morzem jest ten kłopot, że lubie rybkie z tacki wtrącać...

– Kto nie lubi!

– I te rybkie zdrowo podkropić...

– Rzecz wiadoma!

– Ale wtedy moja małżonka morduchne rozpuscita na cały legorator, że moczymorda jestem! Alkoholista! W Szwecji ją słyszeć!

– Czyli przygody apropos morza wykluczone...

– Raczej tak... A wiesz pan, przypominało mi się morskie zdarzenie. Apropoz budowy okręta.

– A gdzieś go pan budował?

– W piwnicy.

– Mam zaszczyt nie rozumieć...

– Już wyszczególniam. Szwagroszczak mój, Konstanty Brzeszczot, jest gramotny akonto klejenia okrętów z papieru. I znakiem tego otrzymał pod choinkie papierowe Oerpe Błyskawice. Zaprosił mnie i paru znajomków do prac ręcznych. Przez parę dni cichuśko sobie montowaliśmy chlube polskiej rymanarki wojennej, aż nadszedł czas dziewiczego rejsu. Kupiliśmy kilka ćwiarteczek i odpaliliśmy jedną po drugiej...

– Jak to odpalaliście?

– „Ładuj torpede!” – krzychałem. Szwagroski polewał. „– Ognia!” – wtedy robiliśmy dziabach. „– Torpeda w celu” – odstawialiśmy szkło.

– Poważny poligon...

– Musowo..., po paru salwach zaczęło nas zdrowo bujać.

– Jak to morzu!

– Tak jest... I wtedy szwagroszczak przypomniał sobie, że okręt niechrzczony. Wyjął szampanskoje i rozlał każdemu. Mówię mu: „Ale chwilunia, butelka musi być pełna przy rozbiciu o burte!”. A szwagroszczak, że co tam, szkoda płynu. Ja mu na to, że na morzu nieklawo lipą się posługiwać, nieszczęście może się zdarzyć.

– I co szwagier na to?

– Nic, bo już był na glanc uperfumowany. „– Cała naprzód!” krzychał i śpiewał „– Choć burza huczy wkoło nas”. I uważasz pan, wykrakał te burze, nie minęło pięć minut, jak do piwnicy wpadła jego ślubna magnifika...

– I co?

– No co. Dziesięć w skali Boforta... ●

Trąbka 1955

Jacek Fedorowicz

70 lat temu odbył się w Warszawie Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, a odbywając się – zaszokował. Wszystkim, czym się dało – zaszokował – i co najważniejsze, nie pozwolił, by Warszawa się z szoku otrząsnęła. Nieco ponad rok później wydarzyła nam się konsekwencja Festiwalu, Październik '56, czyli koniec stalinizmu, koszmarnego opresyjnego systemu, panującego tu przez osiem lat. Zwykle okres peerelowski łąduje się we wspomnieniach do jednego wora, tymczasem dzielił się on na podokresy bardzo, bardzo różne. Nadejście Gomułki w 1956 r. odczuliśmy prawie jak odzyskanie niepodległości – taka to była różnica. Nie twierdzę, że stalinizm skończył się dzięki Festiwalowi, ale myślę, że Festiwal był pierwszą trąbką obwieszczającą ten koniec. Trąbka była spektakularna. Proszę sobie wyobrazić miasto szare i ponure, jak gdyby celowo pozbawione kolorów, by nie stanowiły konkurencji dla odświeżonej czerwieni, i oto nagle w lecie 1955 r. to smutne przytłamszone miasto wybucha feerią ostrych kolorów, na wielkich formatach, wypełnionych kompozycjami najczęściej niefiguratywnymi. Czysty formalizm – tak to do owego lata określano – czyli rzecz zakazana. Obowiązywał tzw. realizm socjalistyczny, pamiętam dobrze, byłem wtedy na drugim roku malarstwa ASP w Gdańsku, prawie wszyscy profesorowie tej uczelni to była „czarna reakcja”, więc za pokątne uprawianie formalizmu ze studiów się nie wylatywało, ale na oficjalne wystawy trzeba było malować pochód pierwszomajowy, robotników podejmujących zobowiązania czy Lenina w październiku. Ichnim, nie naszym. Rewolucja październikowa odbyła się u nich w listopadzie. Co kraj, to obyczaj.

Na Festiwalu byłem jako delegat. Nie z ramienia organizacji, bo nie byłem w ZMP ani w niczym podobnym, delegatem zostałem jako członek teatru „Bim-Bom”, który

wiosną wygrał pierwszy konkurs satyrycznych teatrów studenckich i w nagrodę grał na Festiwalu. Nasze zwycięskie przedstawienie idealnie pasowało do tej forpocztu antystalinowskiej, którą była kolorowa Warszawa. My też demonstracyjnie bawiliśmy się na scenie kolorem, formą i żartem odbiegającym od obowiązującej sztampy. My, to znaczy studenci z Trójmiasta pod wodzą Cybulskiego, Kobieli, Bielickiego, z Afanasjewem w składzie, Chylą, a od Festiwalu też i z Mrożkiem – chudy okularnik z Krakowa obejrzał spektakl, spodobał mu się tak bardzo, że postanowił się wkręcić. Przyszedł za kulisy niby pożyczyć młotek, bo mu gwóźdź wylazł w bucie. Przy następnej premierze był już współautorem. Podczas Festiwalu graliśmy w sali kina Energetyk (Wybrzeże Kościuszkowskie), a po spektaklu rzucaliśmy się w wir „życia ulicznego”. To był w owych czasach ewenement, wielonarodowa, różnorodna, różnorodna młodzież, umiejąca się bawić spontanicznie, bez partyjnych dyrygentów, będących za Stalina najczęściej po prostu tajnikami. Młodzi goście

z Zachodu to pewnie w całości byli ideowi komuniści, wrogowie kapitalizmu, przez ten kapitalizm wykarmieni i pięknie ubrani, ale zakochani w Związku Radzieckim i weń zapatrzeni. Ciekawe, ilu się odkochało po wizycie w Warszawie. Z kolei Warszawa na pewno uświadomiła sobie swoją komunistyczną gorszość. Wszystkich moich wrażeń tu nie zmieszczę, wspomnę jeszcze tylko wzruszające starania ówczesnych propagandystów, którzy musieli zacząć puszczać w radiu muzykę jazzową, jako że przyjechała na Festiwal oficjalnie. Jazz był za Stalina wyklęty i tępiony, więc w Polskim Radiu każdy rytmiczny kawałek, który można było podejrzewać o zbyt dużą jazzowość, praworządni radiowcy anonowali jako folklor czarnej Afryki, muzykę ludów walczących o wyzwolenie spod jarzma kolonializmu. 🎷

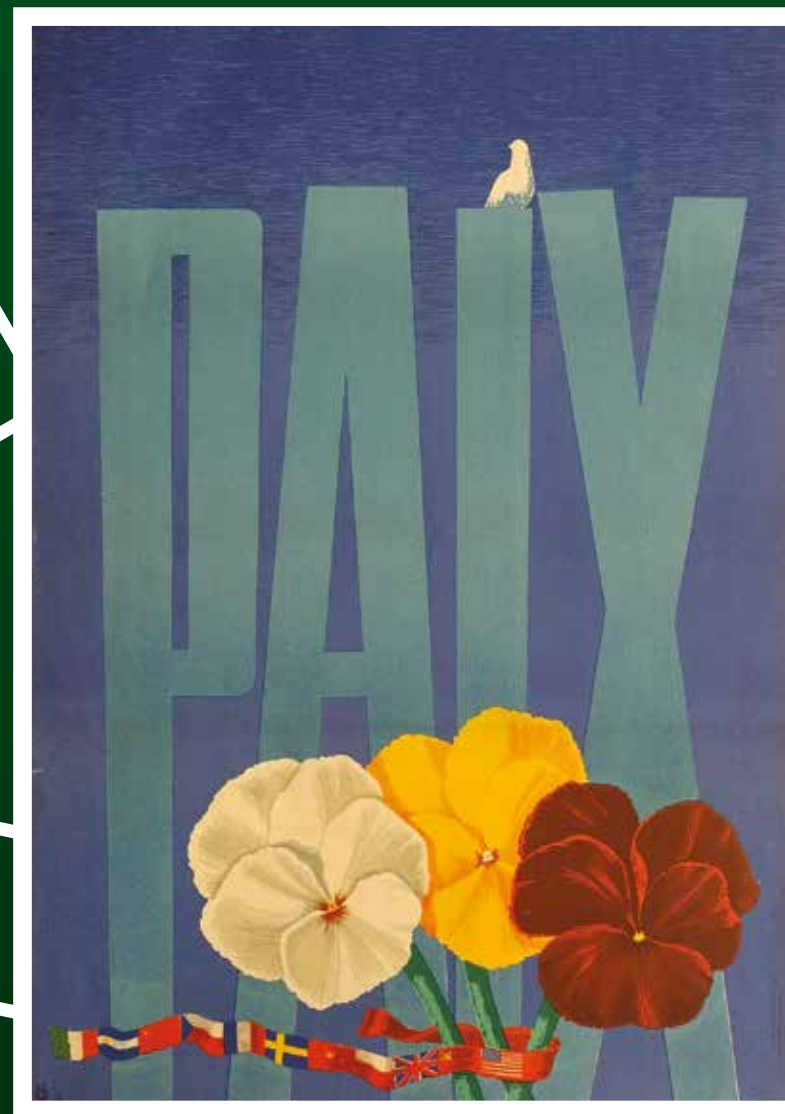


J. Roqueblave



rys. Jacek Fedorowicz

V ŚWIATOWY FESTIWAL MŁODZIEŻY I STUDENTÓW 1955 W ZBIORACH MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI



WYSTAWA CZASOWA
16.05.2025-28.08.2025

MUZEUM X PAWILONU CYTADELI WARSZAWSKIEJ
ODDZIAŁ MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE
UL. SKAZAŃCÓW 25, 01-532 WARSZAWA

W PROJEKCIE WYKORZYSTANO PLAKAT STEFANA MAŁECKIEGO (1924-2012), V ŚWIATOWY FESTIWAL MŁODZIEŻY I STUDENTÓW W WARSZAWIE, WARSZAWA, 1955, 98 X 66,5, PAPIER, OFFSET BARWNY, NR INW. PL.507 ZE ZBIORÓW MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE



MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY

BREAK IN CLASSIC

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI I ALEKSANDER DĘBICZ
WOJTEK GUMIŃSKI, MARCIN ULANOWSKI
IL GIARDINO D'AMORE
ELINA DUNI I ROB LUFT
DAVID BERGMÜLLER I DAVID ORLOWSKY
ŁUKASZ KUROPACZEWSKI, MACIEJ FRĄCKIEWICZ, BARTEK MILER
APHRODITE PATOULIDOU
LUCIE HORSCH, PLÍNIO FERNANDES, WILLIAM SABATIER
ATOM STRING QUARTET

15—17 SIERPNIA 2025
MUZEUM WNETRZ W OTWOCKU WIELKIM

DOFINANSOWANE PRZEZ „POLSKĄ FUNDACJĘ NARODOWĄ”

ORGANIZATOR

toinen
music

GOSPODARZ

MW / Muzeum Narodowe
w Warszawie

MW / Muzeum Wnetrz
w Otwocku Wielkim

PARTNER GŁÓWNY

POLSKA
FUNDACJA
NARODOWA

PARTNERZY

ORLEN PGE

PARTNERZY WSPERAJĄCY

BMW NOBU HOTEL STEINWAY PIANO GALLERY POLAND SAKHITSE JULIAN COCHRAN Foundation

WSPÓŁPRACA